



SIECI

ŹRÓDŁA DYWERSJI

**MACIEJEWSKI
OSTRO
O SYKULSKIM**

**TRZASKOWSKI
OGRADZA TUSKA**

**DĘTA
AWANTURA
O DOTACJE**

**CZEGO
MARCINKIEWICZ
NIE MÓWI O ALIMENTACH?**

**DEPRESJA
BISKUPA,
CZYLI KAPŁAN
TEŻ CZŁOWIEK**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 7 (533) 2023
13–19 lutego 2023

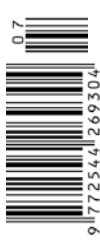
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY:

TAK NIEMCY KRĘCĄ W SPRAWIE POMOCY UKRAINIE

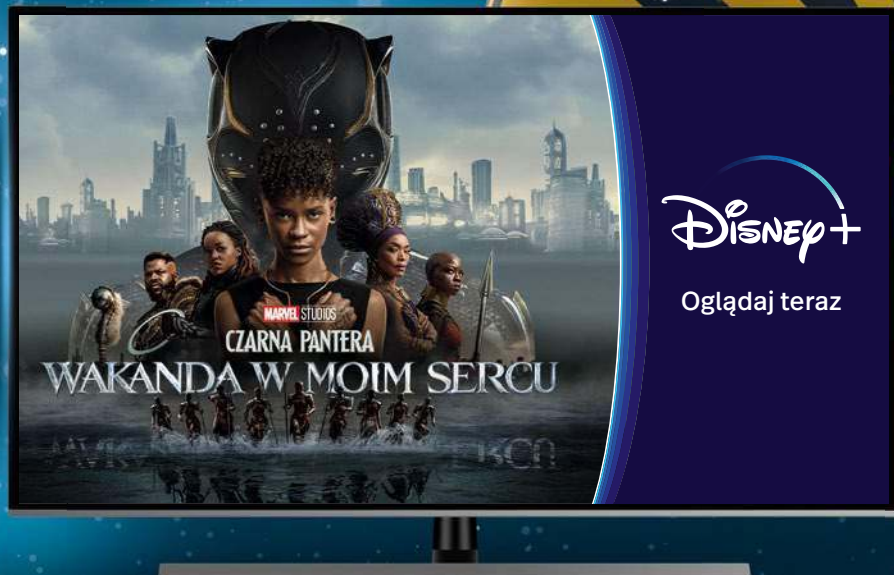
**DLACZEGO TO, CO DOSTARCZYLI,
NIE ZGADZA SIĘ Z TYM,
CZYM SIĘ CHWAŁĄ?**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



Telewizja z Disney+

już od 45 zł/mies. przez 24 miesiące.



polsat box 

Wybierz swoje wszystko

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej przy umowach od pakietu S z Disney+ z zobowiązaniem od 45 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 miesiące. Od 25. miesiąca cena za pakiet podstawowy wzrośnie o 10 zł/mies. Serwis Disney+ nie jest dostępny na dekoderach. Dostawcą serwisu Disney+ jest The Walt Disney Company (Benelux) BV. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl
© 2023 Disney i podmioty powiązane. Oferta ważna na dzień 9.02.2023 r.

polsatbox.pl c89c9413a9

Śląsk jak Krym?

Wciąż w polskim państwowym muzeum (a precyzyjniej na odziedziczonej po PO-PSL wystawie stałej) historia połączenia Śląska z odrodzoną Rzeczpospolitą i walka plebiscytowa dla Polski są przedstawiane jako agresja na śląskość. Wciąż za pieniądze polskiego podatnika zdarza się promowanie kłamstw o polskich obozach koncentracyjnych dla Ślązaków, choć były to obozy komunistyczne. I nadal są promowani, nagradzani ludzie tacy jak pan Gorzelik, który mówił o Polsce w sposób haniebnny, nazywał ją „małą z brzytwą”. Wciąż w kierunku tych grup płyną publiczne pieniądze. Z kolei te siły na Śląsku, które podnoszą, celebryją i wzmacniają polskość, nadal mają pod górkę.

Czy kiedyś to się zmieni? I czy rozumiemy, jak wielką i straszną cenę możemy zapłacić za tolerowanie ślązakowskiego separatyzmu, odpowiadającego Niemcom, ale nie tylko im?

Oto niezależne rosyjskojęzyczne media przytaczają świeże wypowiedzi Ramzana Kadyrowa, wojennego zbrodniarza, okrutnego dyktatora Czeczenii, zaufanego Putina. Grozi on demilitaryzacją i denazyfikacją Polski po zwycięskim zakończeniu wojny na Ukrainie.

„W końcu po Ukrainie na mapie jest Polska! Szczerze mówiąc, osobiście mam taki zamiar i wielokrotnie powtarzałem, że walka z satanizmem powinna być kontynuowana w całej Europie, a przede wszystkim na terytorium Polski” – napisał Kadyrow w kanale Telegram.

To słowa typowe dla obrzydliwej rosyjskiej propagandy, choć warto te słowa słyszeć. W to, że któregoś dnia ruszy rasystowska nawałnica na Ukrainę, też mało kto wierzył. Ale warto

także dostrzec, jakiego pretekstu mogłaby użyć Moskwa. Kadyrow nie ukrywa: „Dla mnie ten region Polski zasłużył na szczególny status niepodległości i pilnie jest tam potrzebne referendum, podczas którego Rosja może udzielić pomocy organizacyjnej”.

Śląsk jak Krym – pretekstem do inwazji? Najpierw rozwinięcie kłamliwej, antypolskiej propagandy, następnie sfinansowanie bojówek, wreszcie wywołanie rzekomej wojny domowej i pełnoskalowa inwazja. Niewielką zagadką byłaby w takim scenariuszu postawa Niemiec, które rozwijają swoją miękką, ale konsekwentną propagandę na Śląsku i na Ziemiach Odzyskanych.

Dla państwa polskiego to kolejny alarm, że nie można lekceważyć ślązakowskiego separatyzmu, że siłom propolskim tam i na Ziemiach Odzyskanych trzeba udzielić wydatnej pomocy, a one same muszą podjąć pracę ze zdwojoną energią. Warto zerknąć, czy wszystkie instytucje państwowe właściwie wykonują w tym obszarze swoje zadania, być może zmienić ich obsadę na ludzi bardziej decyzyjnych, być może zmienić prawo.

Zbrodniarz Kadyrow wygadał się, jaki Moskwa ma plan. I nie chodzi o to, że akurat ta zmiana wrogów Polski to robi. Istotą sprawy jest to, jaką rolę w ich rozważaniach odgrywa działalność ślązakowców, te obrzydliwe marsze, cała ta antypolska propaganda na Śląsku.

Nie udajemy, że nie słyszymy.



Michał Karnowski

Gdzie płyną pieniądze?

Medialne bombardowanie w sprawie programu wsparcia organizacji pozarządowych, który zrealizował minister edukacji prof. Przemysław Czarnek, jednego nie zmieni: zarówno w Polsce, jak i w całym świecie zachodnim rzeka pieniędzy płynie nie do prawicy, lecz do lewicy. Nie jest to jakaś nieistotna asymetria, ale potężna przewaga systemowa. Lewica i jej zaplecze – pozarządowe, kulturalne, medialne, ekologiczne – dostają kilkadziesiąt, a może i kilkaset razy więcej pieniędzy niż bardzo słaba prawica. Dostają od wielkiego biznesu, który lewica już w pełni kontroluje, dostają od rządów (także prawicowych, bojących się przeciwstawić), dostają od organizacji międzynarodowych i różnego rodzaju „filantropów” w typie Sorosa.



Atak na program ministra Czarńka jest fałszowaniem rzeczywistości. Publiczności przedstawia się głęboko zakłamany obraz sytuacji, sugerując, że prawicowe organizacje opływają w luksusy. A prawda jest taka, że czasem coś dostaną, gdy trafią na polityczną koniunkturę. Gdy koniunktura mija, wpadają w biedę. Lewica zaś dostaje potężne zastrzyki niezależnie od sytuacji. Gdy w jakimś kraju rządzi prawica, dostaje z zagranicy. Tęsknota lewicy nie kończy się nigdy.

W tej sytuacji trwałej nierównowagi obowiązkiem państw narodowych jest wspieranie organizacji konserwatywnych, prawicowych, odwołujących się do tego, co narodowe, tożsamościowe,

nasze. Wartości stanowiące fundament naszej cywilizacji są bowiem ostro atakowane także przez sztucznie pompowaną zewnętrznymi pieniędzmi aktywność lewicowej tkanki organizacyjnej, dysponującej zawodową wręcz kadrą aktywistów – bojowców. Niestety, wszystkie rządy, także nasz, polski, są w jakimś stopniu zastraszone medialnym terrorem i jeśli pomagają, to zbyt nieśmiało i zbyt skromnie.

Uderzenie w ministra Czarńka i jego program jest próbą zablokowania jakichkolwiek prób zmiany patologicznej sytuacji, którą mamy w świecie organizacji pozarządowych. Lewica ma mieć wszystko, prawica nic. Nie można się na to zgodzić, bo będzie to oznaczało likwidację nawet teoretycznej równowagi w świecie aktywności, idei, debaty.

Jacek Karnowski



46

Z ambasadorem
Dariuszem Pawłowskim
rozmawia **Marcin Wikło**



50

Robaczywy plan, czyli
kto chce nam wcisnąć
insekty na talerz
Konrad Kołodziejski



65

Współcześni ułani
Andrzej Rafał Potocki

NA POCZĄTEK

- 5 PILNUJMY RAZEM POLSKI!**
Relacja z gali Człowieka Wolności 2022
- 8 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 10 ZMIENNICZY**
Krzysztof Feusette
- 11 ICH CZŁOWIEK W PARLAMENCIE EUROPEJSKIM**
Dorota Łosiewicz
- 12 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 14 NIE Z NAMI TE NUMERY, BRUNNERY!**
Jan Pietrzak
- 14 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 15 DZIECINNIE NIE DEMOKRACJI**
Bronisław Wildstein
- 16 WALIZKA MARIOLI BOJARSKIEJ-FERENC**
Michał Korsun
- 18 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 19 SPACER PO ZAKOPANEM**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 21 „KANALIA” CYTUJE TVN**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 22 MISTRZOWIE WOJENNEGO PR**
Marek Pyza

KRAJ

- 26 ODGRADZANIE TUSKA**
Stanisław Janicki
- 28 AWANTURA O DOTACJE**
Dariusz Matuszak
- 32 WIELKI PROJEKT DLA POLSKI**
Grzegorz Górny
- 36 Z DR. HAB. KRZYSZTOFEM SZCZUCKIM**
rozmawia Maciej Walaszczyk
- 40 RUCH ANTYWOJENNY, CZYLI SABOTAŻ POLSKIEJ POMOCY DLA UKRAINY**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 42 BEZ TARYFY ULGOWEJ**
Dorota Łosiewicz
- 44 DEPRESJA BISKUPA**
Goran Andrijanić

OPINIE

- 46 Z AMBASADOREM DARIUSZEM PAWŁOSIEM**
rozmawia Marcin Wikło

ŚWIAT

- 50 ROBACZYWY PLAN, CZYLI KTO CHCE NAM WCISNĄĆ INSEKTY NA TALERZ**
Konrad Kołodziejski

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

- 54 HERBATKA I SAMOŁOTY**
Jan Rokita
- 58 JAK ROSJA CHCE WYGRAĆ WOJNĘ**
Marek Budzisz

HISTORIA

- 62 WOJSKO, OSZUŚCI I TAJNE GRY, CZYLI PIŁKARSKIE TRANSFERY W PRL**
Grzegorz Majchrzak
- 65 WSPÓŁCZESNI UŁANI**
Andrzej Rafał Potocki

SIECI KULTURY

- 69 POWRÓT W WIELKIM STYLU**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 72 WYBITNA „PANNA OPĘTANA”**
Michał Karnowski
- 74 SATANIZM W MAINSTREAMIE**
Robert Tekieli
- 76 POLECA**
Łukasz Adamski

NATURA DLA LUDZI

- 80 CO SIĘ STANIE, JEŚLI NIE ZADBAMY O ŻURAWIE?**
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

- 82 MOJE SZLAKI: ADRIAN ZAREMBA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 83 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 84 WEWNĘTRZNY WRÓG**
Wojciech Reszczyński
- 85 CZAS DZIELNOŚCI**
Aleksander Nalaskowski
- 86 MROK W IZBACH... LEKARSKICH**
Jan Pospieszalski
- 87 PRAWO SZEJNFELDA**
Jerzy Jachowicz
- 88 PROBLEM TRZEŻWOŚCI**
Ryszard Makowski
- 89 WIERZ JAK SPOIWO NARODOWE**
Leszek Długosz
- 90 UPIORNE CYBERDOZNANIA**
Andrzej Zybortowicz

Pilnujmy razem Polski!

10. edycja przyznania nagrody Człowieka Wolności Tygodnika „Sieci” przypadła na szczególnie trudny czas – wojny na Ukrainie, która w dojmujący sposób uświadomiła potrzebę wzmacniania bezpieczeństwa Polski. Czytelnicy i kapituła plebiscytu nie mieli więc żadnych wątpliwości, kto tym razem powinien zostać laureatem nagrody. Zaszczytnym tytułem i statuetką został uhonorowany Mariusz Błaszczak, wicepremier i minister obrony narodowej

Jubileuszowa gala Człowieka Wolności 2022 odbyła 7 lutego w sali warszawskiego hotelu Marriott. Otworzył ją redaktor naczelny „Sieci” Jacek Karnowski.

– Nasz tygodnik wyróżnia się szacunkiem dla ludzi, którzy walczą. Myślę, że każdy z naszych laureatów miał momenty, gdy spadała lawina i żaden się nie ugiął. Nasz tegoroczny laureat pokazał, jak wiele można w Polsce zmienić. Polska jest dziś krajem bezpieczniejszym, krajem, który służy Polakom, który rośnie w siłę – mówił redaktor naczelny „Sieci”. Zwrócił też uwagę na rolę mediów spółki Fratria. – Chcemy łączyć ludzi dobrej woli, nie stać nas na klótnie. Chcemy iść w kierunku dobra naszej ojczyzny – zaznaczył.

W swoim przemówieniu premier Mateusz Morawiecki podkreślił znaczenie tytułu Człowieka Wolności Tygodnika „Sieci”. – Dla mnie to jedna z najważniejszych nagród na polskim rynku medialnym – przyznał szef rządu. Następnie podziękował wicepremierowi Mariuszowi Błaszczakowi:





Fot. Miroslaw Steinhilber

Nagrodę laureatowi wręczyli Jacek i Michał Karnowscy, a jubileuszową galę poprowadzili Agnieszka Oszczyk i Marcin Wikoł

– Gdy rosyjska agresja stała się faktem, było potrzeba ludzi takich jak nasz tegoroczny laureat, którzy przystąpili do wzmacniania polskiej armii i w sposób wyważony, w porozumieniu z NATO, wzmacniali naszego sąsiada Ukrainę, która toczy krwawy bój o swoje bezpieczeństwo, a także o naszą wolność.

Premier nie szczędził pochwał pod adresem szefa MON. – Potrzeba ludzi takich jak pan premier Mariusz Błaszczak, którzy zrobią wszystko, by wzmocnić siłę polskiej armii. Mariusz Błaszczak to osoba, o której mogę z pełnym przekonaniem powiedzieć, że jest polskim państwowcem, jakich Polska potrzebuje, jakich za mało było w polskiej historii, jakich w czasie zawirowań Polska potrzebuje najbardziej – mówił.

Mateusz Morawiecki zwrócił uwagę na znaczenie obronności w świecie, w którym groźba militarnej napaści pozostaje żywa. – Nie ma silnego państwa bez silnej armii, ale też nigdy nie będzie silnej armii bez silnego państwa, bez państwa, które stoi na silnym fundamencie finansowym, bo bez tego nie dałoby się budować sił zbrojnych – tłumaczył.

Szef rządu skierował również ciepłe słowa pod adresem tygodnika „Sieci” i portalu wPolityce.pl. – Myślę, że poko-

lenia, które były przed nami, patrzą na nas z góry i czuwają. Patrzą, co zrobimy z tym bezcennym darem wolności. Wierzę, że nasz obóz dzięki wspaniałej pracy mediów jak „Sieci”, cały zespół portalu z głównym portalem wPolityce.pl, nadzorowanym przez Jacka i Michała Karnowskich, którym chcę podziękować za trud walki o naszą polską wolność – mówił premier. – Jestem przekonany, że razem z panem premierem Mariuszem Błaszczakiem podolamy dziełu obrony wolności i będziemy w kolejnych latach umacniać Najświętszą Rzeczpospolitą.

List do uczestników gali skierował Jarosław Kaczyński. Odczytał go poseł Krzysztof Sobolewski. „Idziemy w dobrym kierunku i możemy z pełnym przekonaniem powiedzieć, że Rzeczpospolita pod każdym względem staje się silniejsza, ale – jak wiemy – budowanie silniejszej Polski wymaga nieustannego wysiłku i wytężonej pracy, która tak jak historia nie ma końca” – zaznaczył prezes Prawa i Sprawiedliwości. „Niezmierznie się cieszę, iż tytuł Człowieka Wolności 2022 został przyznany wicepremierowi, ministrowi obrony narodowej Mariuszowi Błaszczakowi. To wyjątkowo trafny wybór. Jest bowiem zasługą pana ministra, że Polki i Polacy

mogą czuć się coraz bezpieczniej. [...] To panu ministrowi zawdzięczamy, że Wojsko Polskie wzrasta liczebnie i modernizuje się w szybkim tempie. Drogi Mariuszu, z głębi serca ci winszuję tego tytułu i dziękuję za to, co robisz dla Polski” – napisał Jarosław Kaczyński.

Laudację na cześć laureata wygłosił Michał Karnowski, publicysta tygodnika „Sieci”, portalu wPolityce.pl, członek zarządu spółki Fratria. Przypomniał o rzeczywistości, w której znalazła się Polska po tragedii smoleńskiej. – Rozpoczął się zbrodniczy okres zwijania państwa, likwidacji armii. Po 2015 r. trzeba było rozpocząć wiele działań od nowa – mówił Michał Karnowski. Jak zaznaczył, dobra zmiana przyniosła zdecydowaną zmianę jakościową również w tym obszarze. – Sprawa obronności znalazła się w centrum uwagi. Wszyscy zaczęliśmy rozumieć nie tylko, jak ważna jest rozbudowa armii, lecz także jak bardzo pilna. Po napaści na Ukrainę stało się jasne, że czas obronności liczymy już nie w latach, nie w miesiącach, ale w tygodniach.

Michał Karnowski przypomniał o ataku hybrydowym ze strony Białorusi: – Wojsko odegrało w tej obronie kluczową rolę. Zdało egzamin. Kolejnym celem była pomoc uchodźcom

z Ukrainy. – Publicysta podkreślił: – Polska z dnia na dzień zyskuje bezpieczeństwo, mimo potężnych ataków medialnych i dezinformacji udaje się osiągać cele.

Wskazał na olbrzymi udział w tym procesie ministra Mariusza Błaszczaka. – Silna armia staje się faktem. Polska wyciąga mądre wnioski z tego, co dzieje się wokół nas, by tragedie z przeszłości się nie powtórzyły. Wielka w tym rola naszego laureata – mówił Michał Karnowski. – Panie premierze, gratulujemy! – dodał, zwracając się do szefa MON.

Po laudacji przyszedł czas na punkt kulminacyjny – przemówienie laureata nagrody Człowieka Wolności 2022.

– Jestem wiernym czytelnikiem tygodnika „Sieci” i portalu wPolityce.pl – przyznał już na początku Mariusz Błaszczak, wyrażając wdzięczność za nagrodę, którą – jak podkreślił – traktuje jako prestiżowe wyróżnienie. Odnosząc się do laudacji Michała Karnowskiego, wskazał na ważne elementy swojego życiorysu. – Władkowi Stasiakowi zawdzięczam pójście tą drogą. Poznałem również Sławka Skrzypka, też człowieka wybitnego. Czuję się wyróżniony tym, że mam sposobność pracy



Fot. Andrzej Winiar

w tym środowisku – środowisku patriotów, którzy dążą, by Polska była silna. Jestem dumny także z tego, że miałem i mam szczęście pracować z ludźmi, którzy dołączają do mojego zespołu i razem realizujemy program, który został wytyczony przez śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego i pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego – mówił wicepremier.

Szef MON dużo uwagi poświęcił zagadnieniom związanym z pracą kierowanego przez niego resortu. – Jestem dumny z tego, że Wojsko Polskie się rozrasta – podkreślił. Odnosząc się do zarzutów opozycji i nieprzychylnych mediów, wskazał na jeden kluczowy fakt – więcej osób do Wojska Polskiego dołączyło, niż odeszło.

Znając naturę mediów, minister pozwolił sobie również na przekazanie uczestnikom gali najświeższej infor-

macji dotyczącej obronności. – Czekamy, aż Departament Stanu USA wyda decyzję sprzedaży systemu HIMARS dla Wojska Polskiego, mówię to jako news – poinformował szef MON.

Mariusz Błaszczak wskazał, co leży u podstaw solidnych działań rządu. – Ta polityka jest skuteczna, bo tak zostaliśmy ukształtowani, bo wierzymy w to, co robimy, bo wierzymy, że jesteśmy po dobrej stronie, że możemy powstrzymać budowę imperium zła. Możemy to zrobić, jeśli będziemy śmiali w swoich decyzjach i będziemy je konsekwentnie realizowali. To samo dotyczy Ukrainy – podkreślał.

Na koniec swojego wystąpienia laureat zaapelował: – Zarówno tygodnik „Sieci”, jak i portal wPolityce.pl pilnują Polski. To bardzo ważne hasło. Pilnujmy razem Polski!

Podobnie jak w latach ubiegłych, tak i w tym roku zwieńczeniem gali była część artystyczna. Wystąpił zespół Boarte Piano Trio, który – jak podkreślali prowadzący jubileuszowe spotkanie Agnieszka Oszczyk i Marcin Wikło – zyskał sobie międzynarodową renomę, podbijając sale koncertowe na całym świecie.

Aleksander Majewski

PARTNER STRATEGICZNY:

PARTNERZY GŁÓWNI:



PARTNER ZŁOTY:

PARTNERZY:



PARTNERZY WSPIERAJĄCY:



Sygnalista nadaaje

» Jak ustalili dziennikarze holenderskiego liberalnego dziennika „NRC”, **Radostaw Sikorski** otrzymuje 100 tys. dol. rocznie za pracę na rzecz Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Jaką konkretnie? Doradza instytucji o nazwie Sir Bani Yas, która została powołana przez ZEA w celu prowadzenia międzynarodowej dyplomacji za pomocą „miękkiej siły”. Spotkania mają charakter zamknięty. „Prasa nie jest mile widziana, wszystko odbywa się w tajemnicy”. Tak więc były minister spraw zagranicznych Polski, mający apetyt na odzyskanie tego stanowiska po ewentualnej zmianie władzy, świetnie zarabiający w Parlamencie Europejskim, otrzymał już prawie 0,5 mln euro od resortu spraw zagranicznych Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Ludzie PO służbę innym mają chyba we krwi.

» „NRC” podkreśla, że Sikorski poparł w Parlamencie Europejskim sprzeciw wobec wstrzymania dostaw broni do krajów zaangażowanych w wyniszczającą wojnę w Jemenie. Z kolei wróg Emiratów, Iran, jest regularnie atakowany przez Sikorskiego, ale jednocześnie europoseł PO jest bardziej pobłażliwy dla represyjnych reżimów ZEA i Arabii Saudyjskiej. Sikorski sprzeciwił się również wezwaniu do działań przeciwko ZEA w związku z uwięzieniem krytycznego blogera, a także poparł próbę złagodzenia rezolucji w sprawie kary śmierci w Arabii Saudyjskiej. Sam Sikorski przekonuje, że na jego głosowania w PE w żaden sposób nie wpływa działalność zewnętrzna, ponieważ głosował identycznie z zaleceniami swojej grupy politycznej, czyli Europejskiej Partii Ludowej. Ale żadne wyjaśnienia nie zmieniają sprawy podstawowej: w polskiej polityce są zewnętrzne pieniądze. Czy tylko arabskie?

» „Trzeba zniszczyć PiS, zaorać jego bazę ekonomiczną i nadbudowę światopoglądową – żeby wreszcie zbudować świecką, lewicową, a zarazem liberalną demokrację. Diabelska pomyślność będzie w tym procesie niezbędna” – wzywa na łamach „Krytyki Politycznej” (lewicowe zaplecze opozycji) Tomasz Kozak, określający się marksistą adiunktem w Instytucie Sztuk Pięknych UMCS (sic!). Plan zniszczenia, zaorania diabelskimi metodami polowy Polski jest rozpisany na etapy. Jego wykonawcami mają być „czerwone watahy” rzucone na poszczególne odcinki. Ich zadania? Przejęcie CBA i Ministerstwa Sprawiedliwości. Przygotowanie list pupilów PiS-owskich, wytypowanych do prześwietlenia, procesowego przeczolganiania i publicznego napiętnowania. Kto by typował? Zapewne jakieś trójki sowieckiego typu, bo Kozak popiera pomysł powołania specjalnych trybunałów. O sposobie wykonywania wyroków na razie milczy.

» Kozak kontynuuje: „Elektorat opozycji chce krwi. Premię wyborczą dostaną więc te formacje, które zareklamują najbardziej wiarygodny i spektakularny scenariusz odwetu. Dlatego warto zawalczyć o rolę główną w tym thrillerze. Podpisać cyrograf z diabłem drakonizacji i planować rozliczenia w taktycznym sojuszu z liberalami. Przelicytować ich w bezwzględności, a przynajmniej w żonglowaniu nowatorskimi pomysłami na widowiskowe ukaranie najbardziej znieprawdopodobionych siepaczy Kaczyńskiego”. I dalej: „Pożądaną większość dałoby się uzyskać również środkami prokuratorsko-policyjnymi. Po ewentualnym zwycięstwie opozycji i sformowaniu nowego rządu możliwe byłoby pozbawienie im-

» „Jak dojdziemy do władzy, to sprywatyzujemy część państwowych spółek. Tak czy nie?” – zapytał Krzysztofa Bosaka redaktor Bogdan Rymanowski. „Na pewno część” – odpowiedział poseł Konfederacji. „Jeśli będzie trzeba, Konfederacja rozważy wejście do rządu Tuska?” – dopytywał dziennikarz. „Nie damy się wmanewrować w dyskusję o wariantach koalicyjnych. Jesteśmy od tego, by wypchnąć z Sejmu bezideowych, szkodliwych posłów PiS, PO, Lewicy, PSL” – odpowiedział Bosak. Cóż, ideowości prywatyzatorów to my już posmakowaliśmy nie raz, i nie dwa. I mamy dość.

munitetów oraz aresztowanie kilkunastu lub kilkunastu PiS-owskich posłów – bo przestępców wśród nich nie brakuje. W rezultacie odpowiednio zmniejszylaby się liczba parlamentarzystów uczestniczących w posiedzeniach Sejmu. A obóz demokratyczny zyskałby dwie trzecie głosów potrzebnych do zmiany konstytucji”. Mamy wolność słowa, ale czy pan Kozak nie przekroczył już granicy, za którą zaczyna się atak na porządek konstytucyjny?

» Sławomir Nitras broni swojej wypowiedzi o potrzebie „opiłowania katolików”: „Dzisiaj czytałem, jak sądy w sztuczny sposób przedłużają procesy rozwodowe w Polsce. Przecież to są jakieś żarty. Przecież wszyscy wiemy, że to jest podszyte jakimś wpływami Kościoła katolickiego i niechęcią do pozwalania ludziom się rozwodzić. No kto dał takie prawo Kościołowi czy PiS, żeby ingerować w kwestie rozwodu?! Czy my tego naprawdę chcemy? Przecież to jest jakiś totalny archaizm, z którym trzeba radykalnie skończyć. Jeśli nie da się normalnie, to trzeba opiłować. Trzeba to po prostu zrobić w sposób gwałtowny i zdecydowany, bo inaczej będziemy żyli w jakimś zniewoleniu”. Poseł Nitras, im bardziej wyzwolony, tym bardziej niespokojny. Jest w tym jakaś tajemnica.

» Nitras to polityk, który w imieniu PO ma pilnować uczciwości wyborów. Szczególnie martwi się komisjami, które powstaną w małych miejscowościach: „Mówimy o hermetycznych środowiskach, gdzie wszyscy się znają, gdzie bardzo łatwo o manipulację. W skrajnym przypadku – gdybyśmy zrobili komisję w bloku, w którym wszyscy się znają – jeden pan o większym autorytecie jest w stanie zmanipulować sąsiadów. Tak odbywają się wybory w Rosji, na Białorusi. Ktoś chodzi z urną od mieszkania do mieszkania, zanim dozorca: »A wy już zagłosowaliście, awy?«, »Głosujcie bez skreśleń« albo »Głosujcie tu na naszego«. Cóż, jeśli szukać takich mechanizmów, to raczej w wielkich miastach, wśród lemingów. To tam stadne myślenie osiąga polskie rekordy.

» Niektórzy straszą fałszerstwami, a Leszek Balcerowicz – już tradycyjnie – katastrofą gospodarczą. „Wielu wierzyło niegdyś w Gierka. Skończyło się to, gdy gierkowska bonanza na koszt przyszłości naszej gospodarki przeszła w krach. PiS realizuje podobny scenariusz. Jesteśmy w jego końcowej fazie” – przekonuje autor brutalnej terapii szokowej. To dobry znak, ponieważ Polska gospodarka zawsze zachowuje się dokładnie odwrotnie, niż to przewiduje Balcerowicz.

» Szymon Hołownia wciąż pod silnym ostrzeżeniem. Stracił też posła – Hanna Gill-Piątek odezła z Polski 2050 i zapewne wyładuje w PO. Zdaniem

Adama Bielana Tusk rozpoczął proces anihilacji Hołowni. „W Polsce nie ma polityka równie skutecznego w niszczeniu konkurencji. Widzimy ataki medialne i przeciąganie działaczy. Ważniejsze jest jednak to, czego nie widać – naciski sponsorów oraz presja z zagranicy” – ocenia europoseł PiS.

» Sam Hołownia, na uwagę, że tak wyglądał początek końca wielu partii w polskiej polityce, odpowiedział: „Nie możemy być więźniami opowieści o Nowoczesnej, Ruchu Palikota, wszystkich tych trzech partiach, które przez ostatnie 30 lat próbowały rozbić duopol. Uczymy się na błędach, ale też jesteśmy w zupełnie innym miejscu”. O ile współrzędne są prawidłowe, a to w polityce nigdy nie jest pewne.

» Michał Kołodziejczak z Agrounii o świeżo nawiązanej współpracy z Porozumieniem, partią stworzoną przez Jarosława Gowina: „Niektórzy powiedzą, że my się różnimy. Nie, my się pięknie uzupełniamy”. Coś w tym jest. Z kolei kierująca Porozumieniem Magdalena Sroka zadeklarowała: „Jednoczymy różne środowiska – od wsi po miasto. Będziemy mówić głosem rolników”. Zapowiada się ciekawe przedstawienie.

» Posłowie upamiętnili Mikołaja Kopernika. „Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, w uznaniu wybitnego dorobku Mikołaja Kopernika i jego ogromnego wkładu w rozwój światowej nauki, czci jego pamięć w 550. rocznicę urodzin” – głosi uchwała. Sprawozdawcą projektu była wicemarszałek Sejmu **Małgorzata Kidawa-Błońska**, która czytając projekt dokumentu, przejęczyła się i dzieło polskiego astronoma „O obrotach sfer niebieskich” przechrzczyła na... „O obrotach stref niemieckich”. Pomyłka rzeczą ludzką, ale też często mówi więcej niż milion słów.

» Zbigniew Boniek włączył się w debatę geopolityczną związaną z ukraińską wojną obronną. „Cały czas o zbrojeniach, nowych dostawach broni itd. (czyli o wielkim biznesie). A o negocjacjach pokojowych cicho sza. Ludzie tego potrzebują najbardziej” – stwierdził nieco enigmatycznie, ale czytelnie. Pytanie, którzy ludzie.

» Slavoj Žižek, lewicowy myśliciel, w rozmowie z portalem wyborcza.pl: „Kiedy rozpoczęła się wojna, wielu moich postępowych przyjaciół skrycie liczyło na szybkie zwycięstwo Rosji. Mówili: »Tak, to straszne, będziemy przez jakiś czas protestować, ale przynajmniej się to szybko skończy. Ukraiński opór zaskoczył wielu ludzi na Zachodzie«. Stulecia mijają, a nic się nie zmienia: opór narodów z naszej części Europy zwyczajowo już psuje nastrój europejskiej lewicy.



Zmiennicy

KRZYSZTOF FEUSETTE

D.T.: Halo? Czy ja rozmawiam z panem prezydentem?

R.T.: W jakim sensie?

D.T.: Warszawy. Aw jakim? Sprawa jest. Podobno są tacy, którzy by cię widzieli w roli przewodniczącego.

R.T.: Przyszła koza do woza?

D.T.: Lepiej do woza niż do ciebie na cypel, kozobójco.

R.T.: Nie moja wina, że zdechły...

D.T.: Pewnie. Rozkopane miasto też nie.

R.T.: Inwestujemy.

D.T.: Nie rozśmieszaj mnie. Plażę na Białoleśce zrobiłeś, to nikt nie przychodził.

R.T.: O, właśnie przez takie gadanie nikt cię nie lubi.

D.T.: Olaf, Ursula, Angela, Władimir...

R.T.: Jak ci tak dobrze było, po co wracałeś?

D.T.: Misja, synu. Międzynarodowa. Gdybyście nie dali, za przeproszeniem, Hołowni, tobym nie musiał. Budce miałem to zostawić, żeby pod progiem wylądował? Bo ty się nie kwapiłeś...

R.T.: Bo się zastanawiałem. Ja mam całą Warszawę na głowie, ty wiesz, jakie to jest przeklęte miasto? Co chwilę coś pęka albo wylewa!

D.T.: Sam widzisz. Nie każdy może być prezydentem stolicy, to nie jest klejenie szyby taśmą. Tyle że czasy są takie, a nie inne, to i sondaże są nie takie. A że mnie głębiej dorobili...

R.T.: Jaką?

D.T.: A choćby taką, że mi jest bliżej do Niemiec niż do Polski.

R.T.: Straszne. Okropne. Ciekawe, skąd to się wzięło?

D.T.: Albo że z Putinem na molo rozmawiałem.

R.T.: Nie rozmawiałeś?

D.T.: Ja? No, coś ty, Rafał. Jak ja bym mógł z takim człowiekiem rozmawiać? Pokazywałem, gdzie biegam i to wszystko. Po to przyjechał. No, ale wiesz, jak jest, jak masz dwa garby, to już nikogo nie przekonasz, że nie jesteś wielbłądem. A wielbładowi ciężko jest...

R.T.: Przebić sufit?

D.T.: Właśnie. Szklany. No, więc, co ty byś powiedział, gdybyśmy na kilka miesięcy, do wyborów, trochę poudawali?

R.T.: Ale kogo?

D.T.: Ja bym się wycofał, a ty byś rznął lidera. W sensie udawał.

R.T.: Ale... ale przecież... ja już jestem liderem.

D.T.: Czego?

R.T.: Rankingów zaufania do polityków opozycji.

D.T.: No, i...?

R.T.: No i nie wiem, skąd pomysł, że miałbym udawać lidera, a nie zostać nim naprawdę?

D.T.: No, skąd?

R.T.: No, nie wiem.

D.T.: To pomyśl.

R.T.: Nadal nic.

D.T.: Bo się nie nadajesz? Jesteś za leniwy, za wolno myślisz, masz pecha i nie złapałbyś władzy, nawet gdyby siedziała ci na kolanach.

R.T.: To czemu chcesz się podmienić?

D.T.: To nie jest moja decyzja.

R.T.: Bo, wiesz, zaraz zaczną nas nazywać partią podmiannek. Najpierw ja za Kidawę, bez demokratycznego trybu,

potem ty za Budkę, identyczna historia, a teraz jeszcze mam ciebie udawać? Skąd pomysł, że bym umiał? Ty masz np. takie charakterystyczne „r”...

D.T.: Przecież nie będziesz się za

mnie przebierał. Za wysokie progi...

R.T.: Ja jestem za niski?! Ile masz wzrostu, karakalu?!

D.T.: Na pewno więcej niż ty. Myślisz, że jak ci półbuty na obcasach włożyli, to naturę oszukasz? Nie będziesz się za nikogo przebierał, tylko udawał, że rządzisz. Powiesz: jestem tu, żeby łączyć, zapraszam wszystkich na jedną listę, razem możemy więcej i inne pierdoły, które ci podeślemy, jak tylko od tłumacza wrócą.

R.T.: Podesłać to mi możesz namiary na Hołownię. To prawda, że mu prezydenturę proponowałeś?

D.T.: Przecież to naród głosuje. Ja mogę co najwyżej przychylnie spojrzeć na czyjeś kandydowanie.

R.T.: A ty jego wujek jesteś, że będziesz mu kibicował, a nie kandydatowi swojej partii?

D.T.: Hola, hola, a kto powiedział, że to nie może być nasz kandydat? Młody, inteligentny, pracowity, może trochę nieporadny, ale tobie akurat nie powinno to przeszkadzać...

R.T.: Ani słowa więcej! Ja już i tak za dużo zniosłem. Więc ci odpowiem, wujku dobra zdrada: pocałuj mnie w ratusz, i to od strony parkingu. Mnie już nie zależy. Ja sobie plac pięciu rogów dokończę.

D.T.: Oj, Rafał, nie mów tak, bo ranisz ojca swego politycznego, a kto rękę na lidera podnosi, ten nie zna dnia ani godziny. Będziesz miał w CV, że byłeś szefem partii, ja będę podsuszał ci pomysły, a jak nie znajdziesz czasu, bo ci znowu rura pęknie, to przekażę bezpośrednio zainteresowanym. Co do prezydentury na pewno mogę ci obiecać...

R.T.: Bez jaj. Co ja, jakiś leming jestem?

D.T.: To co? Mejllem ci to wysłać? Mówię ci po dzentelmeńsku: możesz kandydować w prawyborach.

R.T.: Jakich, k..., prawyborach?!

D.T.: Przecież u nas zawsze są prawybory. Bronek z Radkiem wygrał, Kidawa z Jaśkowiakiem, to i ty znajdziesz równego sobie. Może Nitras? Agresywny, wyszczekany, potrafi kopnąć...

R.T.: To lepiej dać mu coś innego.

D.T.: Może kozy na cyplu?

R.T.: Wyborów niech pilnuje. Powiesz, że PiS może je sfałszować, a Sławka zadaniem jest osobiście to powstrzymać. Jak wygramy, to znaczy, że nie sfałszowali, więc tylko głupa z siebie robi. A jak przegramy, to przepuścił fałszerstwa, czyli zawiódł.

D.T.: Nie ma mowy, żebyśmy przegrali, bo nawet jak przegramy, to będziemy wygrani, rozumiesz? Telefony odbieraj i szykuj się na podmiannkę. Bez odbioru.

R.T.: Ale... zaraz... A prezydentura? Bo jak ja nie dostanę tego na piśmie, to w nic nie wchodzi!

D.T.: Co tam śpiewasz jeszcze?

R.T.: A, nic takiego. Nie wiedziałem, że ktoś słucha.

D.T.: Sam widzisz, jaki z ciebie lider. Na udawanie wystarczy, ale w realu trzech minut byś ze Schetyną nie wytrzymał. Ciao, funky.

Wszyscy chyba znają wypowiedź Radosława Sikorskiego, który pytany, czy wierzy, że rząd PiS przez moment myślał o rozbiórce Ukrainy, powiedział w Radiu Zet, że jego zdaniem rząd miał moment zawahania w pierwszych 10 dniach wojny. Po tych słowach politycy PO niemal na wyścigi (z nielicznymi wyjątkami) prześcigali się w przytakiwaniu Sikorskiemu, który rzekomo nawet jeśli z przesadą, to z reguły trafnie diagnozuje sytuację w Polsce.

Trochę skomplikował im życie sam Sikorski, który kilka dni po sławetnym występie w Radiu Zet, ogłosił w mediach społecznościowych, że wcale nie powiedział tego, co powiedział, bo tak naprawdę odpowiadał na zupełnie inne pytanie. Mimo tej zadziwiającej linii obrony z chronienia Sikorskiego nie zrezygnował Donald Tusk, który zaklinał się, że świetnie zna polityka. „Słyszę w komentarzach naszych politycznych przeciwników takie bardzo krytyczne sądy na temat Radosława Sikorskiego – mówił lider PO. – Ja dokładnie znam jego życiorys. Wiem, że jako młody człowiek odważył się – chyba jako jedyny Polak – pojechać do Afganistanu wtedy, kiedy Związek Sowiecki atakował ten kraj. Tam była realna wojna, on miał prawdziwy karabin w rękę” – mówił Tusk.

Komentując wówczas w programie „W tyle wizi” słowa Donalda Tuska, pozwoliłam sobie na uwagę, że szef Platformy powinien być ostrożny, mówiąc o dokładnej znajomości życiorysu Sikorskiego, bo w każdej chwili mogą wypłynąć okoliczności, które sprawią, że Tusk będzie szybko musiał się z tych słów wycofać i przyznać, że właściwie nic o Sikorskim nie wie.

Kilka dni później okazało się, że wykrakałam. A może mam po prostu mniejszą wiarę w rzekomo czyste intencje Radosława Sikorskiego, o którym nawet rzecznik Departamentu Stanu Stanów Zjednoczonych – po głośnym tweecie, w którym Sikorski dziękował USA za zniszczenie Nord Stream 2 – mówił, że to rosyjska dezinformacja. Zresztą moją wiarę w intencje pana Sikorskiego podważa cały jego życio-

Ich człowiek w Parlamencie Europejskim

Teraz pojawiły się okoliczności, które chyba jednak zmuszą Tuska do zweryfikowania jego przekonania o nieposzlakowanej opinii o Sikorskim

– twierdzą rozmówcy gazety. Wcześniej portal Politico informował, że Sikorski zarabiał 40 tys. euro miesięcznie za nieokreślone konsultacje. Dziennik „NRC” informuje, że

Sikorski otrzymuje od Zjednoczonych Emiratów Arabskich 100 tys. dol. rocznie za doradztwo przy konferencji Sir Bani Yas. „Konferencja została utworzona przez Emiraty nieco ponad 10 lat temu jako sposób na prowadzenie międzynarodowej dyplomacji za pomocą »miękkiej siły«” – czytamy w dzienniku. Gazeta zaznacza, że konferencja (ma obecnie formę stałej instytucji) ma charakter zamknięty. „Prasa nie jest mile widziana, wszystko odbywa się w tajemnicy” – podkreśla „NRC”. Holenderski dziennik napisał, że Sikorski mówi w tym kontekście o „najśłynniejszej konferencji na Bliskim Wschodzie”.

„Zasiada w jej radzie doradczej od 2017 r., w wyniku czego otrzymał już prawie 0,5 mln euro od Ministerstwa Spraw Zagranicznych Emiratów Arabskich”. Gazeta zaznacza, że były szef dyplomacji w rządzie Donalda Tuska nie poinformował Parlamentu Europejskiego, iż przyjechał na konferencję w Emiratach pod koniec ub.r. na koszt tego kraju. Co więcej, z analizy głosowania Sikorskiego przeprowadzonej przez „NRC” wynika, że eurodeputowany zajmował stanowisko przychylne Emiratom i ich najwierniejszemu sojusznikowi – Arabii Saudyjskiej.

Itu znów wraca pytanie: kim pan jest, panie Sikorski? I czy w związku z publikacją Donald Tusk zechce likwidować także holenderskie media?

Dorota Łosiewicz



Następnego dnia po tym, jak Pentagon poinformował o odkryciu nad Montaną chińskiego balonu stratosferycznego, który realizował najprawdopodobniej misję szpiegowską, Białe Dom odwołał wizytę Antony Blinkena w Pekinie, pierwszą od 2018 r. na tym szczęblu. Podróż sekretarza stanu miała doprowadzić do zmniejszenia napięć między Ameryką a Chinami, szczególnie w takich kwestiach jak Tajwan czy chińska pomoc wojskowa dla Rosji.

Wydaje się, że bezpośrednim impulsem odwołania podróży było oświadczenie władz w Pekinie wydane kilka godzin wcześniej. Padają w nim stwierdzenia o tym, że balon nie służył celom wojskowym, lecz jedynie meteorologicznym, i władze chińskie, które oficjalnie przyznały się do utraty nad nim kontroli, dołożą w przyszłości wszelkich starań, by podobne wydarzenia się nie powtórzyły. Stanowisko Pekinu wzbudziło konsternację w Stanach Zjednoczonych przede wszystkim dlatego, że amerykańscy specjaliści są przekonani o szpiegowskiej misji chińskiego balonu. Kongresmeni podkreślili, że jego lot jest nie tylko naruszeniem amerykańskiej suwerenności, lecz także dowodem na to, że nie ma mowy o żadnej zmianie polityki Pekinu.



Afera balonowa

Po tym jak Donald Trump zaapelował o zestrzelenie balonu, w Ameryce rozgorzała dyskusja na temat szczelności obrony powietrznej kraju. Pentagon oświadczył, że od pierwszej chwili śledził wrogi obiekt, ale nie otrzymał z Białego Domu rozkazu jego zniszczenia. To z kolei zainicjowało dyskusję na temat niezdecydowania Joe Bidena i niezdolności obecnej administracji do podejmowania odważnych działań w odpowiedzi na wrogie kroki innych państw, tym bardziej

że oficjalne wyjaśnienia powodów zwłoki (obawa, że szczątki spadną na obszary zabudowane) nie przekonują niemal nikogo, bo Montana jest jednym z najrzadziej zaludnionych stanów.

Balon, którego użyli Chińczycy, przemieszczał się na wysokości 24–37 tys. m. Dzięki temu był trudny do wykrycia i oferował większe możliwości obserwacyjne niż znajdujące się na znacznie wyżej położonych orbitach satelity, nie mówiąc o tym, że jest od nich wielokrotnie tańszy. Zdaniem komentatorów oburzenie, które wybuchło po wykryciu chińskiego balonu, utrudni, jeśli nie zablokuje, jakiegokolwiek starania Joe Bidena na rzecz normalizacji relacji z Pekinem.

Marek Budzisz



Zatrute owoce gender

W Glasgow doszło do dwóch demonstracji. Po przeciwnych stronach kordonu stanęły feministki z organizacji Standing for Women oraz przeciwna im manifestacja środowisk LGBT+. Dlaczego doszło do konfrontacji grup mających – wydawałoby się – zbieżne cele, interesy i idee?

Protestujące feministki tłumaczyły, że do wyjścia na ulicę zmusił je szkocki rząd, który za wszelką cenę chce ułatwić uzyskiwanie certyfikatu uznania płci. Stoją one na bardziej tradycyjnym stanowisku, które odróżnia kobiety od osób urodzonych jako mężczyźni, a podających się za kobiety. Podobnie

jak sprzeciwiająca się ustawie pisarka J. K. Rowling, wskazując na negatywny wpływ takich pomysłów na prawa kobiet i ich bezpieczeństwo.

Przed Bożym Narodzeniem szkocki parlament przyjął projekt ustawy upraszczającej proces prawnej zmiany płci. Za jego przeforsowaniem stoi Nicola Sturgeon, premier Szkocji i liderka Szkockiej Partii Narodowej opowiadającej się za niepodległością kraju. Projekt uchwalono przy sprzeciwie opinii publicznej oraz niezadowoleniu we własnej partii. Znosi on bowiem wymóg diagnozy medycznej o niezgodności płciowej, wprowadzając wszystko do oświadczenia woli zainteresowanej osoby. Obniżono również próg, w którym można o to wystąpić, z 18 do 16 lat. W styczniu ustawa została zablokowana przez brytyjski rząd ostrzegający m.in. przed falą fałszywych wniosków lub osób działających w złej wierze. I tak też się dzieje.

W latach 2016–2019 Adam Graham zgwałcił dwie kobiety, które poznał za pośrednictwem aplikacji randkowej. W 2019 r. został postawiony przed sądem, ale po roku złożył oświadczenie, że czuje się kobietą, i podjął decyzję

o zmianie płci. „Nigdy bym tego nie zrobiła. Nigdy nie skrzywdziłabym żadnej kobiety” – zeznał już jako Isla Bryson, wypierając się dokonania gwałtów. Zanim ten fakt został ujawniony przez media, więzień został skierowany do kobiecego więzienia. Tam na szczęście odseparowano go od kobiet i przebywał w odosobnieniu. „Wysłanie go do więzienia dla kobiet jest oburzające. Czy któraś z więźniarek nie padnie jego kolejną ofiarą?” – pytała jedna z protestujących feministek.

Szkocka premier wpadła w polityczną pułapkę i zdecydowano o przeniesieniu gwałticiela do więzienia dla mężczyzn. Brytyjska opinia publiczna jest w szoku. Karmiona ideologią lansującą swobodę wyboru płci, została zmuszona do przejścia prawdziwego testu pokazującego, czym kończy się ta rewolucja. Cała sprawa rozgrywa się też na tle niepodległościowych aspiracji Szkocji. Pozycja Nicolii Sturgeon została zakwestionowana, a jej wyborcy – szkoccy nacjonaliści – poparli decyzję Londynu o zablokowaniu szkodliwej ustawy.

Maciej Walaszczyk



Niechlubna przeszłość patriarchy

Szwajcaria +

Szwajcarskie Archiwa Federalne odtajniły akta policyjne, z których wynika, że obecny patriarcha Moskwy Cyryl był w przeszłości agentem KGB. Ówczesny archimandryta Władimir Gundiajew przyjechał do Genewy w 1971 r., by pełnić tam funkcję przedstawiciela patriarchatu moskiewskiego przy Światowej Radzie Kościołów. W 1975 r. został wybrany do komitetu wykonawczego tej organizacji. Według szwajcarskich służb, które się nim zainteresowały, zadaniem agenta było wpływanie na genewską instytucję, by potępiała działanie Ameryki i jej sojuszników.

To kolejne potwierdzenie agenturalnej działalności Cyryla na rzecz komunistycznego reżimu. Pierwszym, który ujawnił ten fakt, był mjr Wasilij Mitrochin, w latach 1972–1984 archiwista I Zarządu Głównego KGB, który przeszedł na stronę Brytyjczyków, przekazując im mikrofilmy zawierające 25 tys. stron ściśle tajnych sowieckich dokumentów.

Co ciekawe, jedyny do tej pory proces o zniesławienie patriarchy odbył się w Sofii. W 2018 r. Cyryl, przebywając w tym mieście, skrytykował Bułgarów, iż nie są dostatecznie wdzięczni Rosjanom za wyzwolenie w 1878 r. spod okupacji tureckiej. Trzy dni później odpowiedział mu bułgarski wicepremier Waleri Simeonow: „Ten człowiek nie zstąpił z niebios, nie przyszedł z raju i nie jawi się wysłannikiem Jezusa Chrystusa. Jest znany jako nikotynowy metropolita Rosji. [...] Ten chytrus przywiózł bez akcyzy papierosy o wartości 14 mld dol. i wino na potrzeby Cerkwi na sumę 4 mld dol. Ma swój prywatny samolot. Jego zegarek kosztuje 30 tys. Kim on jest? To nie żaden prawosławny ksiądz. To agent Michajłow – drugorzędny agent sowieckiego KGB. I ten człowiek ma czelność mówić o sprawiedliwości? Drugorzędny agent sowieckiego KGB będzie nam opowiadał, co powinniśmy, a czego nie?”.

Simonow za swe słowa został pozwany do sądu przez lidera prorosyjskich środowisk gen. Emila Milanowa, który postanowił bronić dobrego imienia patriarchy. Sąd stanął jednak po stronie wicepremiera, uznając, że Cyryl był agentem. **Grzegorz Górny**



Rosja

Czekając na katastrofę

Od chwili wprowadzenia sankcji na Rosję trwa spór na temat ich skuteczności. Zdaniem sceptyków restrykcje nic nie dają, bo putinowski reżim jak dotąd się nie załamał. W rzeczywistości problemy Moskwy narastają stopniowo i jeśli nie zostaną rozwiązane, mogą osiągnąć punkt krytyczny.

Dobrym przykładem długofalowego oddziaływania sankcji jest rosyjski transport lotniczy. Do wybuchu wojny na Ukrainie rosyjskie linie lotnicze używały leasingowanych samolotów zachodnich producentów. W wyniku sankcji maszyny miały zostać zwrócone. Tak się jednak nie stało, bo rosyjskie linie nie miałyby czym wozić pasażerów. W rezultacie Rosjanie nie mogą dziś używać zachodnich samolotów na trasach zagranicznych, ponieważ poza własnymi granicami zostałyby im natychmiast odebrane. Ale nie to jest największym zmartwieniem. Prawdziwy problem polega na tym, że zagarnięte maszyny zostały pozbawione serwisu i części zamiennych.

Do tej pory radzono sobie z tym w dwojaki sposób: albo omijano sankcje, kupując nielegalnie części za pośrednictwem państw trzecich, albo wyjmowano potrzebne elementy z innych maszyn. I samoloty latały dalej, sprawiając wrażenie, że transport lotniczy w Rosji jest odporny na sankcje. To jednak nieprawda. Po kilku miesiącach takiej partyzantki samoloty zaczęły ulegać awariom. Według statystyk od połowy 2022 r. gwałtownie wzrosła liczba incydentów związanych z brakiem serwisu, począwszy od awarii podwozia i hamulców, kończąc na rozhermetyzowaniu kabiny, wyciekach paliwa i odpadających częściach w czasie lotu. W styczniu br. praktycznie każdego dnia dochodziło do awarii. Na razie obywa się bez ofiar, ale – jak przyznają eksperci – poważna katastrofa jest kwestią czasu.

W samolotach są montowane nieoryginalne części kupowane w Chinach, Indiach, Iranie i państwach Afryki. Nikt nie zna ich pochodzenia ani nie sprawdza jakości. W jednej z maszyn zainstalowano chińskie hamulce. Załodze kazano obserwować ich działanie, ponieważ nie było jasne, czy złe materiały nie spowodują przegrzania i pożaru.

Jak piszą media internetowe, każdy, komu życie mile, wie, że należy unikać latania samolotami rosyjskich linii lotniczych. Jeśli podróżować to tylko pociągiem, samochodem lub na pokładzie maszyn obcych przewoźników. Ale nie zawsze jest to możliwe. Rozmiary terytorium oraz zacośanie infrastrukturalne Rosji powodują, że w wielu regionach nie ma alternatywy dla transportu lotniczego. Wiele więc wskazuje na to, że wskutek sankcji całe połacie Rosji mogą zostać odcięte od świata.

Konrad Kołodziejski

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nie z nami te numery, Brunnery!



**Jan
Pietrzak**

Główna komisarka europejska, odwiedzając Kijów w celu poprawienia swojego wizerunku w mediach, przywiozła Ukrainie suvenir w formie znacznej liczby żarówek. Wymowny gest, przypominający kaganek oświaty niesiony przez wyższe sfery w dawnych czasach nieoświeconym plebejom, vulgo: ciemnym masom. Mogło być gorzej, ponieważ dysponuje ta pani dużymi nadwyżkami szczepionek przeciw wczesnej mutacji covid, którymi zajęła się prokuratura. Co z tego wyniknie, jeszcze nie wiadomo, bo kolejne transze wypłat nie odpowiadają ewoluującym mutacjom wirusów. Zostawmy to na potem.

Porównując żarówkowy prezent z hełmami ze strategicznych rezerw NRD, którymi obdarował walczących Ukraińców niemiecki kanclerz – jest postęp. Sławetny niemiecki pacyfizm nie ma sobie równych. Np. ostatnio wymyślono za Odrą, jak pokojowo opanować polskie ziemie, które nieustannie wymykają im się spod buta. Jedną trzecią Polski zajmują lasy, a jak wiemy, lasy są ważnym komponentem klimatycznego „miru” komisarza Timmermansa. Jest wyczulony na problematykę leśną, bo w jego kraju lasów prawie nie ma, a grzyby są karane aresztem. Szczególnie aspekt partyzanckich tradycji ma tu istotne znaczenie. Jeżeli ciemnienie Polaków pod przykrywką Brukseli będzie dalej szło w obecnym tempie, niebawem należy się spodziewać leśnych oddziałów z kosami na sztorc w asyście zubrów, wilków, dzików, niedźwiedzi hodowanych na takie okazje. I tego sztab komisarzy woli uniknąć. Nauczyli się wysysać swoje marze w sposób poufno-administracyjny.

Gwałtowne starcia niepotrzebnie zwracają uwagę na worki banknotów gromadzone przez kolekcjonerów z kręgu Ewy Kaili. Założone przez socjalistów towarzystwo miłośników korupcji ma na swoim koncie olbrzymie sukcesy. Nieprzemysłane awantury na terenach Natura mogą ten kapitał mocno nadwyrężyć. A więc jako partnerzy ostrzegamy: nie z nami te numery, Brunnery! My też tu mamy swoje kamienie milowe. Oczywiście relacje zachodnich sąsiadów z nami i z Ukrainą to dwie zupełnie różne narracje, ale tak się porobiło, że los Ukrainy jest nam dużo bliższy niż rozterki psychiczno-polityczne Niemców i ich Timmermansów.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Polacy i Ukraińcy. Bądźmy równi

Nie ukrywam, że mnie to trochę martwi, trochę niepokoi. Znajomi, którzy stworzyli grupę wynajmującą mieszkanie dla uciekinierów z Ukrainy, nagle zorientowali się, że część z gości – nikogo nie informując – wyjechała z Polski ma Zachód, a w kilkudziesięciometrowym lokalu została tylko matka z dzieckiem. Nikt im o tym nie powiedział, a płacą przecież 4 tys. zł za wynajem tego lokum. Tak to nie powinno działać i albo dla Ukrainki z maluchem trzeba znaleźć mniejsze i tańsze mieszkanie (odmawia, bo twierdzi, że się z sąsiadami zaprzyjaźniła), albo kogoś tam dokwaterować.

Inna historia: dzięki dobrym Polakom pani z Ukrainy od paru miesięcy korzysta z mieszkania za darmo. Nic nie płaci. Choć znalazła pracę, to nawet nie myśli, żeby się usamodzielnic, choć ona odbiera kolejne wypłaty, a miesiące mijają.

Że już nie wspomnę o maybachach, mercedesach i porbach, które parkują wzdłuż mojej ulicy w centrum miasta, przed ekskluzywnym hotelem (i zajmują mi miejsca parkingowe), nie płacąc nawet tych drobnych opłat, których od Polaków wymaga miasto, bo nie muszą. To, że ratusz jest beźmiernie głupi, a prezydent jest, jaki jest, wszyscy wiemy. Ale



**Dominik
Zdort**

to, że te kosztujące setki tysięcy złotych samochody, w których zasiadają 30-latkowie z Ukrainy w wieku poborowym, są zwolnione od opłat, musi martwić. Jak mówi moja znajoma: może by sprzedali swoje drogie auta i kupili za to parę leopardów?

Czas na bezwzględność miłości do Ukraińców i na tolerancję wobec ulg dla nich się kończy. Ja jestem z całego serca za pomocą dla naszych sąsiadów, ale z czasem ci, którzy wybrali emigrację u nas, muszą stać się mieszkańcami Polski, mającymi nie tylko prawa (takie same jak my), lecz także obowiązki. Tak jak wobec swojej dawnej, tak i wobec nowej ojczyzny.

Jeśli polskie władze nie postanowią, że jesteśmy równi, to pojawi się coś, czego nikt rozsądny by nie chciał. Będzie niechęć do uchodźców, którzy mają – w stosunku do nas – przywileje. Łatwiej jest im dotrzeć do lekarza z NFZ, parkować za darmo, załatwiać sprawy w urzędach poza kolejką. OK, kochani Ukraińcy, przyjęliśmy was, bo Rosja nas brzydzi tak jak was. Ale skoro mija rok, od kiedy jesteśmy razem w Polsce (i dobrze), to zrozumcie, że powinniśmy mieć takie same przywileje jak wy.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

Dziecinnienie demokracji

W takim państwie nauczyciel boi się uczniów i zaczyna im pochlebiać, a uczniowie nic sobie nie robią z nauczyciela. [...] W ogólności młodzi ludzie upodabniają się do starszych i puszczają się z nimi w zawody i w słowach, i w czynach, a starzy siadają razem z młodymi, dowcipkują i stroją figle, naśladując młodych. [...] ten ustrój jest taki piękny i taki młodzieniaszkowaty, a z tego się robi dyktatura [...] dzięki temu, że tu wszystkim wszystko wolno. [...] wszelki nadmiar lubi się obracać w swoje wielkie przeciwieństwo”.

To oczywiście „Państwo” Platona. Jego krytyka demokracji, której końcowe zdania przytoczyłem, jest tak przenikliwa, że gdyby cytować ją, zmieniając tylko niektóre rekwizyty, odbiorca nieznający oryginału byłby pewny, że napisana została dzisiaj, a nie prawie 2,5 tys. lat wcześniej.

Trzy miesiące temu Niemcy obniżyli do 16. roku życia próg głosowania do PE. W Austrii i Grecji 16-latkowie wybierają parlament krajowy. Najbardziej ujął mnie jednak Sąd Najwyższy w Nowej Zelandii, który ogłosił niedawno, że brak prawa wyborczego dla niepełnoletnich jest... dyskryminacją, czym raz jeszcze dowiódł, że największym zagrożeniem dla Zachodu jest dzisiaj tzw. wymiar sprawiedliwości.

Platon wskazuje, że skłonności infantylne są wbudowane w demokrację. Jeśli jedynym kryterium politycznym ma być decyzja większości, to zaczynamy traktować ją jako normę wszystkiego. Efektem jest zakwestionowanie porządku dobra, cnót czy wartości, a więc faktycznie ich istnienie. Zaczyna dominować kaprys doraźnej większości. Postawy takie są charakterystyczne dla ludzi niedojrzałych i generują niedojrzałość. A żywił ten należy jak można ograniczać również w obronie demokracji, gdyż brak odpowiedzialności, a tym jest niedojrzałość, niszczy każdy ustrój czy projekt polityczny. Demokracja potrafi przetrwać wyłącznie na fundamencie ugruntowanej kultury, która integruje zbiorowość i odwołuje się do oczywistego dla wszystkich porządku wartości.

Możliwość głosowania dla 18-latków budziła sporo uzasadnionych kontrowersji, ale była trudna do uniknięcia ze względu na pełnię praw również publicznych dla osób pełnoletnich. Przyznawanie praw wyborczych niepełnoletnim wygląda jak kpiny z polityki. Osoby, które w sprawach swojego dobra zależne są od opiekunów, mają decydować o podstawowych zagadnieniach dobra publicznego.

Nie o racje jednak chodzi, ale o polityczny interes. Rzeczniczka SPD uzasadniała przyznanie praw wyborczych 16-latkom tym, że młodzi występowali w obronie środowiska. Czy działania te wynikały z głębokiej ekologicznej wiedzy, czy uległości hysterii, którą inicjowały dobrze zorganizowane i świadome

swojego interesu ośrodki? Czy ekoleki – na naszych łamach pisał o nich Dariusz Matuszak – czyli wywołane u młodych przez klimatyczną propagandę nerwice, które popychają ich do aktów agresji wobec dorosłych, to znamiona politycznego rozumu?

Niedojrzałych ludzi łatwo zachęcić do radykalnych działań, które pod sztandarami postępu mają zbawić świat. Dysponujące ośrodkami opiniotwórczymi oraz masową kulturą lewicowo-liberalne środowiska uzyskują w ten sposób grupy politycznego wsparcia, którym wiedza czy doświadczenie życiowe nie będą przeszkadzały gonić za ideologicznymi mrzonkami. A te – w rodzaju działań ekologicznych – łatwo zużytkować politycznie i ekonomicznie.

Młodość niesie w sobie potencjał energii, która może być dowolnie wykorzystana. I dlatego polityka powinna być domeną ludzi dojrzałych, którzy zdają sobie sprawę ze złożoności rzeczy i którymi trudniej manipulować. Ideologowie chętnie wykorzystują młodzież, którą łatwo przekonać, że burząc to, co jest, można stworzyć raj na ziemi. Bojówki komunizmu, faszyzmu czy nazizmu tworzyli młodzi aktywiści. Naturalnie, dowodzili nimi ludzie dorośli. Tak samo dziś. Rewolucja gospodarczo-społeczna pod hasłem obrony klimatu, walka o prawa mniejszości LGBT+, o społeczeństwa wielokulturowe i wszystkie inne normy emancypacji są niesione przez młodych, którymi powodują świadomi swoich interesów politycy i ideologowie.

Alexis de Tocqueville twierdził, że wewnętrzny dynamizm demokracji prowadzi ją do przekształcenia się w tyranie większości. To jednak raczej metafora, która akcentuje dyktat opinii publicznej zorganizowanej i kontrolowanej przez mniejszość. Dziś jej celem jest przebudowa naszego świata zgodnie z wyobrażeniami i interesami nielicznych „wyemancypowanych” grup.

W trakcie swoich rządów PO równocześnie rozważała obniżenie wieku wyborczego i podwyższenie do 21 lat możliwości uzyskania praw jazdy. Czy potrzeba to komentować? Dziś do obniżenia wieku wyborczego wzywa Hołownia, który nie może wyrosnąć z płacziwego wzruszania się nawet normami prawnymi.

W świecie, w którym niedojrzałość staje się ideałem, triumfy będzie święcić brak odpowiedzialności. 





Walizka Marioli Bojarskiej-Ferenc

dziennikarki, wykładowczyni work-life balance

Przede wszystkim kocham podróże. Najbardziej lubię takie, które łączą się z moim życiem zawodowym, a dzięki którym przy okazji mogą zobaczyć, zwiedzić nowe miejsca. Taka formuła moich wyjazdów obowiązywała przez 25 lat, kiedy jeździłam regularnie do Stanów Zjednoczonych na kongresy największych światowych organizacji zajmujących się rozwojem fitnessu. To wtedy zwiedziłam Nowy Jork, Los Angeles, San Diego, Orlando, Las Vegas, Miami i Hawaje. Przy okazji poznawałam kulturę Ameryki i zupełnie inne podejście do życia. Z kolei prywatnie uwielbiam wyjazdy do Włoch, które co roku odwiedzam. Kiedyś myślałam sobie, że nigdy nie pojadę dwa razy do tego samego miejsca. Tymczasem znalazłam swoje miejsce na ziemi i od wielu lat jeżdżę w okolice Forte dei Marmi, nadmorskiej miejscowości. W pobliżu znajduje się miejscowość Pietrasanta o przepięknej architekturze, w której tworzył nasz słynny artysta rzeźbiarz Igor Mitoraj. Co roku na rynku w miasteczku są organizowane wystawy rzeźb różnych autorów. Drugim miejscem, które uwielbiam, jest Francja, której mój mąż wręcz nie znosi. Francja nie kojarzy mi się z odpoczynkiem, bo plaże nie są za szerokie, a co za tym idzie – są zatłoczone. Tam się za dużo dzieje, więc spokojny spacer nie wchodzi w rachubę. Za to bieganie po sklepach i restauracjach jak najbardziej.

MAKARONY

Ponieważ cała moja rodzina świetnie gotuje, z wakacji zawsze przywożę rzeczy związane z kulinariami. W związku z tym kupujemy produkty typowe dla tego miejsca, w którym przebywamy. Kocham spaghetti i obowiązkowo wybieram te zabarwione atramentem ośmiornic.



PARMEZAN

Uwielbiam parmezan, dlatego zawsze w drodze powrotnej z Włoch w walizce musi się znaleźć spory jego kawałek.



BALSAMICO I OLIWA

Toskania słynie z świetnej oliwy i balsamico. Oba te produkty są świetnym dodatkiem do sałatek, różnych dań, sosów i marynat. Bez nich włoska kuchnia nie byłaby tak wyjątkowa.





SUPLEMENTACJA

Ponieważ jestem osobą świadomą, cały czas myślę o swoim zdrowiu. Zawsze zabieram z sobą witaminę D. W wieku dojrzałym należy ją spożywać codziennie. Dla sprawności umysłowej jest wskazany magnez. Suplementy Q10 też wspaniale pobudzają mózg i doskonale działają na ciało.



TOREBKA, BUTY

Nie wyobrażam sobie, żeby na wakacje nie zabrać fajnych dodatków. Myślę tutaj o markowej torebce, np. Chanel, i dobrych butach. Buty konieczne na małym lub płaskim obcasie, bo uważam, że to wręcz nieelegancko chodzić w szpilkach w miejscowościach wakacyjnych.



SUKIENKA

Nie może też zabraknąć eleganckiej sukienki, np. od Prady lub autorstwa naszej projektantki Magdy Butrym. Bo nigdy nie wiadomo, kiedy może nadarzyć się okazja, gdy trzeba wyglądać jak milion dolarów.



STRÓJ SPORTOWY

Na wakacje nie ruszam się bez stroju sportowego. Legginsy, koszulki i obuwie sportowe muszą być zabrane, ponieważ trening jest wpisany w moje życie. Każdy dzień – jeszcze przed śniadaniem – rozpoczynam od ćwiczeń.



PAVAROTTI

Jeżeli chodzi o muzykę w podróży, to zabieram z sobą swojego ukochanego Pavarottiego, a wraz z nim pozostałych dwóch tenorów. Kocham też płytę „Pavarotti & Friends”, która mnie uspokaja, wycisza i wprawia w dobry nastrój.



FORTEPIAN

Moim marzeniem od dziecka jest nauczenie się gry na fortepianie i gdyby była taka możliwość, to do drugiej walizki wsadziłabym ten instrument wraz z Markiem Drewnowskim, naszym wielkim pianistą. Lekcje gry pod okiem maestro byłyby czymś wyjątkowym.



MOJA WIZYTÓWKA

Książki mojego autorstwa traktuję jak wizytówki, dlatego że dwa egzemplarze pakuję przed każdym wyjazdem. Często spotykam wyjątkowych ludzi, z którymi się zaprzyjaźniam, a książka – np. „Trener życia. Life balance” – to niezobowiązujący, miły prezent.



FILM

Jeżeli chodzi o filmy, to bardzo kocham Jane Fondę, także dlatego, że była prekursorką aerobiku na świecie. Ta forma aktywności zamieniła się potem w wielki fitness. Jej motto: „Lepiej zrobić coś niż nic”, jest bliskie mojemu sercu, a komedia „Sposób na teściową” ostrzeżeniem, jaką nie być dla swoich synowych. W filmie „Narodziny gwiazdy” Lady Gaga wykonuje utwór, którego chciałabym się nauczyć grać, no właśnie z Markiem Drewnowskim...



ZAPACH

Uważam, że każda kobieta powinna mieć swój zapach, który się z nią absolutnie kojarzy. I ja taki zapach mam. To jest Dior Ambre.



GUMA

Tym małym kawałkiem gumy można wykonać trening całego ciała.

Fakt, że zajmuje bardzo mało miejsca w walizce, jest dodatkowym atutem.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Plan ucieczki i siwucha



Igor Girkin to były oficer rosyjskiego Specnazu, uczestnik wojny na Bałkanach po serbskiej stronie, a w końcu głównodowodzący promoskiewskich separatystów, bojówek w Donbabwe (czyli samoobrony Donieckiej Republiki Ludowej) oraz były minister obrony tego kacapskiego bantustanu. Holenderska prokuratura zarzuciła mu sprawstwo zestrzelenia samolotu Malaysia Airlines (lot MH 17) i wydała międzynarodowy nakaz aresztowania. W 2022 r. holenderski sąd zaocznie skazał go na dożywocie. Obecnie Girkin słynie z krytyki działań Moskali na ukraińskim froncie. We wrześniu 2022 r. przepowiedział całkowitą klęskę wojsk rosyjskich w prowadzonej wojnie, uważając, że minister obrony Siergiej Szojgu powinien zostać postawiony pod ścianą i stracony przez pluton egzekucyjny. Niejako przy okazji wezwał do użycia taktycznej broni jądrowej przeciwko Ukrainie. Ściga go również ukraiński wywiad (HUR i SBU), a za jego schwytanie wyznaczono nagrodę w wysokości 100 tys. dol. Odsunięty od armii przebywa „na wygnaniu” w Moskwie i w rozmowie z blogerem Andriejem Karamułowem stwierdził: „Putin może mieć zamiar odejść, uciec, porzucić wszystko wtedy, gdy nadejdzie krytyczna sytuacja. Zgodnie z jego profilem psychologicznym, to właśnie w tej sytuacji jest najbardziej skłonny do paniki i może próbować po prostu uciec, by ratować swoje życie. Mniej więcej tak jak Janukowycz – ten sam typ faceta”. W ten sposób nawiązał do słów Abbasa Galiamowa, byłego autora wystąpień Władimira Putina, który powiedział, że najważniejsi rosyjscy politycy mają przygotowany plan ucieczki do krajów Ameryki Południowej. Mowa była o Argentynie i Wenezueli. Niedługo zobaczymy, czy obaj mieli rację, bowiem istnieje poważna groźba, że

szumnie zapowiadana ofensywa wojsk moskiewskich spali na panewce. Wtedy władcom Kremla zacznie się palić pod tylną częścią ciała i może faktycznie dać nogę, chowając się wśród mokradeł amazońskiej dżungli. Ale od czego jest ukraiński wywiad. Chłopaki z HUR i SBU zapewne będą chcieli powtórzyć wyczyn Żydów, którzy kilku takich „specjalistów” z 1000-letniej III Rzeszy wyciągnęli za kudły i postawili przed sądem w Izraelu bądź poczęstowali kulą.

Apropos kacapskiej ofensywy. Od kilku dni różnej maści specjaliści od wojskowości twierdzą, że ona się już zaczęła. Jeśli tak, to w opinii innych specjalistów (są w przytłaczającej większości) panuje taka zasada, że operacja wojskowa uzyskuje sukces lub ponosi klęskę w ciągu pierwszych 72 godzin. Jeśli po trzech dobach nie ma wyraźnych wyników, nie ma sukcesu. A więc można domniemywać, że wielka zimowa ofensywa Moskwy zakończyła się tak, jak się zaczęła. To znaczy zasadniczo niczym, albowiem pod koniec trzeciej doby możemy powiedzieć, że kolejny rosyjski zryw nie dał rezultatu, jakiego oczekiwano na Kremlu. Najpierw miał miejsce solidny łomot pod Wuhłedarem. Tylko pierwszego dnia Moskale stracili ponad 1 tys. bojów. W tej masakrze zniszczeniu uległo 30 rosyjskich czołgów i bojowych wozów piechoty. Artyleria ukraińska rozbiła część, reszta usiłując uciec z pułapki, wjechała na pole minowe. Ruski standard natarcia. Atakują ciągle w tych samych miejscach. Udało im się przerwać ukraiński front na wysokości Błahodatnego, ale zostali natychmiast zatrzymani na kolejnej linii pod Zaliznem. Bachmut

trzyma się nadal, a wagnerowcy od pół roku pelzają, zdobywając kilka metrów dziennie za cenę ogromnych strat. I tak wszędzie. W polskim Twitterze ukazała się analiza podpułkownika rezerwy pod nazwą „Operacja Sztylet”, w której rozważa on hipotetycznie możliwą rosyjską ofensywę. Ataki na Zaporozże, Charków oraz wyjście na tyły ukraińskich wojsk z trzech stron. Problem polega na tym, że szturm według podpułkownika ruski prowadzi z miejsc, gdzie do tej pory nie odnotowano większej koncentracji ich wojsk. Kolejna analiza specjalisty ze szkoły Ludowego Wojska Polskiego. Rozumowanie w stylu generałów Stanisława „Szoguna” Koźmiana czy Mirosława Różańskiego, obecnie doradcy ds. bezpieczeństwa ugrupowania Hołowni. Na mapie często wszystko ładnie wygląda. Na szczęście Siły Zbrojne Ukrainy skutecznie weryfikują te rojenia.

Rosjanin potrafi znieść dużo. Jak pokazała historia, prawie wszystko. Będzie zdychał na polu bitwy traktowany przez dowódców niczym mięso armatnie, głód i mróz też nie robią na nim większego wrażenia. Przemoc to rzecz normalna – zarówno w stosunku do kobiet, jak i zwierząt. Nawet terror państwowy idzie wytrzymać. W końcu Rosjanie zdążyli się przez stulecia przyzwyczaić. Jednej rzeczy jednak nie zniosą. Braku alkoholu. Tymczasem władcy Kacapii nie dość, że podnieśli urzędową cenę wódki, to nakazali służbom prowadzić akcje wymierzone w producentów bimbru. Analitycy biznesowi szacują, że ceny siwuchy mogą wzrosnąć nawet o 30 proc. To gorsze niż sankcje. Rewolucja wisi na włosku. 

Andrzej Rafał Potocki

Spacer po Zakopanem



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Trwają wciąż ferie, więc trzeci z kolei felieton nawiązujący do najpopularniejszego polskiego zimowego kurortu powinien być wybaczalny, a może nawet uzasadniony i przydatny dla czytelników co najmniej w takim samym stopniu jak dla autorki tej skromnej rubryki.

Zakopane powszechnie kojarzy się z ekscentryczną postacią Stanisława Ignacego Witkiewicza, bezkompromisowego awangardzisty, króla bohemy, dramatopisarza, doskonałego portrecisty i fotografa. Postać tego wyjątkowego artysty jest w stolicy Podhala wciąż żywa za sprawą prężnie funkcjonującego teatru z siedzibą w dawnym zakładzie wodoleczniczym, licznych pastelach i rysunków spoglądających przejmującymi spojrzeniami swoich modeli ze ścian witkiewiczowskich willi.

Firma Portretowa S. I. Witkiewicz mieściła się w niedostępnej dziś Witkiewiczówce na Antałówce i działała jak przedsiębiorstwo, posiadając swój regulamin, który przewidywał możliwość zamówienia różnego rodzaju portretów. Począwszy od „wygładzonego”, wyretuszowanego, przez taki z nutą fantazji, do wręcz plastycznej wariacji na temat modelu widocznej za sprawą substancji zażywanych przez jego twórcę, co było na poszczególnych obrazach skrupulatnie odnotowywane. Kto nie zdołał zobaczyć wielkiej wystawy Witkacego w Muzeum Narodowym w Warszawie, niech żałuje, ale wycieczka śladami jego twórczości po Zakopanem może stać się równie ciekawym przeżyciem.

Asamblaż to nieczęsto używane pojęcie odnosi się wprost do techniki, którą stosował inny ekscentryczny zakopianin – Władysław Hasior. Jego trójwymiarowe kolaże można oglądać w niedysiejszej leżakowni sanatorium Warszawianka. Prace tego artysty nie należą do najłatwiejszych w odbiorze, ale nie można im odmówić oryginalności.

Karol Szymanowski podobnie jak Witkiewicz był w latach 20. ikoną Zakopanego. Fascynował go góralski folklor, a w szczególności muzyka, która stała się dla niego inspiracją do napisania m.in. baletu „Harnasie”. Szymanowski pokochał witkiewiczowską willę Atma, którą nazywał swoim miejscem na ziemi. Dziś w tym budynku mieści się muzeum, które swoim wnętrzem odzwierciedla czasy, w których zamieszkiwał ją kompozytor. Warto przekroczyć próg tej doskonale zachowanej willi.

Poeta, dramaturg, tłumacz Jan Kasprowicz to postać także związana z Zakopanem, choć pozbawiona góralskich korzeni, bo wywodząca się z Kujaw. Porzucił posadę rektora Uniwersytetu Lwowskiego, by osiąść w willi Harenda, którą kupił od pewnej angielskiej malarki. Budynek obecnie pełni funkcję muzeum Kasprowicza – podobno w stanie niezmienionym od czasów, w których mieszkał w niej pisarz.

Spacerując ul. Józefa Piłsudskiego w kierunku Wielkiej Krokwi, mijamy po prawej stronie modernistyczny budynek Astorii – Willi Literatów. Na elewacji widnieje tablica z informacją, że ostatnie dni swojego życia spędził w niej Julian Tuwim. Trudno przejść obok tego miejsca obojętnie, będąc rodzicem przedszkolaka, a i z własnego dzieciństwa znając na pamięć jego wierszowane opowieści. Podobnie z sentymentem za pewien

czas będzie można odwiedzić pozostające wciąż jeszcze w remoncie muzeum autora „Koziołka Matołka” i „O dwóch takich, co ukradli księżyc” Kornela Makuszyńskiego, mieszczące się w willi przy ul. Tetmajera, którą pisarz wraz z żoną regularnie odwiedzali, by po II wojnie światowej osiedlić się w niej na stałe.

Okazały budynek dawnego Domu Pracy Twórczej im. Stefana Żeromskiego kryje w sobie wspomnienia wielu pisarzy. Bywali w niej Czesław Miłosz, Magdalena Samozwaniec, Marek Hłasko, Sławomir Mrożek. Stanisław Lem napisał tu „Solaris”, a Wisława Szymborska otrzymała wiadomość o przyznanej jej Nagrodzie Nobla. Przemierzając zakopiańskie Krupówki, warto wyjść z panującego na nich zgiełku i odwiedzić otwarty na nowo w styczniu br. gmach główny Muzeum Tatrzańskiego im. dr Tytusa Chałubińskiego – ostatni projekt Stanisława Witkiewicza. Muzeum, które niegdyś mogło się kojarzyć z nieco przykurzoną upływem czasu ekspozycją przeszło rewitalizację, która uczyniła je placówką przystającą do dzisiejszych czasów, zaaranżowaną w sposób pozwalający na przekazanie pigułki informacji na temat przyrody i kultury zakopiańskiej w możliwie najbardziej przystępnej formie. 

Z wielkim żalem żegnam

**ŚP.
JANINĘ WEHRSTEIN**

*zastępną działaczkę „Solidarności”
i Stowarzyszenia „Godność”, współzałożycielkę
Gdańskiego Oddziału Rodziny Katyńskiej.*

*Wielokrotnie aresztowana i represjonowana,
pozostała osobą niezłomną.
Była przykładem odpowiedzialności za Ojczyznę
i zaangażowania w sprawy najważniejsze.*

*Odznaczona Krzyżem Oficerskim
Orderu Odrodzenia Polski*

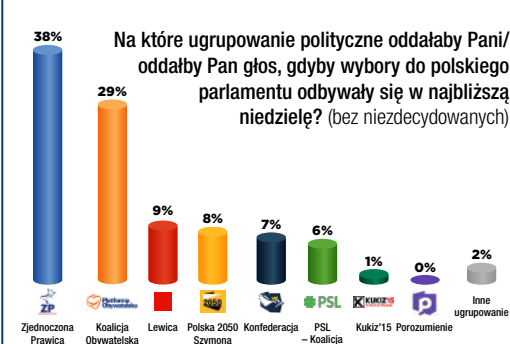
**Rodzinie i Bliskim
składam wyrazy głębokiego współczucia**

*Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów*

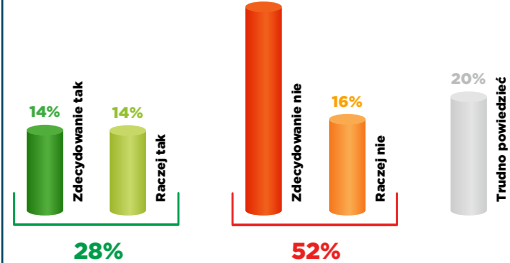
Rysują Mr Donk & dr Fish



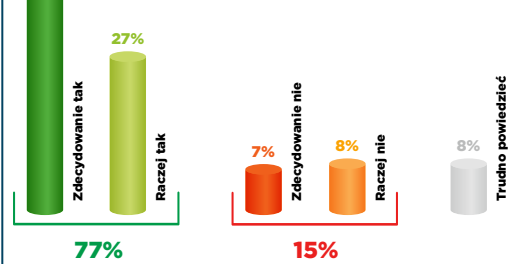
pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**



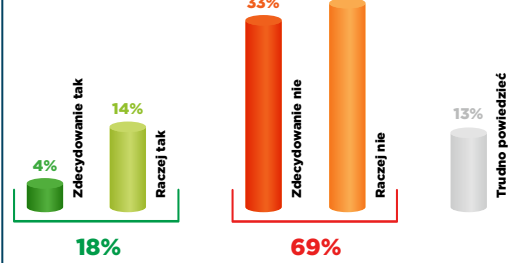
Czy według Pani/Pana objęcie przez Donalda Tuska funkcji premiera miałyby korzystny wpływ na życie większości Polaków?



Czy popiera Pani/Pan wprowadzenie zakazu sprzedaży napojów energetycznych (zawierających m.in. duże ilości kofeiny oraz cukru) dzieciom i młodzieży poniżej 18. roku życia?



Czy według Pani/Pana ceny podstawowych produktów żywnościowych w Polsce przestały mocno rosnąć i zaczęły się stabilizować?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1063. Zakres czasowy badania 3-6 lutego 2023 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA, MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁĄBECKA, ANIA.ŁĄBECKA@FRATRIA.PL, OBRÓBKĄ ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZES RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZAŁSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JEZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMOWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMIOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZES WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

POCZTA ELECTRONICA POLSKA
PBC
WYDAWCA

FOT. NA OKŁADCE: P.MOLEK/ISTOCK NEWS, D.BANDIC, S.WALSH/AP PHOTO, ABACA/ISTOCK NEWS, AP/IN/APPEARS NEWS, FLEGG/AND – COMEO, A.MOHALLUS/K. KAVOLIS, B.VUKIC/BKHIDER, S.SHEVCHENKO/SHUTTERSTOCK

„Kanaliala” cytuje TVN

Jesteś kanalia!” – tak Urszula Augustyn (była wiceminister kultury!) zareagowała na zacytowanie przeze mnie materiału TVN na temat Pawła Adamowicza. Posłanka wściekła się, że na posiedzeniu sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu ktoś śmiał za pomocą faktów przeciwstawić się propagandzie Platformy Obywatelskiej, czyli zrobić coś, czego robić nie wolno i do czego PO wciąż jest nieprzyzwyczajona.

Przez ostatnie cztery lata dziennikarze TVP są okładani propagandową palką, zgodnie z którą winną śmierci niezjącego prezydenta Gdańska jest telewizja publiczna, mimo iż zarzutami wobec Adamowicza zajmowały się wszystkie media. Jako dowód tej sytuacji z telefonu puściłem nagranie, materiał TVN, w którym pojawia się rozmowa reportera tej stacji ze śp. Pawłem Adamowiczem, który jest grillowany w sprawie kolejnych mieszkań, ich źródła pochodzenia i własności. Coś, co wtedy było zrozumiałe – w końcu temat był gorący – a co teraz jest wypierane najmocniej przez tych polityków, którzy sami wyrzucili Adamowicza ze swojego obozu politycznego, bo uznali, że wolą do wyborów prezydenckich w Gdańsku wystawić Jarosława Wałęsę.

Posiedzenie komisji dotyczące TVN, podczas którego doszło do wyskoku pani Augustyn, skończyło się na bezsilnej na fakty agresji, ale zaczęło się od drwiny i kpiny. Siedząc, zastanawiałem się, co tak bawi posłów Platformy, gdy słyszą o historiach pozyskiwania dziennikarzy za opinie, a co lepsze: dziennikarzy, którzy na łamach swoich mediów cytują innych dziennikarzy. Wydaje mi się, że nie jest to tylko cynizm, tylko rzeczywiste przekonanie, że należą do grupy ludzi, którym więcej wolno. Według kryteriów, które stosują, chroniąc TVN, za ten kuł pomyj, który na tym spotkaniu wylali na TVP, powinni płacić setki tysięcy złotych, przepraszać, a może i trafić do więzienia. Co więcej – jak się okazuje, nie tylko należy chronić TVN, lecz także pilnować, kto i w jakim kontekście tę stację cytuje. Jeśli obywatel czy dziennikarz robi to, żeby chwalić – znakomicie, ale jeśli zechce zacytować w krytycznym kontekście, to – czego sam doświadczyłem – zasługuje na obelgi i pogardę. Kali lubić to.

Autor jest szefem portalu tvp.info



**Samuel
Pereira**

Z wielkim smutkiem i żalem żegnam

ŚP. JANA GOSIEWSKIEGO

*ojca
nieodżałowanej pamięci
wicepremiera Przemysława Gosiewskiego,
wybitnego Polaka i polityka,
będącego wzorem etosu służby publicznej,
który zginął w katastrofie smoleńskiej.*

*Odszedł człowiek prawy i szlachetny,
całym sercem oddany Polsce.*

**Żonie Jadwidze, Rodzinie i Bliskim
składam wyrazy głębokiego współczucia**

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

*Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 27 stycznia 2023 roku zmarł*

ŚP PPLK PROF. DR HAB. WOJCIECH NARĘBSKI

*urodzony 14 kwietnia 1925 roku we Włocławku.
Od stycznia 1940 roku należał do Związku Wolnych Polaków
działającego w strukturze Związku Walki Zbrojnej.
W kwietniu 1941 roku aresztowany przez NKWD
i osadzony w wileńskim więzieniu na Łukiszkach.
W lipcu 1941 roku zesłany w głąb Rosji do więzienia NKWD
w Niżnym Nowogrodzie.
W październiku 1941 roku wstąpił do Armii Polskiej formowanej
w ZSRR przez gen. Władysława Andersa.
Od kwietnia 1942 roku służył na Bliskim Wschodzie.
Od kwietnia 1944 roku uczestniczył w kampanii włoskiej w składzie
22. Kompanii Zaopatrywania Artylerii Dowództwa Oddziałów
Zaopatrywania i Transportu 2. Korpusu Polskiego.
Walczył o Monte Cassino, Ankonę, przełamanie linii Gotów
i wyzwolenie Bolonii. W lipcu 1947 roku powrócił do Polski.*

*Światowej sławy profesor nauk geologicznych.
Zasłużony w dziele kultywowania tradycji
Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.
Uchonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Monte Cassino
oraz wieloma innymi odznaczeniami polskimi i zagranicznymi.*

*Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!
Cześć Jego Pamięci!*
Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych



Mistrzowie wojennego PR

Oficjalnie Berlin wydał już na pomoc dla Ukrainy 12,5 mld euro, ale wszyscy eksperci nie mają wątpliwości, że to znacznie zawyżone dane. Niemcy chwalać się każdą ulotką wydrukowaną dla uchodźców, lecz nie zmywa to wrażenia, że kryją tylko wizerunkową katastrofę. Jaka jest prawda o niemieckiej pomocy dla walczącej Ukrainy?



MAREK PYZA

Media za Odrą płacziwym tonem relacjonują inauguracyjną wizytę nowego szefa resortu obrony narodowej w Warszawie. Utyskują – jak telewizja ZDF – że Boris Pistorius długo czekał na wjazd jego pociągu z Ukrainy do Polski, że musiał samotnie podróżować po War-

szawie (przed Grób Nieznanego Żołnierza oraz pomniki Powstania Warszawskiego i Bohaterów Getta), a minister Mariusz Błaszczak nie miał czasu na wspólne występy przed kamerami.

Szefowi naszego MON trudno się dziwić, iż ograniczył się do rozmów bilateralnych w zaciszu gabinetów, a nie



chciał autoryzować chwiejnej polityki Berlina wobec Kijowa. Można też spojrzeć inaczej: Pistorius uniknął tym samym niezręcznej sytuacji, w której Błaszczak byłby zmuszony publicznie, na żywo prostować nieścisłości w przekazach swojego zachodniego odpowiednika.

A tych w niemieckich komunikatach jest aż nadto. Niemcy doczekali się opinii największego hamulcowego pomocy dla Ukrainy, do języka międzynarodowej polityki wszedł nawet termin „scho-lzowanie” oznaczający deklarowanie dobrych intencji przy jednoczesnym robieniu wszystkiego, by ich nie realizować. Za naszą zachodnią granicą już dawno zdano sobie sprawę, że trzeba jakoś tę kompromitację przykryć. I postanowiono się pochwalić skalą niemieckiej pomocy dla napadniętego państwa.

POMOCOWY MISZ-MASZ

W grudniu urząd kanclerski opublikował 18-stronicowe podsumowanie całego zaangażowania władz w Berlinie na rzecz Ukrainy. Wyceniono je na aż 12,5 mld euro. Problem w tym, że to kwota znacznie przekraczająca rzeczywiste wydatki. Ponadto nie obejmuje wyłącznie (jak zadeklarowano) wsparcia przekazywanego bezpośrednio Ukrainie w wyniku dwustronnych umów. Uważnie przeanalizowaliśmy ten materiał. Wniosek jest jeden: Niemcy kręcą.

Uwagę zwraca przede wszystkim fakt, że Berlin sumuje wydatki już poniesione z tymi dopiero deklarowanymi czy też jedynie zaplanowanymi. Jak zauważa ambasador RP w Berlinie Dariusz Paweł w zamieszczonym w tym numerze „Sieci” na str. 46 wywiadzie, nawet magazyn „Der Spiegel” drwił niedawno, iż gdyby walcząca Ukraina polegała na niemieckich obietnicach, dawno straciłaby niepodległość.

Czy jednak na pewno niemiecka pomoc wojskowa jest większa od polskiej? Odpowiedź brzmi: nie wiadomo. A to dlatego, iż nasz kraj wyraźnie rozdziela pomoc wojskową od humanitarnej. Niemcy zaś do tej pierwszej kategorii wliczają dużo więcej

skich żołnierzy tak szybko, jak będzie to możliwe. Czyli kiedy? Nie wiadomo.

Nawet niemiecki Instytut Badań Gospodarki Światowej w Kilonii podaje zupełnie inne dane niż gabinet Scholza. To instytucja uchodząca za najbardziej wiarygodną w analizie zaangażowania pomocowego poszczególnych państw. W ich raporcie z końca listopada (to ostatnie dane, kolejne mają zostać ogłoszone za tydzień) wszystkie nakłady Niemiec wyniosły 5,4 mld euro, a samo wsparcie militarne – 2,34 mld (co ma im dawać trzecie miejsce na świecie za USA i Wielką Brytanią). Po polskiej stronie (miejsce piąte, za Kanadą) te wartości miały wynosić odpowiednio: 3 mld i 1,82 mld euro. Czy jednak na pewno niemiecka pomoc wojskowa jest większa od polskiej? Odpowiedź brzmi: nie wiadomo. A to dlatego, iż nasz kraj wyraźnie rozdziela pomoc wojskową od humanitarnej. Niemcy zaś do tej pierwszej kategorii wliczają dużo więcej – choćby całą pomoc dla wszystkich służb mundurowych (straży granicznej

czy pożarnej – ambulanse, zestawy pierwszej pomocy, łódki medyczne, kurtki wojskowe itd.).

ULOTKI I MONITORING MEDIÓW

Niemiecki rząd chce więc zachwycać choćby swoim legendarnym „ordnungs”em”. Zestawienie udzielonej pomocy podzielono na poszczególne resorty, by każdy z urzędów mógł się wykazać swoim dobrodziejstwem. Z tego powodu dokument momentami jest wręcz groteskowy.

W obszarze ministerstwa gospodarki i ochrony

klimatu znajdziemy więc zarówno 40 mln euro na modernizację ukraińskiej sieci elektroenergetycznej, jak i wsparcie będące *de facto* zastrzykiem ideologicznym – jak w przypadku 150 mln euro na „fundusz zielonej odbudowy” czy 3 mln na tajemnicze „wsparcie wprowadzenia systemu handlu emisjami na Ukrainie”. Znajdujemy tu też osobliwą pozycję pt. „Gwarancje inwestycyjne zabezpieczające niemieckie

Dobrym przykładem są tu systemy obrony przeciwlotniczej Iris-T, o których słyszeliśmy już, że świetnie sprawdzają się w obronie nieba nad Kijowem. Premier Ukrainy Denys Szmyhal mówił w październiku, że dzięki tej broni udaje się zestrzeliwać 9 na 10 rosyjskich pocisków. Skuteczność byłaby pełna, gdyby tylko Ukraińcy dysponowali już wszystkimi czterema obiecany wyrzutniami, a nie tylko jedną. Kolejne mają trafić do ukraiń-

inwestycje na Ukrainie”. Tę pozycję naprawdę trudno zakwalifikować do kategorii pomocy napadniętemu krajowi.

Ministerstwo finansów wskazuje kwotę 6 mld euro, z czego 1 mld stanowi dotacja na rzecz Ukrainy za pośrednictwem konta zarządzanego przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Grosik (a dokładnie 12 mln euro) miał także zostać przekazany za pośrednictwem Jewish Claims Conference („w ramach corocznych dalszych negocjacji”) w postaci jednorazowych płatności dla blisko 10 tys. ocalałych z Holocaustu na Ukrainie. Samo zakwaterowanie ukraińskich uchodźców za Odrą miało kosztować rząd w Berlinie 3,5 mld euro (to pieniądze przekazane samorządom). W 2023 r. ma ono wynieść 1,5 mld euro. Nasi zachodni sąsiedzi bardzo skrupulatnie wyliczyli, że sam czynsz za 68 tys. miejsc noclegowych w kilkuset publicznych nieruchomościach wyniosłby ok. 80 mln euro.

Dodajmy tu, że według wyliczeń OECD to Polska przeznaczyła w ub.r. na uchodźców najwięcej – 8,36 mld euro, co stanowi aż jedną trzecią wydatków wszystkich uwzględnianych w raporcie państw.

Niemieckie MSW chwali się wsparciem o wartości 213 mln euro, ale ponad połowa tej kwoty (113 mln) zawiera się w unijnym, a nie niemieckim mechanizmie ochrony ludności. W tej kategorii wykaz zawiera nawet takie drobiazgi jak cyfrowy portal pomocy germany4ukraine.de.

Zagadkowo wygląda podsumowanie pomocy z ramienia niemieckiego MSZ. Jej łączną wartość wyceniono na 600 mln euro, lecz aż 460 mln z tej kwoty to środki na wsparcie pomocy humanitarnej na Ukrainie oraz dla uchodźców przekazane za pośrednictwem organizacji pozarządowych i międzynarodowych. Szczegółów tych operacji brak. Jak wskazywał w swojej styczniowej analizie Ośrodek Studiów Wschodnich, „ważną część pomocy Ukrainie stanowią programy wsparcia dla niemieckich instytucji goszczących tamtejszych naukowców, ekspertów i studentów oraz przekazywanie środków gwarantujących pracę różnych instytucji (np. Instytutów

Goethego) lub niemieckich fundacji politycznych w państwie ukraińskim”. OSW podkreślał: „Berlin liczy na to, że w ten sposób rozszerzy się sieć powiązań przydatna również po zakończeniu działań wojennych, zwłaszcza w obliczu braku wystarczającej liczby pracowników w RFN. Przy okazji pomoc obejmuje niemieckie organizacje, które do tej pory były bardzo luźno związane z Ukrainą (np. Fundacja Badań nad Dyktaturą Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec)”.

Rząd w Berlinie do pomocy Ukraincom zalicza także np. 6,5 mln euro wydane na modernizację organów bezpieczeństwa Mołdawii, leki o wartości 1,5 mln euro przekazane Słowacji w związku ze zwiększoną liczbą uchodźców, 12,5 mln euro na wsparcie... społeczeństwa obywatelskiego w Rosji

Niemiecki MSZ nie zapomniał pochwalić się też np. 2,17 mln euro na „promocję działań na rzecz praw człowieka” czy 300 tys. euro na „utrzymanie czterech niemieckich kursów językowych na Ukrainie”.

Zaangażowanie ministerstwa sprawiedliwości może nie jest okazale (ledwie 300 tys. euro), ale za to pokazuje determinację Niemiec w pamiętaniu o każdym eurocencie. Chyba tylko naszym partnerom w Berlinie przyszło bowiem do głowy, że warto odnotować, iż zorganizowano spotkanie ministrów sprawiedliwości państw grupy G7 na temat ścigania najpoważniejszych przestępstw. A nawet taką pozycję: „Rozwieszanie materiałów informacyjnych i ulotek dla Ukraińców; strona internetowa w języku ukraińskim, zawierająca ulotkę dla ofiar przestępstwa”.

Ministerstwo rolnictwa ma przeznaczyć w najbliższych trzech latach 5 mln euro (z 52 mln deklarowanych przez ten resort) na nowy projekt „Samozapatrzenie w żywność – owoce i warzywa”. A ministerstwo ds. rodziny, seniorów, kobiet i młodzieży 1 mln euro na kampanię ruchową Move for Peace na rzecz dzieci uchodźców i młodzieży z Ukrainy.

Resort zdrowia miał/planuje wydać 127 mln euro. Większość to przekazany sprzęt (wentylatory, monitory pacjenta, maseczki, kombinezony czy środki dezynfekujące), ale natrafiamy tu też m.in. na 130 tys. euro na „poradnik dla pacjenta” przygotowany wspólnie z joannitami. Nieco mniej (100 tys. euro) miały kosztować staże w niemieckich klinikach odbywane przez ukraińskich lekarzy w kierunku leczenia oparzeń.

Od ministerstwa mieszkalnictwa dowiadujemy się, że samoszacowanie szkód wojennych w obszarze „nieruchomych dóbr kultury” kosztowało podatnika nad Renem 50 tys. euro. Iście niemiecka precyzja!

Ale chyba najbardziej kuriozalne dane przynosi urząd pełnomocnika kanclerza ds. kultury i mediów. Okazuje się, że wsparciem dla walczącej Ukrainy ma być np. projekt „Media w Rosji”, na który przeznaczono 8,5 mln euro. Ma chodzić o walkę z dezinformacją, grant trafił przede wszystkim do stacji Deutsche Welle, a na działania w samych Niemczech przeznaczono po kilkaset tysięcy euro dla różnych niemieckich instytucji – Niemieckiej Rady Muzycznej, Niemieckiej Akademii Filmowej czy Fundacji von Humboldta. Rząd w Berlinie do pomocy Ukraincom zalicza także np. 6,5 mln euro wydane na modernizację organów bezpieczeństwa Mołdawii (drony, pojazdy i urządzenia termowizyjne), leki o wartości 1,5 mln euro przekazane Słowacji w związku ze zwiększoną liczbą uchodźców, 12,5 mln euro na wsparcie... społeczeństwa obywatelskiego w Rosji (dla tamtejszych organizacji), 752 tys. euro na projekty w mediach państw bałtyckich w celu zwiększenia odporności na rosyjską dezinformację, czy – uwaga! – monitorowanie mediów w Rumunii!

WSTYD Z LAMPARTAMI

Ważny jest każdy eurocent – zarówno ten wydany, jak i ten tylko na papierze. I przekazany bezinteresownie, i jako bezpośrednia inwestycja w niemieckie interesy. Podliczyli każdy hełm, każdą maseczkę lekarską i każdą wydrukowaną za państwowe pieniądze ulotkę. Chcą pokazać całemu światu, jak wiele ta wojna kosztuje Niemcy.

To zupełnie inne podejście niż w Polsce, gdzie rząd, zamiast się chwalić, po prostu od pierwszych godzin inwazji działa według zapotrzebowania Ukraińców, a przy okazji notorycznie naciska na Berlin w sprawie większego zaangażowania.

Czy niemiecki wojenny PR okaże się skuteczny? Chyba jednak nie. Bo zamiast wrażenia przejrzystości w najbogatszym państwie Europy i podziwu dla jego zaangażowania pozostaje poczucie, iż próbuje ono jakoś przypudrować kolejne katastrofy wizerunkowe związane z niewłaściwą postawą wobec walczącej Ukrainy.

Najmocniej dała mu się we znaki epopeja związana z przekazaniem Ukrainie niemieckich czołgów. W tej sprawie ostro interweniował polski rząd, który stworzył koalicję państw chętnych podarować swoje Leopardy 2, a ostatecznie niejako przymusił do tego Berlin amerykański sekretarz obrony. Gdy postawieni pod ścianą Niemcy (Polska zapowiedziała, że wspomógł Ukrainę nawet bez zwyczajowej zgody producenta) wreszcie się zgodzili, zaczęli komunikować to w taki sposób, jakby byli pomysłodawcami całego planu.

Przy okazji warszawskiej wizyty Piastoriusa okazało się, że Ukraińcy muszą w sprawie czołgów uzbroić się w większą cierpliwość, niż zakładali. Pierwszy batalion (31 maszyn) ma trafić na front w marcu–kwietniu. Drugi – dopiero do końca roku, a w 2024 r. kolejne 2–4 bataliony. Oczywiście pod warunkiem, że Ukraina wciąż będzie się wte dy bronić i że będzie co dostarczać. Bo i tu diabeł tkwi w szczegółach. Ubiegłotygodniowa decyzja niemieckiego rządu dająca zielone światło na wysyłkę 187 Leopardów I (starszego typu) to znów tylko deklaracja.

Gabinet Scholza nie zatwierdził bowiem jeszcze nawet środków na potrzebne remonty. A te będą niezbędne – dziś nikt nawet nie wie, ile z tych maszyn jest sprawnych i nadaje się na front. Przypomnijmy, że to broń, która od 20 lat nie jest używana przez Bundeswehrę, stoi w wojskowych magazynach.

Jest więc pewne, że Leopardy (niezależnie od wersji) nie wspomogą Ukraińców w walce z nadchodzącą rosyjską ofensywą. Byłoby inaczej, gdyby nie „scholzowanie” władz w Berlinie.

Oby tylko Leo jeszcze się przydały i nie podzieliły losu armatohaubic PzH 2000, których 14 sztuk Niemcy (wraz z Holandią) w ub.r. wysłały Kijowowi. Większość

Ale chyba najbardziej kuriozalne dane przynosi urząd pełnomocnika kanclerza ds. kultury i mediów. Okazuje się, że wsparciem dla walczącej Ukrainy ma być np. projekt „Media w Rosji”, na który przeznaczono 8,5 mln euro. Ma chodzić o walkę z dezinformacją, grant trafił przede wszystkim do stacji Deutsche Welle

z nich szybko okazała się niesprawna z powodu braku części zamiennych. Berlin przysyła je z opóźnieniem, w dodatku nie zawsze zgodnie z zapotrzebowaniem broniących się przed armią Putina. Kłopoty występują też z działami samobieżnymi Gepard, do których permanentnie brakuje amunicji.

PRZYKRÝC „SCHOLZOWANIE”

Olaf Scholz próbuje grać na dwóch fortepianach. Z jednej strony chce wyciszyć krytykę ze strony koalicjanta (Zielonych,

nieustannie domagających się większego zaangażowania rządu) i tę część opinii publicznej, która widzi, że kanclerz lawiruje. Z drugiej – przekonać sojuszników za granicą, że niesprawiedliwie wieszają psy na RFN za wciskanie hamulca w sprawie pomocy.

Ale sam mocno zapracował, by tak właśnie było. Najpierw ciągle wydzwaniał na Kreml, później chępił się przekazaniem hełmów, postulował rozmowy pokojowe bez pytania Kijowa o zdanie, groził światu jądrową III wojną światową w przypadku przekazania zbyt zaawansowanego sprzętu wojskowego, wreszcie opóźniał dostarczenie na front niezbędnej broni pancерnej.

Ale żadną sztuczką nie przykryje faktów. Owszem, niemiecki rząd pomaga, również militarnie, przekazując Ukraińcom m.in. pociski Stinger, granatniki Panzerfaust i Matador, wyrzutnie Mars II, wozy Marder czy systemy Patriot (po długiej zwłoce i pod naciskiem innych państw). Lecz, jak zauważa OSW, „dane rządu RFN pokazują, że najbardziej potrzebne Ukrainie ciężkie uzbrojenie i amunicja stanowią na razie margines niemieckiej pomocy, a wsparcie w tym zakresie jest wielokrotnie niższe od polskiego oraz mniejsze niż m.in. czeskie i słowackie”.

Nie wolno też zapominać o tym, że Niemcy są najzamożniejszym państwem na Starym Kontynencie, z PKB sześciokrotnie wyższym niż Polska. Od europejskiego hegemonu należy więc oczekiwać większej aktywności i poświęcenia. Dodatkowo mówimy o państwie, które również historycznie nosi brzemień podpalacza kontynentu, co powinno dawać im potężny impuls do zapewnienia szybkiego pokoju.

Zwłaszcza że to nasi sąsiedzi zza Odry są najbardziej z całego Zachodu winni temu, co dziś dzieje się na Ukrainie. To ich polityka pozwoliła Putinowi przygotować barbarzyńską inwazję na sąsiedni kraj.

I w sferze retorycznej nawet to przyznają, często przepraszając za błędy ostatnich lat. Ale – podobnie jak w przypadku reparacji wojennych dla Polski – ich odpowiedzialność ma się ograniczyć do słów.

Ogradzanie Tuska

Rafał Trzaskowski musi wyeliminować Donalda Tuska, bo jego kariera nie wyjdzie poza warszawskie opłotki



STANISŁAW JANECKI

Choć nie udało się pierwsza poważna próba wyeliminowania Donalda Tuska w roli lidera i organizatora wielkiej koalicji na wybory parlamentarne jesienią 2023 r., takie działania wcale nie ustają, choć są teraz węższe i nastawione na co innego. Pierwsza próba polegała na propozycji, żeby liderzy partii obecnych w parlamencie zawarli koalicję, tyle że przedstawicielem Platformy Obywatelskiej w dyktandzie takiego przedsięwzięcia byłby Trzaskowski, a nie Tusk. Trzaskowski nie przyjął propozycji.

Potem było badanie SW Research zamówione przez ruch Tak! Dla Polski, a dotyczące preferencji partyjnych. I Tak! Dla Polski zostało poparte przez 10,7 proc. badanych, co dało ruchowi trzecie miejsce (17,4 proc. badanych zadeklarowało głosowanie na PO). W badaniu pytano o ruch Tak! Dla Polski

Rafała Trzaskowskiego. I jak było do przewidzenia – Tusk się wściekł. I miał się wściec. Nic nie zmienia to, że lider ruchu, prezydent Sopotu Jacek Karnowski, oraz najważniejszy polityk zaangażowany w tę inicjatywę, Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy oraz wiceszef ruchu, wydali zaraz oświadczenie, w którym zaklinali się, że nie chcą tworzyć nowej partii, bo nie ma potrzeby mnożenia bytów politycznych, które będą konkurować z innymi partiami. Faktycznie taka potrzeba istnieje, a wszystko sprowadza się do otoczenia Tuska swego rodzaju kordonem sanitarnym.

Tusk intencje liderów Tak! Dla Polski zrozumiał w lot i natychmiast uruchomił swoich przybocznych, którzy w mediach zaprzyjaźnionych z szefem PO zaczęli straszyć, że jeśli Karnowski (Trzaskowskiego przezornie nie wymieniano) sądzi, iż to on będzie tworzył listy wyborcze, a ruch dostanie dużą część wspólnej puli, to nie mogli szefa bardziej wkurzyć. Przybocznicy Tuska dawali do zrozumienia, że już Campus Polska Przyszłości był formą nielojalności Trzaskowskiego wobec przewodniczącego partii, dlatego trzeba było tę inicjatywę zneutralizować. A już ustawianie

Tak! Dla Polski w roli partnera i konkurenta PO było policzkiem. Podobnie jak policzkiem byłaby próba tworzenia przez Trzaskowskiego własnej frakcji w partii. Trzaskowski oczywiście próbuje to robić, ale Tusk straszy, że ktośkolwiek spróbuje, gorzko pożałuje. Szef PO jest przekonany, że nikomu nie uda się go ogradzić, a Trzaskowski daje do zrozumienia, że wszystko da się zrobić, tylko trzeba zachować zimną krew i nie dać się sprowokować.

SPISEK PRZECIWKO TUSKOWI

Jeszcze pod koniec 2022 r. miało dojść do spotkań Rafała Trzaskowskiego, Szymona Hołowni, Władysława Kosiniaka-Kamysza i Włodzimierza Czarzastego. Oczywiście ściśle tajnych, bo Trzaskowski miał się bać zemsty Tuska. Koncepcję ogradzenia Tuska swego rodzaju kordonem sanitarnym przypisuje się Kosiniakowi-Kamyszowi i Hołowni, choć żaden z nich się do tego nie przyznaje. I to prezes PSL miał być tym, którego wydelegowano, by wybałd Trzaskowskiego, czy byłby gotów wejść w miejsce Tuska do dyktandzie opozycyjnej koalicji, bo to oznaczałoby otwartą wojnę z byłym premierem.

Trzaskowski miał się wystraszyć propozycji ogrodzenia i wyeliminowania szefa partii. A nawet obawiał się, że sam pomysł był intrygą Tuska, na którą Kosiniak-Kamysz i Hołownia dali się nabrać. Osoby znające kulisy negocjacji twierdzą, że Czarzasty i Hołownia próbowali uspokoić Trzaskowskiego, że to nie intryga Tuska, lecz prezydent Warszawy nie zdecydował się na akcję. Trzaskowski obawiał się, że w momencie, gdy jeszcze nie toczy się kampania wyborcza, Tusk zdąży nie tylko udaremnić spisek mający go wyeliminować, czyli czymś zaszantażuje lub przekupi Kosiniaka-Kamysza i Czarzastego, lecz także doprowadzi do skompromitowania samego Trzaskowskiego, żeby nie miał on szans i możliwości podejmowania kolejnych działań przeciwko przewodniczącemu partii.

Mimo że Trzaskowski jest formalnie zastępcą Tuska, nie ma w partii własnej frakcji, a nawet jest ściśle kontrolowany i ograniczany przez Marcina Kierwińskiego oraz Jana Grabca. Pomysł Campusu Polska Przyszłości był sposobem Trzaskowskiego na wzmocnienie się niezależnie od partii, w której nie szło mu tworzenie własnego zaplecza. Chciał pozyskać młodych, mieć kadry w razie konieczności prowadzenia kampanii wbrew partii i Tuskowi oraz zbudować w społeczeństwie wizerunek polityka samodzielnego, a ideowo nie tak pustego i opętanego nienawiścią do PiS jak Donald Tusk. Pomysł z Campusem Polska Przyszłości jako zapleczem wypalił, choć Tusk zdołał go w znacznym stopniu ograniczyć, wprasząc się na nie swoją imprezę i czyniąc ją w dużym stopniu partyjną, a nie indywidualną akcją prezydenta Warszawy. Tuskowi jednak Campusu nie udało się ukraść, choć wciąż próbuje to robić, m.in. chcąc zabrać prezydentowi Warszawy głównego organizatora, czyli Sławomira Nitrasa. Temu służy mianowanie Nitrasa głównodowodzącym ruchu kontroli i ochrony wyborów. Mimo to Nitras nie przeszedł jeszcze na stronę Tuska, zdradzając Trzaskowskiego (nie ujawnił żadnych szczegółów rozmów w sprawie kordonu sanitarnego wokół Tuska, choć był naciskany).

NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE

Campus Polska Przyszłości to za mało, żeby Trzaskowski mógł obejść się bez PO w kampanii samorządowej, parlamentarnej czy prezydenckiej. Prezydent Warszawy postanowił więc wrócić do idei stworzenia politycznego zaplecza z samorządowców, a szczególnie z prezydentów miast. Reaktywował więc program „Samorządna Rzeczpospolita” (21 Tez Samorządowych), przyjęty 4 czerwca 2019 r., czyli jeszcze przed powrotem Tuska do polskiej polityki. Program „Samorządna Rzeczpospolita” został zmieniony w przedsięwzięcie bardziej polityczne, czyli ruch Tak! Dla Polski. Ma być on przygotowywany do udziału w wybo-

Trzaskowski i Tak! Dla Polski są z Tuskiem na wojennej ścieżce, bo taka jest logika procesu politycznego. Jeśli nie teraz, to już nigdy – to ma być przesłanie Rafała Trzaskowskiego

rach parlamentarnych jesienią 2023 r. i to w trojkiej roli: jako „apolityczna” część wielkiej koalicji niezależna od PO, jako partner zamiast Platformy albo jako koalicjant tylko dla PO bądź z udziałem jeszcze jednego uczestnika, czyli któregoś z partii obecnych w parlamencie.

Ludzie Tuska uznali Tak! Dla Polski za środek nacisku na przewodniczącego, podczas gdy przede wszystkim jest to komunikat, że Trzaskowski poradzi sobie nawet bez wsparcia i patronatu Platformy i Tuska oraz jest swego rodzaju złotą akcją w układzie koalicyjnym z PO, ewentualnie z innymi podmiotami. To ma dać prezydentowi Warszawy przewagę nad Tuskiem, także w kwestiach najważniejszych decyzji czy nominacji. Ruch Tak! Dla

Polski byłby też tą siłą, która wystawi, wesprze i sfinansuje kampanię prezydencką Trzaskowskiego w 2025 r., gdyby wcześniej nie udało się ogrodzić lub wyeliminować Tuska.

Istnieją właściwie dwa plany ogradzania Tuska: jeden krótkoterminowy, obliczony na wybory parlamentarne w 2023 r. oraz drugi – długoterminowy, obliczony na odebranie Tuskowi wpływu na to, kto będzie najsilniejszym, a może nawet wspólnym kandydatem opozycji w wyborach prezydenta Polski w 2025 r. Po raz pierwszy plan ogradzania Tuska i w efekcie jego wyeliminowania ma dobre podstawy organizacyjne i jest na tyle odrębny od tego, na co lider PO ma wpływ, że może się powieść. Ominięcie Tuska i jego odizolowanie jest ważne dla Trzaskowskiego mającego kompleks byłego premiera i wcześniej skutecznie przez Tuska zastraszonego. Tym razem ma być zupełnie inaczej. Można uznać za celową dezinformację komunikaty uczestników ruchu Tak! Dla Polski, że ruch nie jest skierowany przeciwko partiom opozycji. Ale pokazanie, że liczący ok. 600 osób ruch samorządowy to realna, znacząca siła byłoby politycznym minimalizmem. Uczestnicy ruchu muszą mówić, że chcą iść w jak najszerszym bloku i w tym celu będą wydawać kolejne apele o współpracę. Dezinformacją są też głosy, że „w wyborach będziemy startować jako koalicjant PO” i z takiej pozycji „starać się poszerzać koalicję”. Prawdą jest, że samorządowcy Trzaskowskiego chcą mieć swoją silną reprezentację w parlamencie już po wyborach w 2023 r. Chcą mieć wszędzie przyczółki, żeby w 2025 r. ich kandydat, Rafał Trzaskowski, wygrał wybory na prezydenta Polski, a w 2027 r. ruch Tak! Dla Polski byłby już najważniejszą siłą, decydującą o tym, kto będzie premierem i czym się zajmie rząd. Z Tuskiem to niemożliwe, dlatego najpierw trzeba go ogrodzić, a potem wysłać na emeryturę, przeciw wyjątkowo bogatą. Trzaskowski i Tak! Dla Polski są z Tuskiem na wojennej ścieżce, bo taka jest logika procesu politycznego. Jeśli nie teraz, to już nigdy – to ma być przesłanie Rafała Trzaskowskiego.

Awantura o dotacje

W awanturze o przyznanie przez resort edukacji pieniędzy ponad 40 fundacjom i organizacjom chodzi tylko i wyłącznie o to, że wedle opinii państwo powinno wspierać tylko te projekty i instytucje, które się jej podobają i działają na jej rzecz



DARIUSZ MATUSZAK

Informacja o przekazaniu 42 mln zł 40 różnym organizacjom przez Ministerstwo Edukacji i Nauki w ramach konkursu „Rozwój potencjału infrastrukturalnego podmiotów wspierających system oświaty i wychowania” mogłaby być dobrą okazją do przejrzewania praw, które regulują w Polsce działalność trzeciego sektora – fundacji, stowarzyszeń, organizacji pozarządowych itd. Sprawa jest poważna, bo w grę

wchodzi miliardy złotych rocznie publicznych, czyli naszych pieniędzy. Sama Warszawa wydała w 2021 r. 282 mln zł – niemal 1 mln zł dziennie – na blisko 3 tys. projektów różnych organizacji. Warszawski ratusz to prawdziwy kombinat do sypania pieniędzmi. Kto te tysiące projektów, czyli biorąc pod uwagę dni robocze, ok. 15 dziennie, obrabia, analizuje, a potem kontroluje, czy aby nie zdefraudowano pieniędzy, jak zrobił to prawomocnie skazany oszust Rafał Gaweł, założyciel i były szef Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych. Materialna wartość tego, co leży na trzeci sektor podatnicy, jest w rzeczywistości jeszcze większa, niż to wynika z różnych sprawozdań, bo pod uwagę trzeba brać np. preferencyjne stawki, po których organizacje wynajmują lokale.

NIE MACIE PRAWA ISTNIEĆ

Trzeci sektor, zwany obywatelskim, to wielki i bardzo dochodowy biznes, często tylko udający działalność *pro publico bono*. Jest więc czemu się przyglądać. Okazja została jedna zmarnowana, bo mamy kolejną awanturę, nikczemne i groteskowe akty, jak chociażby złożone przez posłankę Lewicy Monikę Falej zawiadomienie do prokuratury o podejrzenie popełnienia przestępstwa przez ministra Przemysława Czarńka. Ten prawa nie złamał, ale nie szkodzi. Byle by był wrzask, byle było głośno. Nie ma dyskusji o tym, czy decyzja o przekazaniu pieniędzy na zakup nieruchomości dwóm fundacjom była słuszna, czy też może zbyt hojna, czy forma była właściwa, co można poprawić w prawie o fundacjach. Nic z tych rzeczy. Ma być chwytliwe hasło „willa plus” i wydzie-

ranie się pod niebiosa „złodzieje!”. Falej złożyła zawiadomienie tylko dla awantury, bo – jak sama przyznaje – liczy na to, że Zbigniew Ziobro zajmie się sprawą, by osłabić koalicyjny PiS.

Aktom rozpacz, że założona przez europosła PiS Zdzisława Krasnodębskiego fundacja Polska Wielki Projekt dostała 5 mln zł na zakup domu pod siedzibę i miejsce prowadzenia działalności, a Wolność i Demokracja, której założycielem jest poseł PiS Michał Dworczyk, 4,5 mln zł na podobny cel, towarzyszy konkurs na najbardziej zakłamaną argumentację. W gruncie rzeczy wszystko sprowadza się do ujmującego wszystkie sposoby walki z prawicą, konserwatystami hasła: „Nie macie prawa istnieć”. Ono obowiązywało od początku wolnej, demokratycznej, obywatelskiej III RP.

Najlepiej ilustruje to chyba historia gazety „Życie” (z kropką), której zablockowano niemal wszelkie reklamy. Trzeba było zagłodzić. Z osobistych doświadczeń wspominam awanturę, która wybuchła o to, że ośmieliłem się zamieścić reklamy obligacji skarbu państwa w kojarzonym z Porozumieniem Centrum magazynie „Nowe Państwo”. Ten sam mechanizm obowiązuje dziś nie tylko wobec mediów, lecz także wszelkich instytucji kojarzonych z prawicą. Zmiana polega tylko na tym, że od siedmiu lat rządzi PiS, więc zagłodzić się ich nie da.

Jednym z podnoszonych przez opozycję argumentów jest ten, jakoby powinna obowiązywać zasada „wszystkim



po równo”, a więc publiczne pieniądze należałyby się każdej organizacji, która się po nie zgłosi, a nie tylko np. prawicowym, konserwatywnym, katolickim. Cytowany przez OKO.press ekspert Instytutu Spraw Publicznych Filip Pazderski mówi tak: „Takie przyznawanie funduszy swoim stoi w sprzeczności m.in. z zasadą równości, przejrzystości i gospodarności przy wydatkowaniu publicznych funduszy. Podmioty publiczne nie mają prawa dyskryminować nikogo w ramach organizowanych przez siebie konkursów. Tym bardziej faworyzować swoich w walce o publiczne fundusze”.

Gładkie hasła, ale ten człowiek bzdury opowiada. Jak mówią Amerykanie: „Wybory mają swoje konsekwencje”. Po co demokracja, po co wybory, gdyby miały obowiązywać tak prostacko rozumiane zasady równości, jak głosi to Pazderski? Wolni obywatele w wyborach powierzyli władzę PiS, by ten za pomocą określonych narzędzi, w tym pieniędzy, realizował określoną politykę, wspierał określone projekty i organizacje, a nie dawał wszystkim po równo. Po co komu prawica, jeśli zawsze miałaby być promowana np. ideologia LGBT+. Po to właśnie PiS dostał władzę, by powstrzymać patologię z nią związane. Dosadnie i trafnie ujął to minister Czarnek, mówiąc: „Nie dajemy pieniędzy lewakom i komunistom”.

To obowiązuje w dwie strony. Nie wiem, jak na opozycji, ale nie przypuszczam, by na prawicy był ktoś tak głupi, że oczekiwałby, iż prezydent Warszawy Rafał

Trzaskowski da miliony złotych na projekty szefa Marszu Niepodległości Roberta Bąkiewicza, tak jak daje na przedsięwzięcia byłej konfidentki SB Jolanty Lange, o esbeckiej ksywie Panna i jej Stowarzyszenia na rzecz Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego „Pro Humanum”. Za kochane pieniążki warszawiaków – w sumie kilka milionów

Wolni obywatele w wyborach powierzyli władzę PiS, by ten za pomocą określonych narzędzi, w tym pieniędzy, realizował określoną politykę, wspierał określone projekty i organizacje, a nie dawał wszystkim po równo

– była esbeczka, która wysługiwała się juncie Jaruzelskiego, walczy z dyskryminacją i „działa na rzecz integracji cudzoziemców, upowszechniania i ochrony wolności i praw człowieka oraz swobód obywatelskich, a także działań wspomagających rozwój demokracji”. Dziennikarz „Niedzieli” Artur Stelmasiak, autor tekstu o nowej (*pro publico bono*) karierze

konfidentki, pytał publicznie prezydenta Trzaskowskiego: „Mam pytanie do Trzaskowskiego2020. Czy agentka służb komunistycznych – prezes Jolanta #Lange #Gontarczyk – ma doświadczenie i zasługi dla »upowszechniania i ochrony wolności oraz swobód obywatelskich, a także działań wspomagających rozwój demokracji«”?

PROMOCJA PREFERENCJI LGBT+

Jawnie, wprost stosuje ową potępianą dyskryminację sama Komisja Europejska. O tym bezpośrednio mogliśmy się przekonać, gdy w 2020 r. wybuchła awantura o tzw. strefy wolne od LGBT+. Okazało się, że polskie samorządy nie mogą prowadzić własnej polityki prorodzinnej, promować rodziny rozumianej tradycyjnie: mama, tata, dzieci. Komisja zagroziła odebraniem im funduszy, jeśli nie będą promować ideologii LGBT+. W rozmowie z Dorotą Łosiewicz przewodniczącą Sejmiku Województwa Małopolskiego Jan Duda cytował pismo unijnej urzędniczki: „Obowiązkiem instytucji zarządzającej powinno być nie tylko zapobieganie dyskryminacji, ale też promowanie równości, różnorodności preferencji seksualnych”. „Komisja Europejska oczekuje od nas promowania różnorodności preferencji seksualnych. I to ma być punkt wyjścia do negocjacji środków finansowych” – mówił prof. Duda. Tamten spór uznaje za zapowiedź dzisiejszych problemów z pieniędzmi KPO.

Nie można więc być nawet obojętnym wobec homoseksualizmu. Jak się chce dostać pieniądze unijnych podatników, to trzeba go zachwalać, ale Biedroń będzie się wydziały, że ktoś mu do łóżka zagląda, jak on leży w nim ze Smiszkiem. Sama Komisja Europejska organizuje dla władz lokalnych konkurs „Europejskie stolice inkluzywności i różnorodności”. Kto chce dostać nagrodę, musi w swoich tzw. antydyskryminacyjnych programach uwzględnić „tożsamość



LGBTIQ” (nawet nie wiem, co to znaczy, nie nadążam za tymi wciąż nowymi, postępowymi skrótami).

Grzech PiS polega więc na tym, że wspiera naszymi pieniędzmi organizacje promujące „nieprawidłowe” postawy, opinie, światopoglądy. Jak pisze OKO.press, z hojności Czarnka korzystają organizacje ideologicznie bliskie władzy, te o profilu konserwatywnym. I całe szczęście. Jeszcze by tego brakowało, by Czarnek przeznaczal miliony na jakąś Grupę Ponton, by ta łaziła po szkołach, deprawowała dzieci i promowała aborcję. Albo na ordynarną Lempart. Właśnie po to się idzie na wybory i oddaje głos, by władza m.in. nie marnowała pieniędzy na działania, których nie akceptujemy, uznajemy za podle, głupie, szkodliwe.

POEZJA NA TALERZU

Kolejnym całkowicie chybionym i cuchnącym hipokryzją argumentem jest ten, że Przemysław Czarnek przekazał dotacje podmiotom związanym z politykami PiS czy przez nie założonymi. Krytyka byłaby słuszna, gdyby istniała ogólna zasada „polityków nie obsługujemy”. Być może nawet takie regulacje prawne miałyby sens. Chodzi jednak o to, że Czarnek dotował organizacje związane z nieprawidłowymi politykami. Powinien był z tymi z PO, od Hołowni czy jakiejś tam lewicy. Nikt nie słyszał, by krytykowano Trzaskowskiego, że przekazał pieniądze Fundacji Centrum im. Profesora Bronisława Geremka, bo w jej radzie zasiada europosłanka Róża Thun i Hohenstein. We władzach Fundacji Kolegium Europy Wschodniej (KEW) im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego, która za rządów PO bez konkursu, za darmo w dziwnych okolicznościach otrzymała zamek Na Wodzie w Wojnowicach, zasiadają sami politycy, m.in.: Paweł Kowal, Aleksandra Dulciewicz, Kazimierz Michał Ujazdowski, Rafał Dutkiewicz, Bogdan Zdrojewski i Jacek Sutryk. Ten ostatni – wódzar Wrocławia – to prawdziwy supermen. Jak on ogarnia te wszystkie rady nadzorcze w innych miastach, radę fundacji itd.

Przypadek KEW zasługuje na oddzielną analizę, a może nawet na do-

chodzenie. Fundatorem KEW są instytucje publiczne, ale samym zamkiem władza zwykła spółka. Zrobiła z niego hotel i restaurację. „Poezja na talerzu – skosztujcie wyjątkowych dań, które zachwycą smakiem” – reklamuje się restauracja Kolegium Europy Wschodniej. Zabytkowy obiekt najpierw należał do Stowarzyszenia Historyków Sztuki i był domem pracy twórczej. W 2013 r. przekazano go skarbowi państwa, a ówczesny wojewoda Aleksander Skorupa z PO podjął decyzję o jego sprzedaży, ale ostatecznie ówczesny minister skarbu w rządzie Ewy Kopacz Włodzimierz Karpiński podarował go KEW, które urządziło w nim hotel i restaurację z poezją na talerzu.

Kolejnym całkowicie chybionym i cuchnącym hipokryzją argumentem jest ten, że Przemysław Czarnek przekazał dotacje podmiotom związanym z politykami PiS, czy przez nie założonymi

Podobny patent – wykorzystywania obiektów przekazanych przez państwo do prowadzenia interesów – stosowano mnóstwo razy. Najlepiej patologie z tym związane ilustruje polityczna i biznesowa historia środowiska „Krytyki Politycznej”. W 2008 r. władze rządzącej PO podjęły decyzję o wypromowaniu skrajnego, lewackiego towarzystwa, wejście w nim w rodzaj koalicji. Do założonego przez Sławomira Sierakowskiego Stowarzyszenia im. Stanisława Brzozowskiego, którego flagowym produktem był magazyn „Krytyka Polityczna”, popłynęły pieniądze. Od resortów pracy, edukacji, kultury, od Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, władz Warszawy, której prezydentem była Hanna Gronkiewicz-Waltz, innych miast, Instytutu Teatralnego, Instytutu Książki, firm zależnych od spółek skarbu państwa itd. Tysiące złotych w księgach stowarzysze-

nia łączyły się w miliony. Najcenniejszym zasobem okazał się liczący 1,3 tys. m² jeden z najatrakcyjniejszych lokali w Warszawie – dawna kawiarnia Nowy Świat na skrzyżowaniu ulic Nowy Świat i Świętokrzyska, wydzierzawiony przez władze miasta po preferencyjnej cenie. Miesięczny czynsz wyniósł zaledwie 15,6 tys. zł. Marksieści, obrońcy klasy robotniczej, pogromcy kapitalizmu zakwitli. Otworzyli w nim knajpę, wyszynk z wódką. W 2010 r. dochody z niej sięgały prawie 3,5 mln zł. Do tego prawie 0,5 mln zł z wynajmu sal. Dla porównania: przychody ze sprzedaży wydawanych książek sięgnęły ok. 180 tys. zł. Się więc żyło na lewicy. Złoty biznes: placisz za lokal 187 tys. zł rocznie, a za sam wynajem sal masz z niego 450 tys. zł.

Biznes się posypał, kiedy towarzystwo Sierakowskiego sprowadziło faszystów z niemieckiej Antify, by pomogli rozbić Marsz Niepodległości. Gdy policja, ścigając niemieckich bandziorów, wpadła do lokalu, znalazła tam cały arsenał broni do ulicznych bójek: pałki, tarce, kastety, pojemniki z gazem itd. Skandal wybuchł tak duży, że Sierakowski z towarzyszami musieli opuścić lokal. W załatwianiu kolejnego pomagali im m.in. szefowa Platformy w Warszawie Małgorzata Kidawa-Błońska i Henryk Wujec, minister w kancelarii prezydenta Bronisława Komorowskiego.

Oczywiście nie chodzi o to, by patologiami poprzedniej władzy, jej nadużyciami, manipulacjami przykrywać krytykę obecnej. Problem polega na tym, że z powodu postawy totalnej opozycji, awanturowania się o wszystko i zawsze płacimy brakiem mechanizmów korygujących, naprawczych. Nie jesteśmy nawet w stanie dyskutować o tym, ile i na jakich zasadach publiczne pieniądze powinny trafiać do trzeciego sektora. Czy powinniśmy fundować fundacjom zamki i domy, czy nie. Czym się powinny zasłużyć? Jakie kryteria stosować, by ocenić wartość tego, co robią? Wszystko zmienia się w awanturę i prowadzi do demolowania instytucji publicznych, więzów społecznych. Nie ma sporów o poglądy, o sposoby prowadzenia naszych spraw. Dzisiejsza opozycja nie chce niczego naprawiać. Woli niszczyć, bo umyśliła sobie, że tak zdobędzie władzę.

Więcej, szybciej, lepiej!

Z NASZĄ APLIKACJĄ ZAWSZE ZYSKUJESZ!



Ekstra punkty i dodatkowe rabaty dzięki atrakcyjnym kuponom w aplikacji.



Mobilne płatności bez podchodzenia do kasy.



Wirtualna karta VITAY zawsze w zasięgu ręki.



Zbieraj punkty **VITAY** i rabatuj nimi zakupy w sklepie internetowym na vitay.pl

#**VITAY**mamikorzystam



Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację



Wielki projekt dla Polski

W ostatnich dniach w przestrzeni medialnej pojawiło się wiele wystąpień dezinformujących opinię publiczną w sprawie Fundacji Polska Wielki Projekt. Poczucie zobowiązania wobec osób, które obserwują od dawna Kongres Polska Wielki Projekt i mogą być zdezorientowane tego typu głosami, zmusza do przedstawienia prawdziwych informacji na temat działalności tego środowiska

Srodowisko Kongresu Polska Wielki Projekt powstało samorzutnie w 2009 r. Jak wspominał Dariusz Gawin, skupiało ono osoby, którym bliskie były wartości patriotyczne, konserwatywne i propaństwowe oraz które odwoływały się do tradycji polskiej inteligencji, czyli poczucia odpowiedzialności za ojczyznę jako całości. Byli to ludzie, którzy chcieli mieć wpływ na życie publiczne, ale w inny sposób niż politycy. Mieli głębokie przekonanie, że działalność intelektualna może inicjować zmiany społeczne, tworząc podglebie pod przyszłe przeobrażenia.

POLSKOŚĆ TO NORMALNOŚĆ

Był to czas, kiedy w kraju dominowała narracja, że żyjemy w okresie postpolityki, gdy

wszystkie najważniejsze wyzwania są już poza nami i pozostaje nam tylko administrowanie ciepłą wodą w kranie. Tymczasem ich łączyło przekonanie, że postpolityka jest złudzeniem, a przed Polską stoją nowe wyzwania rozwojowe, które trzeba zdiagnozować i im sprostać. Uważali, że konieczna jest modernizacja państwa, ale nie w sposób imitacyjny przez implementowanie gotowych rozwiązań z zagranicy, lecz drogą organiczną i ewolucyjną, bez odrzucania wartości i tradycji narodowej. Chodziło o ośmielenie polskich elit do wybrania własnej, atrakcyjnej ścieżki rozwojowej przez odrzucenie postkolonialnego kompleksu niższości oraz odwołanie się do myślenia republikańskiego.

Z tych pobudek narodził się pomysł zorganizowania Kongresu, który byłby swoistym laboratorium myśli, miejscem

burzy mózgów, debat i refleksji nad stanem państwa, narodu i społeczeństwa, a także forum prezentacji nowych planów i idei. Nazwa „Polska Wielki Projekt” – jak mówił prof. Zdzisław Krasnodębski – wyrażała stosunek do polskości rozumiany jako zadanie pielęgnowania dziedzictwa i tworzenia planów na przyszłość z myślą o „projekcie”, który 1000 lat temu stworzyli nasi przodkowie. Dobrze podsumowała to prof. Ewa Thompson, mówiąc, że polskość to normalność.

Według pierwotnych planów Kongres miał się odbyć w maju 2010 r. pod patronatem prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Wszystko było dopięte na ostatni guzik, jednak tragedia smoleńska sprawiła, że wydarzenie nie doszło wówczas do skutku. Przedsięwzięcie udało się zorganizować dopiero w 2011 r. Zainteresowanie pub-

liczności oraz medialna reakcja na Kongres przekroczyły wszelkie oczekiwania inicjatorów. Okazało się, że jest bardzo wiele osób, które zmęczone jałowością debaty publicznej w Polsce oczekiwały na podobne wydarzenie. Postanowiono więc, by Kongres odbywał się cyklicznie każdego roku.

NAJWAŻNIEJSZE TAKIE WYDARZENIE W POLSCE

Podczas kolejnych edycji debaty kongresowe koncentrowały się na rzeczywistych wyzwaniach stojących przed Polską w różnych wymiarach: geopolitycznym, gospodarczym, społecznym, kulturalnym itd. Dyskutowano m.in. o tym, jak uniknąć pułapki średniego rozwoju, przywrócić sprawczość państwa, budować kapitał społeczny, walczyć z mechanizmami tzw. optymalizacji podatkowej, prowadzić dyplomację historyczną czy politykę wizerunkową kraju itd.

Wśród uczestników Kongresu znalazło się wiele wybitnych osobistości nie tylko z Polski, lecz także z innych krajów świata, m.in. amerykański ekonomista, laureat Nagrody Nobla w 2011 r. Thomas John Sargent, niemiecki filozof i kulturoznawca Peter Sloterdijk, angielski myśliciel Roger Scruton czy kandydat na prezydenta Francji Éric Zemmour. Dzięki licznyim gościom z zagranicy można było spojrzeć na przebiegające w Polsce procesy w perspektywie globalnej, porównując je z doświadczeniami innych krajów.

Od 2011 r. zorganizowanych zostało 12 edycji Kongresu Polska Wielki Projekt. Podczas ich trwania odbyły się łącznie 143 panele dyskusyjne (z udziałem 412 panelistów), które obserwowało 35 tys. uczestników (nie licząc widzów śledzących debatę przez internet). Można śmiało powiedzieć, że nie ma w Polsce drugiego wydarzenia tej rangi, które odbywałoby się cyklicznie przez tak długi czas. Na dodatek zmieniło ono klimat intelektualny w Polsce, inicjując nowe debaty i otwierając drogę do wielu zmian.

PROJEKTY DLA POLSKI

Część projektów zademonstrowanych pierwszy raz podczas kongresowych obrad została później wcielona w życie. To podczas Kongresu Polska Wielki Projekt

Paweł Szalamacha po raz pierwszy zaprezentował plan budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. Podczas Kongresu skonceptualizowano też ideę Trójmorza, o której mówił m.in. Krzysztof Szczerski. W późniejszych latach część z przedstawionych pomysłów udało się zrealizować, gdy niektórzy z uczestników Kongresu zdecydowali się wejść do polityki. Np. Paweł Soloch, który poruszał zagadnienia bezpieczeństwa narodowego, później jako szef BBN miał okazję realizować przedstawioną przez siebie wizję w praktyce. Z kolei Krzysztof Szczerski jako sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP wspomagał Andrzeja Dudę w tworzeniu Inicjatywy Trójmorza.

Na Kongresie nigdy nie przedstawiano projektów dla konkretnych partii, lecz dla Polski, jak np. w przypadku Inicjatywy Trójmorza czy Centralnego Portu Komunikacyjnego. Ich realizacją rządzący zainteresowali się dopiero po 2015 r.

Poza tym udało się zorganizować kilkanaście regionalnych kongresów zarówno w dużych, jak i mniejszych miastach Polski, takich jak np. Kraków, Szczecin, Poznań, Chełm, Słupsk, Nowy Sącz, Piła czy Rybnik, a także wydać wiele publikacji, analiz i raportów dotyczących takich kwestii, jak np. soft power czy bezpieczeństwo niemilitarne Polski.

TRÓJMORZE WIELKI PROJEKT

Jednym z wątków, który powtarzał się często podczas kolejnych edycji Kongresu,

była idea stworzenia sojuszu państw Europy Środkowej rozumianej jako polska racja stanu. Dzisiejsze wydarzenia na Ukrainie przyznają rację tej diagnozie. Dlatego wśród zapraszanych panelistów znajdowało się wielu gości z krajów Trójmorza. Dzięki nawiązanym wówczas kontaktom udało się zorganizować później wiele ważnych wydarzeń, np. w 2022 r. polsko-czeską konferencję w Pradze poświęconą bezpieczeństwu energetycznemu naszego regionu w obliczu rosyjskiej agresji na Ukrainę.

Jeszcze ważniejszym przedsięwzięciem okazał się ubiegłoroczny I Kongres Trójmorze Wielki Projekt. Z odbytych wówczas debat wyłaniał się wniosek, że nie da się zbudować trwałego i stabilnego sojuszu między naszymi państwami i narodami bez kapitału społecznego, którego podstawowym elementem pozostaje zaufanie. Warunkiem koniecznym zaufania jest jednak wiedza o swoim potencjalnym sojuszniku. Niestety, okazuje się, że mieszkańcy naszego regionu niewiele wiedzą o sobie nawzajem. Nie znamy swoich bohaterów narodowych, pisarzy, reżyserów, kompozytorów itd. Nasze dzieci w szkołach więcej uczą się o historii Francji, Anglii czy Ameryki niż znacznie bliższych nam narodach – Słowakach, Czechach, Rumunach czy Chorwatach. Bez takiej wzajemnej wiedzy o sobie jesteśmy jednak bardziej podatni na manipulację, dezinformację oraz fake newsy, mające na celu rozbicie współpracy między naszymi krajami.



DOM TRÓJMORZA

Z tej konstatacji narodził się pomysł, by stworzyć Dom Trójmorza – pierwszy w Polsce ośrodek poświęcony tej właśnie inicjatywie. Mają się w nim odbywać różne konferencje, wykłady, seminaria, wystawy, warsztaty czy prezentacje poświęcone tematyce krajów środkowoeuropejskich oraz ich współpracy z Polską. Część tych wydarzeń będzie miała charakter ekspercki i skierowana będzie do specjalistów, jednak większość będzie miała wymiar edukacyjny i popularyzatorski, a głównym odbiorcą będzie młodzież. Dom Trójmorza jest bowiem planowany jako miejsce integrujące i umożliwiające nawiązywanie bliższych kontaktów między młodzieżą z Polski oraz innych państw Europy Środkowej. W budynku ma także funkcjonować Studio Trójmorze, w którym będą nagrywane wykłady, rozmowy oraz różnego rodzaju podcasty dotyczące problematyki naszego regionu, umieszczane następnie w mediach społecznościowych.

Środowisko związane z Kongresem Polska Wielki Projekt ma zresztą doświadczenie pracy z młodzieżą nie tylko z tego powodu, że jest w nim wielu wykładowców akademickich. Przez lata fundacja zgromadziła wokół siebie grono młodych wolontariuszy, dla których są organizowane wykłady, seminaria czy konwersatoria. W 2022 r. we współpracy z Giełdą Papierów Wartościowych odbyła się też konferencja Wielki Projekt dla Pokoleń w ramach edukacji ekonomicznej dla licealistów i studentów. Nowym wydarzeniem polegało na tym, że ostatni głos należał do młodzieży podsumowującej dyskusje, w których uczestniczyli prezesi banków, dyrektorzy przedsiębiorstw czy eksperci.

Wiadomo, że polskie państwo kieruje się zasadą pomocniczości, która jest zapisana nawet w preambule Konstytucji RP. W myśl owej zasady po upadku komunizmu państwo przekazało setki milionów złotych ogromnej liczbie różnych instytucji pozarządowych, wspierając ich rozwój infrastrukturalny, konkretne programy, a nawet gromadzenie kapitału żelaznego. Zgodnie z panującą zasadą subsydiarności Fundacja Polska Wielki Projekt, mając na



względnie swój dotychczasowy dorobek, postanowiła pozyskać siedzibę dla planowanego Domu Trójmorza. W tym celu wzięła udział w konkursie Ministerstwa Edukacji i Nauki dotyczącym rozwoju potencjału infrastrukturalnego podmiotów wspierających system oświaty i wychowania – i stała się jednym z beneficjentów tego konkursu.

ORGANY STATUTOWE FUNDACJI

Po tym wydarzeniu pojawiło się wiele medialnych wystąpień dezinformujących opinię publiczną w sprawie tego, kto zasiada w ciałach statutowych fundacji. Warto więc przypomnieć, że Kongres Polska Wielki Projekt był oddolnie stworzoną inicjatywą, która nie miała na początku żadnych form instytucjonalnych. Jako pierwsza utworzyła się Rada Programowa Kongresu, która miała charakter nieformalny i zajmowała się ustalaniem jego merytorycznej agendy. Przez pierwsze lata oficjalnie organizatorem całego przedsięwzięcia był Instytut Sobieskiego, a później Ośrodek Myśli Politycznej z Krakowa.

W miarę, jak Kongres się rozrastał, zaistniała potrzeba powołania oddzielnego podmiotu, który zajmowałby się jego organizacją. Dlatego w 2016 r. powstała Fundacja Polska Wielki Projekt, która wzięła na siebie ciężar pracy nad kolejnymi edycjami Kongresu. W zarządzie zasiadły Anna Bielecka i Maryna Miklaszewska, które pełniły swoje funkcje społecznie,

nie otrzymując żadnego wynagrodzenia. W listopadzie 2020 r. we władzach fundacji nastąpiła zmiana pokoleniowa. Nowym prezesem zarządu został Grzegorz Górny, a wiceprezesem – Michał Łuczewski.

Zgodnie ze statutem fundacja nigdy nie miała swojej rady programowej. Istniała za to i nadal istnieje Rada Programowa Kongresu. Jest to ciało doradcze jednego z wielu przedsięwzięć organizowanych przez fundację (skład tego gremium zmieniał się, ponieważ jednych osób zabrakło, jak np. śp. Izabelli Galickiej, a inne dochodziły). Rada spotyka się zazwyczaj dwa razy w roku, by przedstawiać swoje idee i pomysły dotyczące najbliższej edycji Kongresu. Jej członkowie pełnią swoje funkcje *pro publico bono*, nie pobierając z tego tytułu żadnego wynagrodzenia ani nie czerpiąc innych korzyści.

Z MYŚLĄ O PRZYSZŁOŚCI

Fundacja Polska Wielki Projekt za pieniądze uzyskane w ramach konkursu Ministerstwa Edukacji i Nauki (5 mln zł) postanowiła zakupić siedzibę, w której powstanie Dom Trójmorza. Wybór padł na nieruchomość położoną na warszawskim Mokotowie, która jest użytkowana jako budynek biurowy bez funkcji mieszkaniowych, m.in. bez łazienki. Jest to opustoszały dom, który był wystawiony na sprzedaż przez Polski Holding Nieruchomości od 2015 r., jednak przez siedem lat nie zgłosił się żaden chętny do zakupu budynku. Nieruchomość została kupiona w ramach przetargu otwartego po rynkowej cenie.

Mamy nadzieję, że po sfinalizowaniu wszystkich formalności oraz dokonaniu niezbędnego remontu w Domu Trójmorza rozpocznie się działalność edukacyjna, formacyjna i popularyzatorska skierowana do młodzieży z myślą o budowaniu bliskich relacji między państwami i narodami naszego regionu – ze szczególnym uwzględnieniem Ukrainy, którą chcemy włączyć do naszej środkowoeuropejskiej inicjatywy.

Grzegorz Górny
prezes zarządu Fundacji
Polska Wielki Projekt

SPRAWDZONE ROZWIĄZANIA DLA NOWOCZESNYCH SIŁ ZBROJNYCH



Ruch antywojenny, czyli sabotaż polskiej pomocy dla Ukrainy

Nie jest ani polskim, ani ruchem, ani antywojennym – a jednak jego lider Leszek Sykulski już odniósł sukces. W naszym kraju, jednogłośnie sprzeciwiającym się rosyjskiej agresji, inicjatywa tego geopolityka zyskała rozgłos i już jej się nie da zamilczeć, choć budząco przypomina sowieckie pomysły na rozbięcie Zachodu



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Historyk dr Leszek Sykulski właśnie wszedł na nowy etap swojej prorosyjskiej kariery autora i analityka. Do tej pory ogłaszał się ekspertem od geopolityki – ulubionej nauki rosyjskich politologów, którzy uczą o nieuchronności niektórych zjawisk w relacjach międzynarodowych. Teraz powołał do życia organizację o nazwie Polski Ruch Antywojenny. Inicjatywa ma prosty cel – zatrzymać polskie wsparcie dla broniącej się przed Rosją Ukrainy.

„Będziemy prowadzić szerokie działania, począwszy od książek, broszur, billboardów, banerów i memów. W całej Polsce pojawią się informacje o prawdziwych zagrożeniach” – zapowiedział Sykulski podczas spotkania inaugurującego powstanie ruchu.

Jakie prawdziwe zagrożenia ma na myśli? Sykulski twierdzi, że pomoc Ukrainie wciągnie Polskę w wojnę z Rosją i zakończy się dla nas tragedią. Jest dokładnie na odwrót – tylko zwycięstwo Ukrainy odsunie zagrożenie Kremla na setki kilometrów od naszych granic, i to na długie lata. Pobita Moskwa nie będzie miała sił na kolejną wojnę. Z kolei w razie zwycięstwa Putin ze swoimi



Fot. Leszek Sykulski/Twitter

sympatykami z Niemiec rozpocznie nowe porządki w naszej części Europy. Polacy to wiedzą, dlatego przyjęli w swoim kraju 3 mln uchodźców, przekazali tysiące ton pomocy humanitarnej i sami jeżdżą w najdalsze zakątki Ukrainy, by przekazywać produkty potrzebującym. Bo to wbrew temu, co twierdzi Sykulski, też nasza wojna.

EKOSYSTEM DEZINFORMACJI

Sykulski otwarcie mówi językiem kremlowskiej manipulacji. Dezinformacja rosyjska nie jest zlepką pojedynczych wyskoków, ona tworzy cały ekosystem, świat wartości, w który wkłada się konkretne zadania do wykonania. Ekosystem tego sterowania ludźmi w Polsce dotyczy pobudzania nastrojów antyamerykańskich („USA

winne wszystkim wojnom”), antysemitkich („Izrael i Ameryka odpowiadają za zło na świecie”), a także straszących potęgą Rosji, która – jak twierdzi Sykulski – nie ma żadnych sprzecznych z Polską interesów.

Sam historyk od lat forsuje dziwną polityczną wizję Europy zjednoczonej od Lizbony po Władywostok, czyli synergię Unii Europejskiej i Rosji, o jakiej marzyli Jurij Andropow czy Michaił Gorbaczow jako przywódcy komunistycznego imperium. Sykulski twierdzi, że wtedy Polska zajmie ważne miejsce w hierarchii tej struktury, która będzie nastawiona przede wszystkim na walkę z Ameryką, czyli światem anglosaskim, transatlantyckim.

Że taka wizja rzeczywistości jest w istocie kopią kremlowskiej propagandy – o tym przekonamy się za

chwilę, teraz dość powiedzieć, że ludzie, którzy wierzą w tę wizję świata, są bardziej podatni na konkretne postulaty Moskwy, np. by nie pomagać Ukrainie w tej wojnie.

PRZESZŁOŚĆ SYKULSKIEGO

Prorosyjski politolog nie ujawnia się teraz z pasją swojej młodości, w której był gorącym zwolennikiem idei jagiellońskiej i krytykiem imperialnej Rosji. Takim pamiętają go koledzy ze studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim. – Piłsudczyk pełną gębą, wygadany, wizjoner Międzymorza – opowiada historyk, który był z nim wówczas na jednym roku. To dlatego Sykulski pozyskał zaufanie w kręgach Prawa i Sprawiedliwości, które utorowały mu drogę do Komisji Weryfikacyjnej ds. WSI. Dziś geopolityk chlubi się swoimi zasługami w tamtym gronie i przynależnością do ekipy z Pałacu Prezydenckiego, ale „to był po prostu inny Sykulski”. – Czy zmienił go wyjazd badawczy do Rosji, czy uznał, że w PiS-owskim nurcie się wtedy daleko nie zajdzie – nie wiem. Ale na pewno on wcześniej był szczerym krytykiem imperialnej polityki Rosji – zapewnia dawny student UJ i kolega niemalże z jednej ławki. Nie chce mówić pod nazwiskiem, bo drogę naukową Sykulskiego ocenia jako bardzo podejrzaną.

Po studiach historyk zajął się zatem dziedziną, która kiedyś była w Rosji zakazana, a po upadku ZSRS stała się fundamentem myślenia o relacjach międzynarodowych – geopolityką. Europejskie Służby Działań Zewnętrznych (ESDZ) oceniają na swoim portalu euvdisinfo.eu, że spora część fake newsów i dezinformacji wychodzi z geopolitycznych stron internetowych. Myślenie w kategoriach nieuchronności (geografia determinuje politykę) daje Federacji Rosyjskiej przewagę położenia, przestrzeni i potęgi zasobów naturalnych, a wraz z metafizyczną ideologią Lwa Gumilowa czy Aleksandra Dugina wydaje się przypisywać Rosji wybitne dziejowe zadania. Mimo to wielu geopolityków czerpie z anglosaskich czy innych nierosyjskich źródeł, to jednak wiedza oparta na tej dziedzinie tworzy

ekosystem, w który rosyjska dezinformacja potrafi się sprawnie wstrzelić.

I tak oto od półtorej dekady Sykulski tworzy rozmaite blogi, środowiska zajmujące się geostrategią i jest autorem prac przekonujących, że Polska ze strony Rosji nie musi oczekiwać niczego złego. Liczne antypolskie zagrywki Moskwy, takie jak ustanowienie święta 6 listopada, prowadzenie ćwiczeń wojskowych uwzględniających zniszczenie nuklearne Warszawy czy antypolską retorykę Putina (także w przemówieniu z 21 lutego 2022 r., kiedy to Władimir Władimirowicz uzasadniał atak na Ukrainę) Sykulski zbywa milczeniem.

Leszek Sykulski, który powołał organizację pod nazwą Polski Ruch Antywojenny, twierdzi, że pomoc Ukrainie wciągnie Polskę w wojnę z Rosją i zakończy się dla nas tragedią. Jest dokładnie na odwrót

RUCHY ANTYWOJENNE

Moskwa w przeszłości wykorzystywała ruchy, których celem miały być niewinne postulaty zakończenia wojen czy zapobiegania im. Tak było zaraz po 1945 r. Wtedy intencją było, by hasła antywojenne i ruchy je głoszące pomogły wyrzucić wojska amerykańskie z Europy. Tak samo było w latach 70. XX w., gdy dzieci kwiaty w Stanach Zjednoczonych podnosiły hasła pacyfizmu, *de facto* uderzając w interwencję amerykańską w Wietnamie. Tak było w północnej Europie w latach 80. XX w., gdy promowano skandynawską strefę bezatomową, czyli po prostu wycofanie się sił NATO z dużej części Starego Kontynentu.

Na czele tych ruchów stali ludzie o prorosyjskich akcentach w swoich biografiiach. Duńczyk Arne Herløv Petersen, troszczący się o neutralność

Skandynawii, okazał się brać pieniądze z sowieckiej ambasady, a Harry Hay, współtworzący ruchy pacyfistyczne w USA, był wcześniej członkiem Komunistycznej Partii Ameryki. Rosjanie przecież nie będą tworzyć ruchów otwarcie prorosyjskich, zawsze korzystają z pełnej wzniosłej troski przykrywką, a pragnienie pokoju jest jedną z popularnych zagrywek przekonujących do ustępowania Moskwie.

Także dzisiaj wielu separatystów ukraińskich, którzy kolaborują z ludobójczą armią Putina, nie mówią, że chcą „roskiego miru”, tylko po prostu szybkiego zakończenia wojny. A że oznacza to w obecnym kontekście jedno i to samo, tego już nie dopowiadają.

Rosyjska dezinformacja działa więc przebiegle, bo któż by nie chciał zakończyć tej wojny. Jednak zatruty pokój oparty na rosyjskim zwycięstwie przyniesie Putinowi przekonanie, że warto przygotować się do kolejnej inwazji.

POLSKA POD NAJWIĘKSZĄ PRESJĄ

Nie po raz pierwszy położenie Rzeczypospolitej sprawia, że jest ona poddawana presjom największych mocarstw. Obecnie nie tylko Bruksela z niemieckiej inspiracji ogranicza Polsce możliwości korzystania z unijnych funduszy pod pretekstem braku praworządności, lecz także siły prorosyjskie próbują przedstawić nas jako rusofobów i podżegaczy wojennych. Nie dajmy się zwieść.

Polska jako kraj leżący na „skrwawionych ziemiach”, czyli jak to opisał historyk Timothy Snyder, będący szczególnie narażony na ataki totalitaryzmów, musi domagać się pokoju trwałego, opartego na solidnych gwarancjach bezpieczeństwa przed agresorami. Plakaty i billboardy organizacji Sykulskiego, mówiące, że to nie nasza wojna, są więc totalnym odwróceniem rzeczywistości. Jeśli na tę wojnę wrzucimy ramionami, następną będziemy mieli u siebie. Gra z ruchami rzekomo antywojennymi może się dla naszej ojczyzny zakończyć tragicznie.



Kompromis w imię bezpieczeństwa

Ustawa o Sądzie Najwyższym daje szansę na kompromis z Unią Europejską. To ważne w kontekście wojny, którą mamy za wschodnią granicą. Chcemy ustąpić w imię ważniejszego celu, którym jest bezpieczeństwo – mówi **dr hab. Krzysztof Szczucki**, prezes Rządowego Centrum Legislacji oraz kierownik Akademii Prawa i Sprawiedliwości, w rozmowie z Maciejem Walaszczykiem

Ustawa o Sądzie Najwyższym trafi do podpisu prezydenta. Andrzej Duda, komentując jej uchwalenie w styczniu, zastrzegł, że będzie się jej uważnie przyglądał. Wobec tego, jak pan przewiduje: zawetuje ją czy odeśle do Trybunału Konstytucyjnego?

Krzysztof Szczucki: Uchwalaniu ustawy towarzyszył apel, żeby przyjąć ją bez poprawek. Trzeba w tym miejscu podkreślić, że choć założenia ustawy były dyskutowane podczas rozmów z Komisją Europejską, to jest to prawo w całości napisane w Polsce. Komisja Europejska zadeklarowała, że jeżeli ustawa zostanie uchwalona w uzgodnionym kształcie, to również zostanie uruchomiona pierwsza tranza środków z Krajowego Planu Odbudowy. Trudno powiedzieć, jaką decyzję podejmie pan prezydent. Będzie ona suwerenna. Warto pozostawić mu przestrzeń do analizy i apelować, by ją podpisał. Dużym ryzykiem politycznym byłaby w tym momencie próba publicznego przewidywania i deklarowania, jaką decyzję podejmie w tej sprawie.

Ustawa nie jest niekonstytucyjna?

Jest zgodna z konstytucją, nie narusza prerogatyw prezydenta, a także nie łamie prawa w tym obszarze, w którym przenosi sądownictwo dyscyplinarne w sprawach sędziów do NSA. Daje jednocześnie szansę na kompromis z Unią Europejską, co jest szczególnie ważne w kontekście wojny, którą mamy za wschodnią granicą.

Fot. Andrzej Wiktor

Czy rzeczywiście nie naruszono naszego suwerennego prawa do kształtowania wymiaru sprawiedliwości? Nie jest to ustawa przywieziona „w teczce”?

Mówimy wprost i nikt tego nie ukrywa, że UE zgodnie z traktatami nie ma kompetencji do zajmowania się wymiarem sprawiedliwości w państwach członkowskich wspólnoty. Jednocześnie jednak trzeba pamiętać, że politykę uprawia się w określonym kontekście. Dzisiaj toczy się okrutna wojna, którą prowadzi Putin przeciw Ukrainie, a nawet całej cywilizacji zachodniej. Wojna ta poza obniżeniem poziomu bezpieczeństwa niesie również kryzys finansowy, energetyczny i gospodarczy. W tych warunkach zarówno środki z KPO, jak i dobra współpraca z instytucjami finansowymi, które funkcjonują w świecie zachodnim, są nam bardzo potrzebne. Potrzebne są nam więc pieniądze, które – choć skierowane na różnego rodzaju inwestycje i projekty – finalnie wpłyną do budżetu, zgodnie z tym, co mówi premier Morawiecki, że złoty, który pojawia się w polskiej gospodarce, staje się złotym, która pojawia się w polskim budżecie. Potrzebujemy też zbudować przekonanie, że Polska jest gotowa na kompromis i równocześnie jest państwem chcącym grać w drużynie wolnych krajów, gotowych do stawienia czoła reżimowi Władimira Putina.

Więc jest politycznym kompromisem.

Próbą poszukiwania w ramach polskiej konstytucji kompromisu z Komisją Europejską. Pamięamy o tym, że UE nie ma kompetencji dotyczących wymiaru sprawiedliwości, a także o tym, że po tamtej stronie zderzamy się z inną interpretacją. Chcemy ustąpić w imię ważniejszego celu, którym jest bezpieczeństwo.

Czy mechanizmy, które uruchomi, nie podważą nominacji sędziowskich po 2017 r., a w konsekwencji nie będzie prowadziła do podważania wyroków?

Z pełną odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że takiego ryzyka sama ustawa nie niesie. O ile będzie przestrzegana, a podejmowane decyzje będą zapadały w granicach, które wyznacza. Wyraźnie jest w niej mowa, że test niezależności, któremu będą mogli być poddani sędzio-

wie, będzie dotyczył konkretnie danej sprawy. I nie będzie obejmował tego, czy sędzia jest sędzią skutecznie powołanym przez prezydenta, czy nie. Test ma stwierdzić jedynie, czy strona, która jest uczestnikiem postępowania, może mieć pewność, że jej sprawę rozpatruje bezstronny i niezależny sąd. Problem można zresztą odwrócić: gdyby sprawę kogoś związanego z PiS rozstrzygał sędzia uczestniczący w antyrządowych demonstracjach, to śmiało taka osoba mogłaby również domagać się ustalenia, czy spełnia on warunki testu niezależności. Powodowanie chaosu jest celem wąskiej grupy sędziów, którzy w przeciwnieństwie do większości sędziów pracujących np. w sądach rejonowych uprawiają politykę, dla których każdy pretekst jest dobry do tego, by zakwestionować reformę wymiaru sprawiedliwości wprowadzaną przez rząd. Niezależnie od tego, co napiszemy w ustawach, oni zawsze będą podnosili argument, że prawo europejskie pozwala podważać wszystko, co zrobi polski rząd.

Mechanizm tzw. testu niezależności i bezstronności sędziego już działa. Jak on się sprawdza?

Na razie tych wniosków jest mało i nie słychać, by jego uruchamianie w jakikolwiek sposób burzyło funkcjonowanie sądów i powodowało wątpliwości co do statusu poszczególnych sędziów. Różnica w stosunku do stanu obecnego będzie polegała przede wszystkim na tym, że po nowelizacji prezydenckiej z ub.r. ten test może być inicjowany tylko przez uczestników postępowania, a teraz będzie również mógł być inicjowany na wniosek całego składu orzekającego. Ale nawet po nowelizacji takich wniosków będzie niewiele, bo większość spraw w Polsce rozpatrują składy jednoosobowe i jeśli się pojawiają, to raczej w sądach drugiej instancji, czy w Sądzie Najwyższym, gdzie składy są wieloosobowe.

Krytykowany jest również pomysł skierowania spraw dyscyplinarnych sędziów do NSA. Skoro to taki dobry pomysł, którego pan będzie z pewnością bronił, to dlaczego nie zrobiono tak od razu? Po co więc wojna o KRS i Izbę Dyscyplinarną?

Muszę wrócić znów do początku: jesteśmy w obszarze kompromisu z UE. To nie jest rozwiązanie przez nas szczególnie pożądane, ale uzgodnione w ramach poszukiwania rozwiązań akceptowanych przez obie strony. Możemy oczywiście dyskutować na temat tego, czy sprawy dyscyplinarne powinny być rozpatrywane w tych, czy innych sądach. Jednocześnie nie ma wątpliwości, że przyjęte rozwiązanie jest zgodne z konstytucją. Potwierdzają to również opinie, które zostały zamówione przez ministra Szymona Szyrkowskiego vel Sęka, zwłaszcza opinia prof. Marka Sztybla z Uniwersytetu Wrocławskiego. NSA bowiem już teraz prowadzi sprawy dyscyplinarne własnych sędziów, choć w konstytucji, w przepisie regulującym właściwość sądów administracyjnych, nie ma o tym ani słowa.

Ile zostało z reformy sądownictwa? Polityka wybiła na niej widoczne piętno.

Często dyskutuję z kolegami zajmującymi się prawem z perspektywy teoretycznej. Władza ustawodawcza, uchwalając prawo, bierze pod uwagę nie tylko kwestie ustrojowe, lecz także bieżące problemy gospodarcze, społeczne, polityczne, w tym uwarunkowania międzynarodowe. I nigdy w systemie demokratycznym nie uchwalimy prawa zadowolającego w pełni teoretyków. Oni – w przeciwieństwie do rządu i parlamentarnej większości – nie muszą brać pod uwagę wspomnianych kontekstów politycznych. Reforma jest rozpoczęta i mam nadzieję, że rząd PiS wygra wybory i będzie mógł w dalszym ciągu realizować swoje zamierzenia.

Da się pogodzić opresję Brukseli i opór środowisk prawniczych z ideą reformy? Czy ona jest wciąż potrzebna?

Każdy, kto ma jakikolwiek kontakt z wymiarem sprawiedliwości, widzi, że takie zmiany są w dalszym ciągu potrzebne. Jak mówiłem, nie da się jednak wszystkich zadowolić. Każda poważna reforma, zwłaszcza dotycząca środowiska, które przez lata było w Polsce nieetykalne, będzie kontestowana zwłaszcza przez wspomnianą już przeze mnie część tego środowiska, która uprawia politykę.

A czy jest możliwe skłonienie ich do orzekania i interpretowania prawa zgodnie z wolą ustawodawcy? Znamy wyroki rażące niesprawiedliwością, motywowane ideologicznie.

Tu dotykamy wielkiego problemu, którego nie sposób streścić w tak krótkiej formie, a dotyczy on aktywizmu sędziowskiego. Pamiętam, gdy nieżyjący już dziś dr Janusz Kochanowski zaprosił do Polski Antonina Scalię, wtedy sędziego amerykańskiego Sądu Najwyższego. Wygłosił on wówczas wykład pod tytułem „Sędziowie – mułlowie Zachodu”. To właśnie sędzia Scalia intensywnie walczył z owym aktywizmem sędziowskim, wskazując, że wydając wyroki, sędziowie powinni poszukiwać intencji, które towarzyszyły uchwalanemu prawu. My jednak żyjemy w świecie, w którym sądy i sędziowie coraz częściej przyjmują aktywistyczne postawy, tzn. myślą według zasady: „Dajcie nam paragraf, a ja sobie z tego wyprowadzę, co chcę”. Niestety, także często działają oni pod wpływem ideologii, czego przykładem jest orzecznictwo Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, wyprowadzającego z konwencji takie rzeczy, jakie jej twórcom z pewnością nie przychodziły do głowy.

W polityce mamy nieustanne nadinterpretowanie intencji, przykładem jest nowelizacja Kodeksu wyborczego. Opozycja uważa, że rząd chce wpłynąć na wynik wyborów.

Opozycja zdaje się mówić: nie chcemy, by Polacy mieli bliżej do lokali wyborczych, nie chcemy, by mogli oddać głos zwłaszcza ci, mieszkający na terenach wiejskich, gdzie nie jest łatwo do tych miejsc dotrzeć. Najczęściej trzeba tam dojechać. Wyobraźmy sobie, że ktoś w rodzinie po prostu nie chce podwieźć drugiej osoby do lokalu wyborczego. Właśnie naprzeciw takim potrzebom wychodzi inicjatywa PiS, proponując zmiany profrekwencyjne. Po pierwsze – więcej obwodowych komisji wyborczych tam, gdzie jest możliwość ich utworzenia, po drugie – uruchomienie komunikacji w dzień głosowania w miejscach, gdzie jej nie ma, w szczególności dla osób starszych i z niepełnosprawnościami. Bardzo

ważną sprawą jest uregulowanie statusu męża zaufania i umożliwienie rejestrowania całego procesu wyborczego od momentu pojawienia się komisji w lokalu wyborczym do momentu zamknięcia tego lokalu. Jak wiemy, przy wydawaniu kart do głosowania i ich liczeniu jest duże pole do nadużyć. Oczywiście nagrywanie z zachowaniem tajności głosowania.

Jest pan również kierownikiem Akademii Prawa i Sprawiedliwości. Skąd ten pomysł?

Idea jest potrzeba ciągłego kształcenia, podobna do tej, która dotyczy choćby lekarzy czy nauczycieli. Każdy, kto nie chce intelektualnie stać w miejscu, powinien korzystać z takich form rozwoju.

Każda poważna reforma, zwłaszcza dotycząca środowiska, które przez lata było w Polsce nietykalne, będzie kontestowana zwłaszcza przez wspomnianą już przeze mnie część tego środowiska, która uprawia politykę

Dotyczy to również polityków, którzy odpowiadają za nasze życiowe sprawy. Do naszej akademii trafiają przede wszystkim parlamentarzyści i samorządowcy oraz młodzi działacze PiS, którzy mają ambicję w przyszłości stać się parlamentarzystami i samorządowcami. Podchodzimy do tego wielopokoleniowo. Akademia jest dla nas zarówno możliwością intelektualnego rozwoju, jak i wewnętrznej integracji.

Jak wygląda dzień na takiej akademii?

Spotykamy się raz w miesiącu, w sobotę o godzinie 11.00. Zazwyczaj w programie są trzy wykłady przeplatane dyskusjami. Najbliższa akademia odbędzie się 25 lutego, a jej gośćmi będą m.in. wicepremier prof. Piotr Gliński oraz prezes

ZUS prof. Gertruda Uścińska. Wykłady w ramach akademii są pogrupowane w trzy bloki. Jeden, zatytułowany „Skąd jesteśmy”, już zakończyliśmy. Zainaugurowało go wystąpienie prezesa Jarosława Kaczyńskiego, a dotyczyło ono sporów i konfliktów, które towarzyszyły życiu politycznemu u narodzin III Rzeczypospolitej. Teraz kontynuujemy blok programowo-polityczny pod nazwą „Dokąd zmierzamy” zainaugurowany przez premiera Mateusza Morawieckiego, w którym mówimy o naszych założeniach programowych, co powinniśmy osiągnąć.

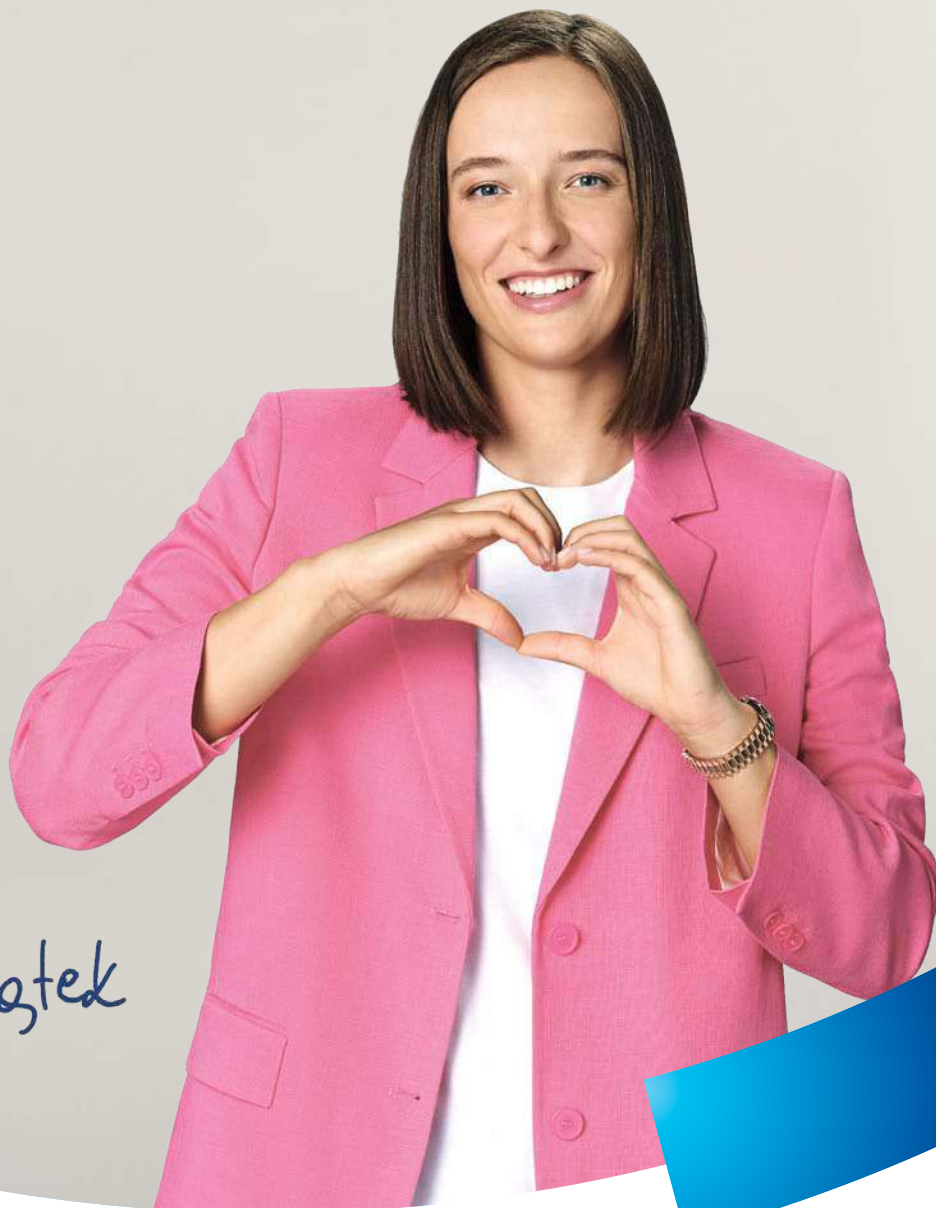
Co dzisiaj możemy powiedzieć o kadrach PiS?

Jest to partia bardzo dobrze intelektualnie przygotowana do działalności publicznej. Ma w swoich szeregach licznych profesorów, a jednocześnie – w przeciwieństwie do ugrupowań opozycyjnych – nie ogranicza się w swojej działalności do jakichś wąskich grup, potrafi swój potencjał wykorzystać również w działaniach adresowanych do grup zagrożonych marginalizacją czy nawet wykluczeniem. Upominała się o ludzi, o których zapomniano, mieszkających w miejscach, które poprzednie rządy pomijały, np. w aspekcie komunikacyjnym czy edukacyjnym. Jednocześnie tzw. elity są nam niechętne i każdy z nas, kto porusza się w środowisku akademickim, spotkał się nieraz z tzw. hejtem.

Pan przecież wywodzi się z Uniwersytetu Warszawskiego. Pana aktywność polityczna też spotkała się z niechęcią?

Oczywiście krytyka w moim środowisku uniwersyteckim się zdarza, ale grunt to wiedzieć, że stoi się po właściwej stronie. Cieszę się, że mam możliwość pracy dla polskiego państwa. Gdy śledzimy historię cywilizacji, często ci, którzy mieli rację, niekoniecznie byli popularni i płynęli pod prąd. Wracając do historii PiS – przez ile lat Jarosław Kaczyński był ostro krytykowany, atakowany, ale wytrwale stał na swoim stanowisku? Nawet wtedy, gdy znalazł się poza parlamentem, czekał na stosowny moment umożliwiający mu realizację swojego programu politycznego. Myślę, że jest to świetny wzór, do którego powinniśmy dążyć.

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Iga Świątek

Twoja przyszłość leży w Twoich rękach

Zabezpiecz siebie i swoją rodzinę z zaufanym partnerem PZU Życie.

#maszwplywnaswojezycie

Dowiedz się więcej na pzu.pl/maszwplywnaswojezycie



Bez taryfy ulgowej

Kazimierz Marcinkiewicz nie daje o sobie zapomnieć. Niestety, jego nazwisko pojawia się w coraz gorszych kontekstach. Ostatnio oburzył go wyrok sądu, który uznał go za winnego uchylania się od obowiązku alimentacyjnego wobec byłej żony. Były premier oskarżył sąd o wydanie politycznego wyroku. Pewnie nie zauważył, że rząd kilka lat temu wypowiedział wojnę alimenciarzom



KAZIMIERZ WINNY

Wyrok zbulwersował byłego premiera, niedoszłego kandydata Koalicji Europejskiej do Parlamentu Europejskiego. „Rozwód po polsku. Trzy lata małżeństwa, dwa lata separacji, cztery lata rozvodu, 13 lat utrzymywania dorosłej osoby. Dożywotnie alimenty. Kapturowy PiS-wski proces o unikanie w ciągu 30 dni. Kapturowy PiS-wski sędzia lub sędzina odbiera prawo do jakiegokolwiek obrony. Wyrok sześciu miesięcy za podobno 10 miesięcy nieplacenia. Prawo i Sprawiedliwość Cywilizacja Kaczyńskiego i Ziobry. A jeszcze powinienem dodać coś o Dudzie. Mam to w doodzie [pisownia oryginalna – przyp. red.]” – napisał Marcinkiewicz na swoim profilu na Instagramie. Były polityk zadeklarował także, że od wyroku zamierza się odwołać. „Nie rozumiem kapturowych sądów w cywilizowanym świecie” – oświadczył.

Co na to Prokuratura Okręgowa w Warszawie? Ta wydała oświadczenie, w którym informuje, że „postępowanie w sprawie byłego premiera zostało wszczęte w wyniku zawiadomienia o przestępstwie złożonego przez byłą żonę Kazimierza Marcinkiewicza, która złożyła w tej sprawie zeznania i dostarczyła dokumenty. Zgodnie z Kodeksem postępowania karnego prokuratura ma obowiązek wszcząć postępowanie, jeśli zachodzi uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa” – czytamy w oświadczeniu prokuratury cytowanym przez PAP.

Śledczy twierdzą, że zgromadzone w sprawie dowody, w tym dokumentacja komornicza, bez wątpienia wyka-



DOROTA ŁOSIEWICZ

Były premier Kazimierz Marcinkiewicz na własne życzenie stał się na całe lata bohaterem pierwszych stron tabloidów. Śledziliśmy historię miłosnych uniesień byłego ZCHN-owca, który wcześniej porzucił żonę i czworo dzieci, a następnie historię końca wielkiej miłości, która przeszła

w prawdziwą wojnę, a ta przeniosła się z mediów do sądu. I właśnie w drugiej połowie stycznia Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy wydał wyrok nakazowy wobec Kazimierza Marcinkiewicza, uznając go za winnego uchylania się od obowiązku alimentacyjnego wobec byłej żony Izabeli. Sąd skazał Marcinkiewicza na pół roku ograniczenia wolności i na wykonywanie prac społecznych. Co oznacza wyrok nakazowy? To wyrok bez konieczności przeprowadzenia rozprawy. Zgodnie z Kodeksem postępowania karnego sąd może wydać wyrok nakazowy, jeżeli na podstawie zebranych dowodów okoliczności czynu i wina oskarżonego nie budzą wątpliwości.

zały, że Kazimierz Marcinkiewicz przez prawie rok uchylał się od obowiązku płacenia alimentów. „W świetle obowiązującego prawa jest to przestępstwo. W związku z tym prokuratura w grudniu 2022 r. skierowała do sądu akt oskarżenia” – wskazała prokuratura. „Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy wyrokiem z 19 stycznia uznał, że wina oskarżonego nie budzi wątpliwości. Skazał go na sześć miesięcy ograniczenia wolności z obowiązkiem wykonywania nieodpłatnej pracy na cele społeczne w wymiarze 20 godzin miesięcznie” – czytamy w oświadczeniu.

OFIARA POLITYCZNA?

Jeśli więc Kazimierz Marcinkiewicz jest ofiarą jakiejś wojny, to na pewno nie politycznej. Może być ofiarą wojny z niesprawiedliwością i alimentarzami, którą wypowiedział im rząd Zjednoczonej Prawicy, przyjmując projekt ustawy, której celem było usprawnienie ściągania długów alimentacyjnych.

– Zmieniliśmy przepis, który w Kodeksie karnym występował bardzo wiele lat i był krytykowany bez względu na barwy polityczne. Chodzi o art. 209 kk. Ten przepis był tak niejasno sformułowany, że nie było wiadomo, kiedy pociągnąć do odpowiedzialności osoby, które uchylają się od obowiązku alimentacyjnego. Wpłacenie niewielkiej kwoty zaległości sprawiało, że nie można było skazać osoby zalegającej z alimentami. Wprowadziliśmy więc zapis, że jeżeli ktoś uchyla się od płacenia alimentów przez trzy pełne okresy, wówczas podlega odpowiedzialności karnej. Teraz §1 tego przepisu brzmi: „Kto uchyla się od wykonania obowiązku alimentacyjnego określonego co do wysokości orzeczeniem sądowym, ugodą zawartą przed sądem albo innym organem albo inną umową, jeżeli łączna wysokość powstałych wskutek tego zaległości stanowi równowartość co najmniej trzech świadczeń okresowych albo jeżeli opóźnienie zaległego świadczenia innego niż okresowe wynosi co najmniej trzy miesiące, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku” – tłumaczy mi Michał Wójcik, minister w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

Dalej w tym samym artykule czytamy: „Jeżeli sprawca czynu określonego w §1 naraża osobę uprawnioną na niemożność zaspokojenia podstawowych potrzeb życiowych, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch” oraz „Ściganie przestępstwa określonego w §1 lub 1a następuje na wniosek pokrzywdzonego, organu pomocy społecznej lub organu podejmującego działania wobec dłużnika alimentacyjnego”.

– Powiem wprost: tu nie ma żadnego politycznego kontekstu. To jest tak, że jeżeli ktoś, bez względu na to, czy jest politykiem, czy nie, uchyla się od płacenia alimentów, to mamy sytuację zerojedynkową. Nie płacisz – odpowiadasz. I koniec – wyjaśnia wiceminister Wójcik.

Podobnie ocenił sytuację w rozmowie z „Faktem” Piotr Kaszewiak, adwokat znany z programu emitowanego w TVP „Sprawa dla reportera”. Kaszewiak wiele razy zajmował stanowisko w podobnych do sprawy Marcinkiewicza sporach, a także sam reprezentował w nich strony. „Wypowiedź pana oskarżonego jest co najmniej niemądra. Wydanie wyroku nakazowego w takiej sprawie jest zupełnie standardowym i zgodnym z przepisami postępowaniem sądu i nie ma nic wspólnego z polityką. Jeśli oskarżony nie zgadza się z wyrokiem i wniosie na piśmie sprzeciw (*de facto* jednozdaniowe pismo zgodnie z załączonym do wyroku pouczeniem sądu), wyrok straci moc, a sąd rozpozna sprawę na zasadach ogólnych – wyjaśnił adwokat. – Mogę powołać się na dziesiątki spraw, w których brałem udział jako obrońca lub pełnomocnik (po stronie oskarżonych lub pokrzywdzonych) i taka właśnie procedura była stosowana. Zważywszy, że wszyscy jesteśmy równi wobec prawa – nie ma podstaw, by oczekiwać od sądu, że w przypadku osoby publicznej będą stosowane inne standardy niż te, które wynikają z przepisów” – komentuje prawnik.

W OBRONIE KOBIET

Warto też przypomnieć, że przepisy chroniące nie tylko osoby nieotrzymujące zasądzonych alimentów, lecz także ofiary przemocy, przeważnie kobiety, chwałą nawet tak zajadli krytycy polskiego rządu jak Sylwia Spurek. „Powiem

coś, co zabrzmi szokująco. Rząd PiS, przynajmniej na poziomie legislacyjnym, przez ostatnie dwa lata zrobił więcej dla kobiet-ofiar przemocy w rodzinie niż Komisja Europejska. Pani komisarzko, państwa bierność w tej sprawie to także łamanie praworządności” – mówiła Spurek ponad rok temu w Parlamencie Europejskim, zwracając się do szefowej KE. „Sama wielokrotnie z tego miejsca zdecydowanie krytykowałam rząd i potępiałam jego antydemokratyczne działania. Ale w 2020 r. ten rząd zmienił prawo. Wprowadził policyjny nakaz opuszczenia domu przez sprawcę przemocy. Umożliwił natychmiastową izolację sprawcy od ofiary. To konkret. A co zrobiła państwa Komisja?” – pytała eurodeputowana o lewicowych poglądach.

„Dzięki ustawie antyprzemocowej uwolniliśmy od przemocy ponad 3,2 tys. rodzin (w rok!) i na tym nie koniec. Jako Ministerstwo Sprawiedliwości mamy już gotowe kolejne rozwiązania, które wzmocnią bezpieczeństwo ofiar przemocy” – pisała na Twitterze po tych słowach Sylwia Spurek wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski.

Co więcej, parlament przyjął kolejne rozwiązania chroniące ofiary przemocy. W grudniu 2022 r. Sejm przyjął nowelizację Kodeksu postępowania cywilnego dotyczącą rozwiązań przeciw przemocy domowej. Zaproponowano zakaz zbliżania się, zakaz kontaktowania się oraz zakaz wstępu do miejsc takich jak miejsce pracy osoby pokrzywdzonej. Niedawno weszła także w życie nowelizacja ustawy o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie, która w nowych przepisach jest określana przemocą domową. Regulacja wprowadza m.in. pojęcia przemocy ekonomicznej i cyberprzemocy, rozszerza też krąg osób objętych ochroną na byłych partnerów i dzieci będące świadkami przemocy domowej.

– Znałem Kazimierza Marcinkiewicza w czasach, gdy był poważnym urzędnikiem państwowym w czarnym garniturze – wspominał kiedyś w rozmowie ze mną byłego premiera mecenas Marek Markiewicz. – Miałem wrażenie, że jego poczucie godności przerasta innych. Igdy patrzę na jego drogę, to dziwię się, że tak roztrwonil wizerunek poważnego człowieka, który kiedyś budował. Na własne życzenie – zamyśla się prawnik.

Depresja biskupa

Oświadczenie bp. Edwarda Dajczaka, który otwarcie przyznał, że zrezygnował ze swojej posługi z powodu depresji, jest niezwykle ważne w walce z tą chorobą i podejściem do niej w Kościele katolickim



GORAN ANDRIJANIĆ

Niedawna rezygnacja Edwarda Dajczaka z funkcji biskupa koszalińsko-kołobrzeskiego odbiła się szerokim echem nie tylko w mediach kościelnych, lecz także świeckich. Tym, co przykuło uwagę opinii publicznej, nie jest sama rezygnacja z posługi, ale jej powody. Biskup Dajczak zrobił to w wyniku dotyczącej go depresji, która w jego przypadku jest skutkiem przebytych trzech zakażeń wirusem COVID-19.

CZŁOWIEK CHCIAŁBY NIE CZUĆ RZECZYWISTOŚCI

„Próbuję to jakoś opanować, również za pomocą leków, ale idzie to z trudem” – mówił biskup w wywiadzie dla diecezjalnej telewizji internetowej Dobre Media. Rozmowa ta miała na celu poinformowanie opinii publicznej o walce, którą prowadzi duchowny.

„Sprawa dotyczy stanów lękowych, które na szczęście minęły, jednak nie minęły ataki depresji. Bywają one nieraz na tyle mocne, że powodują wycofywanie się, chęć ukrycia się. Człowiek chciałby po prostu zasnąć i nie czuć rzeczywistości. Ci, którzy doświadczają depresji, wiedzą, o czym mówię”.

Zapytany, co poleciliby innym, którzy cierpią na to schorzenie, biskup odpowiedział: „Trzeba znaleźć człowieka, który pomoże. Ja znalazłem.



Trzeba też dobrze trafić z lekami, ponieważ one jednak pomagają”. Biskup dodał, że zdecydował się zrezygnować z posługi, ponieważ nie chce, by jego diecezja uciepiała z powodu stanu jego zdrowia.

„Ja nie kryję tego [swojej choroby – przyp. red.]. Ta informacja jest potrzebna diecezjanom, żeby wiedzieli, dlaczego podjąłem taką decyzję. Gdybym odszedł normalnie za rok, nikt by o nic nie pytał. Jednak powiem jeszcze raz: stwierdziłem, że nie ma co marnować czasu, moje problemy nie miną automatycznie, a przed nami sporo zmian, które wymagają dynamizmu życia”.

Edward Dajczak w przyszłym roku skończy 75 lat, kiedy to biskupi mogą przejść na emeryturę. Fakt, że postanowił nie czekać do przyszłego roku, mówi wiele o chorobie, z którą walczy.

DEPRESJA A STAN WIARY

Zapewne zdarzało się już wcześniej, że niektórzy biskupi w Polsce zrezygnowali ze swojej posługi z powodu problemów zdrowotnych natury psychicznej. Po raz pierwszy jednak rezygnujący prałat otwarcie o tym mówi. Ta otwartość bp. Dajczaka w przyznaniu się do walki z depresją, nazywaną plagą

współczesności, która utrudnia dzisiaj życie wielu ludziom, jest niezwykle ważna. Jego oświadczenie przyczynia się do uświadomienia nam zdrowotnych konsekwencji pocovidowych, o których wciąż niewiele wiemy.

Jest ono również ważne z powodów walki z depresją w kontekście wiary katolickiej. W Kościele mowa o depresji jest często naznaczona pewnym fideizmem. Chodzi o sposób myślenia uznający, że depresja jest wyłącznie wynikiem niewystarczająco intensywnego życia duchowego.

Dziennikarka tygodnika „Gość Niedzielny” Agnieszka Huf w ten sposób skomentowała wystąpienie bp. Dajczaka. „Słowa biskupa mają ogromne znaczenie szczególnie dla tych osób, które są głęboko wierzące, a jednocześnie cierpią na depresję. Niejednokrotnie muszą mierzyć się z pytaniem, stawianym przez własne sumienie lub »życzliwych«, czy choroba nie jest przypadkiem wynikiem ich zbyt letniego życia duchowego. Dla nich świadectwo biskupa, który otwarcie mówi: »Tak, choruję na depresję, korzystam z leczenia«, jest bezcenne, bo redukuje poczucie winy, które to w depresji jest zwykle bardzo nasilone”.

Cała sytuacja z bp. Dajczakiem może więc być symbolem dojrzałego i zdrowego podejścia Kościoła do psychologicznych trudności, z którymi boryka się współczesny człowiek. W teorii zawsze takie było podejście, ale często zdarzało się, że w praktyce duszpasterskiej było inaczej. Wystąpienie biskupa seniora koszalińsko-kołobrzeskiego może pomóc to zmienić.

Zgadza się z tym ks. Robert Skrzypczak, teolog i psycholog. – Depresja to bardzo poważna i uciążliwa choroba – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci”. – Bp Dajczak podał ją jako główny powód rezygnacji z urzędu ordynariusza diecezji, co świadczy o jego poczuciu rzeczywistości i trzeźwości myślenia, ale też pokorze, że jest gotowy ustąpić, gdy nie radzi sobie sam w prowadzeniu diecezji. Praca biskupa to nie są tylko uroczystości, którym przewodniczy, ale to też decydowanie o ludziach, finansach, to odpowiedzialność za parafie, dekanaty, seminarium,

rozeznawanie powołań, sąd biskupi, rozeznawanie spraw małżeńskich i wiele innych obowiązków.

Ks. Skrzypczak otwartość bp. Dajczaka łączy z jego duchowością. – Tutaj potrzeba właśnie trzeźwego myślenia, szczególnie jeśli ktoś należy do jakichś wspólnot, poddaje się pewnej drodze formacji, a ks. Dajczak zawsze identyfikował się z Odnową w Duchu Świętym. Mamy w Kościele wielu księży, którzy identyfikują się z konkretną wspólnotą. Ja sam mam to doświadczenie, że przynależność do wspólnoty, w moim przypadku Drogi Neokatechumenalnej, pomaga mi trzymać się blisko rzeczywistości, w utrzymywaniu dystansu do samego siebie, budowaniu szczerości, nie pozwala na uciekanie w grę pozor-

Zarzuty, że depresja pojawia się wyłącznie z niewystarczającej modlitwy, to objaw ignorancji – mówi ks. Robert Skrzypczak, teolog i psycholog

rów. We wspólnocie nie muszę udawać bycia kimś innym, bo najwspanialsze jest pełnienie woli Boga. Myślę, że bp Dajczak skorzystał z tego doświadczenia, nowego powiewu Ducha Świętego po Soborze Watykańskim II, w postaci wspólnot, które bardzo pomagają człowiekowi z jednej strony odnosić się z wiarą do tego, co się w życiu dzieje, a z drugiej – trzymać się blisko ziemi.

Psycholog i kapłan ostrzega też przed uprzedzeniami, które istnieją w Kościele w stosunku do depresji. – Zarzuty, że depresja pojawia się wyłącznie z niewystarczającej modlitwy, to objaw ignorancji. To prawda, że czasami ktoś może się doprowadzić do depresji złym gospodarowaniem samego siebie, nadmierną ambicją, kierowaniem się ekstremalną motywacją osiągnięć. Czasami jednak depresja może być związana z funkcjonowaniem organizmu, np. z wiekiem, przeciążeniem organizmu.

Dlatego trudno jest wiązać depresję prostym równaniem z zaniedbaniem duchowym albo sytuacją grzechu.

KATOLIKA „NOC DUSZY”

– Jeśli spojrzymy na świętych, to np. św. Jan to, co my dziś nazywamy depresją, nazywał nocą duszy, a ojcowie wschodni acedia. Oni wtedy nie znali kategorii medycznych tak jak my. Posługiwali się terminami przełomu, kryzysu, który jest etapem koniecznym rozwoju duchowego i który następuje nie wtedy, kiedy jesteśmy na niego przygotowani, ale znienacka, z zaskoczenia – mówi nam ks. Skrzypczak.

Profesor przypomina też, że wciąż niewiele wiemy o depresji. – Jeśli chodzi o samą depresję, jest bardzo dużo jej rodzajów. Są takie, które towarzyszą człowiekowi sytuacyjnie, ze zmęczenia i z traumatycznych przeżyć, ale są też depresje szczytu, które pojawiają się po osiągnięciu jakiegoś sukcesu. Mamy depresje spowodowane stratą i związane z jakąś zewnętrzną sytuacją, w której się znaleźliśmy. Są jednak również depresje wywołane fizjologią mózgu. Kiedyś byłem na praktyce misyjnej w Finlandii i był tam ze mną włoski ksiądz, odpowiedzialny i gorliwy. Pewnego dnia jechał na północ Finlandii, gdzie miał poprowadzić dzień skupienia dla kapłanów. Jadąc samochodem, nagle poczuł, jakby spadała na niego czarna płachta, która spowodowała ogromne załamanie. Zamiast dać innym słowo pocieszenia, okazało się, że potrzebował go od innych. Tu potrzebna jest pomoc farmakologiczna.

Żyjemy w czasach, w których depresja staje się naprawdę poważnym problemem w naszym społeczeństwie. Jeśli chcemy go przezwyciężyć, musimy o nim rozmawiać, nie bagatelizować i zamiatać pod dywan. W kontekście wiary katolickiej również musimy uznać ten problem i odpowiednio z nim walczyć.

Z tego powodu oświadczenie bp. Dajczaka jest ważne i pozytywne. Biskup, który w swoich działaniach zawsze silnie kierował się natchnieniami Ducha Świętego, znów zrobił krok niemal procrzy. Podziękujemy mu za to.

Oferowana na samym początku wojny przez Niemcy pomoc humanitarna i przede wszystkim militarna okazały się dalekie od oczekiwań. I to nie tylko strony ukraińskiej, lecz także innych partnerów europejskich



Niemcy, blokując KPO dla Polski, szkodzą sobie

Z Dariuszem Pawłowskim, ambasadorem RP w Berlinie, rozmawia Marcin Wikło

Czy stanowisko ambasadora RP w Berlinie to trudny odcinek?

Dariusz Pawłowski: Powiedziałbym nawet, że to bardzo trudny odcinek. Szczególnie teraz, gdy mamy do czynienia z napiętą sytuacją w Europie spowodowaną rosyjską agresją i wojną na Ukrainie. W każdym razie to jest bardzo ciekawa praca. Niesamowitym wyzwaniem jest możliwość rozmowy i współpracy z naszym największym i najważniejszym partnerem zarówno gospodarczym, jak i politycznym w Europie.

W jednym zdaniu naszkicował pan charakter tej współpracy obfitujący we współczesne konteksty, które naznaczają cały kontynent. Ale czy rzeczywiście Berlin jest centralnym punktem Europy?

Niemcy niewątpliwie chciałyby być tak postrzegane. To w części uzasadnione, patrząc choćby na ich rolę polityczną w ramach Unii Europejskiej. Ale to także kraj o ogromnym potencjale gospodarczym, kraj eksportowy, który produkuje na cały świat. Nic więc dziwnego, że Berlin ma aspira-

cje, by przewodzić w Europie, a nawet szerzej – na świecie. Takie są niewątpliwie cele geopolityczne i geostrategiczne Republiki Federalnej Niemiec.

Cele są ambitne, ale jak idzie z ich realizacją? Czy Niemcy wciąż są krajem, który może imponować?

Przez wiele dekad Niemcy z powodzeniem realizowały swoje cele i były postrzegane jako wzór do naśladowania. Polityka RFN wobec Rosji była uprawiana według dwóch zasad: „Wandel durch Handel”

(zmiana przez handel) albo „Wandel durch Annäherung” (zmiana przez zbliżenie). Widzimy dzisiaj, że to był błąd, do czego sami Niemcy niejednokrotnie ze wstydem się przyznają. Kolejnym elementem, który zdecydowanie przewartościował tę dominującą rolę Berlina, jest oczywiście rosyjska napaść na Ukrainę. Oferowana na samym początku wojny przez Niemcy pomoc humanitarna i przede wszystkim militarna okazały się dalekie od oczekiwań. I to nie tylko strony ukraińskiej, lecz także innych partnerów europejskich. To z Berlina zazwyczaj płynęły stanowcze apele o przestrzeganie praw człowieka i wartości europejskich, a okazało się, że Niemcy sami nie byli w stanie im sprostać.

Dla czytelnika w Polsce czy na Ukrainie to wydaje się oczywiste, ale czy Niemcy sami to widzą? Czy chcą przyjąć za to odpowiedzialność?

Taka ocena gości coraz częściej w niemieckich mediach. We wpływowym niemieckim tygodniku „Der Spiegel” pojawiła się nawet opinia, że gdyby walcząca Ukraina polegała na niemieckich obietnicach, dawno straciłaby niepodległość.

To rzeczywiście dosadne słowa, ale czy prowadzą do jakiejś realnej zmiany polityki? Jak naprawdę wygląda niemiecka pomoc Ukrainie?

Niemcy bardzo by chcieli, by ich pomoc uchodziła za nadzwyczaj wysoką. W ub.r. opublikowano raport rządu federalnego na temat bilateralnej pomocy dla Ukrainy. Jest tutaj mowa o gigantycznej kwocie 12,5 mld euro, ale trzeba mieć świadomość, że lwią część tych pieniędzy została wydana w Niemczech i to tutejsze organizacje pomocowe korzystają z tego wsparcia.

Obserwujemy za to w Niemczech coś, co w prześmiewczy sposób jest nazywane „scholzowaniem”, czyli podejmowaniem przez kanclerza decyzji o pomocy wówczas, gdy naprawdę nie ma już innego wyjścia.

Czy nie należy traktować tego jako zostawienie sobie jakiejś furtki do przyszłych relacji z Rosją?

Polityka wschodnia Republiki Federalnej Niemiec jest prowadzona przecież nie od wczoraj ani nawet nie od kilku lat, tylko od jej powstania. Z Moskwą negocjował już pierwszy kanclerz RFN Konrad Adenauer, który miał za zadanie ściągnąć do domu swoich obywateli, głównie jeńców wojennych. W latach 60. XX w. rządy objęła SPD z kanclerzem Willym Brandtem, który ogłosił nową Ostpolitik (politykę wschodnią) i doprowadził do normalizacji relacji nie tylko z ZSRR, lecz także z innymi krajami bloku wschodniego. Brandta wspomagał wówczas Egon Bahr, któ-

W tygodniku „Der Spiegel” pojawiła się opinia, że gdyby walcząca Ukraina polegała na niemieckich obietnicach, dawno straciłaby niepodległość

remu w dużej części zawdzięczamy podpisany w 1970 r. układ PRL–RFN (tzw. Warschauer Vertrag – układ warszawski) i nawiązanie relacji dyplomatycznych dwa lata później. Ten polityk powiedział wówczas, że między dwoma krajami nie ma czegoś takiego jak wartości, tylko jest twardy interes państwowy. W Niemczech ta zasada obowiązywała i tak się tutaj robi politykę, nawet jeśli bywa ona nazywana ładnie, jak już wspominałem, zmianą przez handel czy zbliżenie.

Nawet wybuch wojny nie jest powodem, by zrozumieć, że Rosja nie może być partnerem?

Nie chcę tłumaczyć Berlina, ale spróbujmy odtworzyć niemiecki sposób myślenia. Trudno jest zapewne przedstawić się mentalnie, politycznie, gospodarczo i społecznie na zupełnie inne działania. Wybuch pełnoskalowej

wojny jest szokiem dla wielu osób, instytucji, rządów landowych, które mają swoje wieloletnie powiązania gospodarcze. Ważny dla Niemiec rynek rosyjski został zablokowany, a w drugą stronę nie płyną surowce do landów, które są całkowicie od tych dostaw uzależnione.

Myśli pan, że te zmiany są niemożliwe tylko z takich powodów obiektywnych czy jednak istnieje jakaś tęsknota do powrotu do relacji z Moskwą?

Na terenach wschodnich zmiana polityki w ciągu kilku miesięcy jest niewykonalna, tam chęć do powrotu do *status quo* sprzed wojny i do biznesu z Rosją jest bardzo odczuwalna. W Meklemburgii-Pomorzu Przednim premierem jest pani Manuela Schwesig, która była zagorzałą zwolenniczką budowy Nord Stream 2, jest finansowo powiązana z Gazpromem, a politycy CDU nazywali ją wprost lobbystą Putina. Premierem Saksonii z kolei jest Michael Kretschmer, który nawet teraz, w trakcie toczącej się wojny, opowiada się za uruchomieniem NS2.

A jak to wygląda z perspektywy całego kraju?

Kontakty z Rosją zostały rzeczywiście zerwane. Na poziomie społecznym było wiele wspólnych inicjatyw, było sporo fundacji, one jednak zakończyły działalność. Jeszcze w tym miesiącu, w rocznicę rosyjskiej inwazji na Ukrainę, słynna berlińska Cafe Moskau zostanie przemianowana symbolicznie na Cafe Kyiv. W języku polityków coraz częściej słychać przeprosiny za wieloletnie zaniedbania i ślepą, naiwną relację z Rosją. Dzieje się to bardzo powoli i ociężale, ale ten proces trwa. Czy i jak się zakończy, to zapewne jest uwarunkowane od wyniku tej wojny. Polityka nie zna pojęcia próżni. Wyobrażam sobie, że za jakiś czas – nie wiem jak szybko – relacje z Moskwą zostaną wznowione, bo dysponuje ona surowcami, które dla niemieckiego przemysłu są potrzebne. Podobnie z kulturą rosyjską, która w Niemczech jest bardzo szanowana. Pytanie brzmi, jaka będzie ta przyszła Rosja po wojnie.

Rozpoczął pan urzędowanie jako ambasador w Berlinie pod koniec ub.r., zbiegło się to w czasie z wysłaniem przez Warszawę tzw. noty reparacyjnej. Jak wyglądały pierwsze pana dni w nowej funkcji?

Przez wiele lat, będąc szefem Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie, zajmowałem się tym tematem, więc jest on dla mnie szczególnie ważny. Muszę przyznać, że fakt publikacji raportu o stratach wojennych 1 września ub.r. i złożenie noty dyplomatycznej do rządu RFN 3 października, czyli w rocznicę zjednoczenia Niemiec, wywołały tutaj spory rezonans. Nie można chyba mówić o zaskoczeniu, bo przecież strona polska od dłuższego czasu sygnalizowała ten niezalutwany problem w naszych relacjach, a jednak w pierwszych reakcjach usłyszeliśmy, że nota została złożona w niewłaściwym czasie, a polskie roszczenia są całkowicie nierealne.

Jaki czas według Niemców byłby dobry, by rozmawiać o reparacjach?

Czas jest niedobry, bo temat jest niewygodny, to jasne. My uważamy, że to jest najwyższy czas, by o tym rozmawiać, ponieważ problem jest niezalutwany od dekad. A osobiście uważam, że czas ku temu jest najlepszy, bo zbrodnica agresja Rosji na Ukrainę pokazuje, czym w praktyce jest wojna. Najmłodsze pokolenia niemieckie nie miały okazji widzieć zbrodni i zniszczeń, o których informujemy w raporcie. Cały cywilizowany świat oburza się dzisiaj na mordowanie ludzi, tortury, wywózkę dzieci przez Rosjan. W Polsce w czasie II wojny światowej działo się to samo, tylko było podniesione do entej potęgi.

Niemcy tego nie rozumieją?

Niemcy są mistrzami świata w różnych dziedzinach, także w werbalnym przejmowaniu odpowiedzialności za II wojnę światową. Ale w całej tej ich rozbudowanej frazeologii umyka realizm zagłady, której została poddana Polska. Nie było rozliczenia w bilateralnych stosunkach polsko-

-niemieckich ani za zbrodnie na polskich obywatelach, ani za straty materialne. Minister finansów Christian Lindner, z którym niedawno się spotkałem, opublikował niedawno dane, pokazujące, że od 1952 r. ofiarom niemieckich prześladowań wypłacono w Niemczech i innych krajach świata ponad 80 mld euro. Wyjaśniłem mu w trakcie naszej rozmowy, że do Polski trafiło zaledwie 1,5 proc. tej kwoty. Po pierwsze, to bardzo niewiele, a po drugie – większość pieniędzy wypłacono już w XXI w., ofiary zazwyczaj tego nie dożywały.

To jest najlepszy czas na rozmowę o reparacjach, bo zbrodnica agresja Rosji na Ukrainę pokazuje, czym w praktyce jest wojna

Odpowiedź na polską notę reparacyjną, popartą bardzo szczegółowym raportem, zawierała trzy zdania. Co w dyplomacji oznacza tak lakoniczna odmowa?

Należałoby użyć bardzo niedyplomatycznego stwierdzenia, ale pozostaniemy przy cytacie ze starej polskiej komedii: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co nam pan zrobi?”. Uznajemy temat za zamknięty i nie chcemy o tym rozmawiać. W raporcie są podane bardzo konkretne wyliczenia i wskazane obszary, które nie są zalutwane, jest więc o czym rozmawiać, a Niemcy odpychają problem od siebie. Przed nami długa droga. Musimy dotrzeć do niemieckiej opinii publicznej, środowisk opiniotwórczych oraz polityków i wytłumaczyć im, że nie godzimy się na przekreślenie przeszłości. Gdyby tak było, to Niemcy nie płaciłyby zaledwie 10 lat temu ostatniej raty reparacji za I wojnę światową i nie podejmowałyby negocjacji z Namibią prześladowaną przez niemieckich kolonistów. Zbrodnie wojenne nie ulegają prze-

dawnieniu, co zresztą wprost – choć w kontekście Rosjan – powiedział na szczycie G7 minister sprawiedliwości Marco Buschmann. Całkowicie się z tym zgadzamy. RFN jest prawnym spadkobiercą III Rzeszy, ma obowiązek rozliczyć się z prześladowanymi i ukarać sprawców. Bo ta garstka najwyższych dowódców osądzonych w Norymberdze to jest, jak mówi się w Niemczech, „kropla na gorącym kamieniu”, która błyskawicznie znika w morzu nierozliczonych zbrodni.

Prof. Dieter Bingen z Uniwersytetu w Bonn mówi o lukach w niemieckiej pamięci, zwłaszcza w odniesieniu do niemieckiej okupacji Polski. Skoro więc wiedza o polskiej krzywdzie nie jest powszechna, nie uczy się o niej w szkołach, to może nie powinniśmy się dziwić, że reagują na nasze żądania tak obcesowo. Czego ci Polacy znowu chcą?

Ten raport, który za chwilę ukaże się także w języku niemieckim, ma jeszcze jedną ważną rolę. Ma pokazać, że II wojna światowa to nie tylko dojście Hitlera do władzy, walka Wehrmachtu i innych niemieckich jednostek oraz Holocaust, lecz także zbrodnie popełnione na terenach okupowanych. Naszym celem jest pokazanie skali tego, co działo się w Polsce, bo im dalej od tych wydarzeń, tym łatwiej się o nich zapomina.

Ta niemiecka niewiedza sprawia wrażenie wręcz zinstytucjonalizowanej. Czy państwo przyzwala na tę ignorancję?

Za niemieckie szkolnictwo odpowiada władze poszczególnych landów. Jest ich 16, mamy więc do czynienia z tyłoma różnymi programami nauczania, które różnią się od siebie choćby ze względu na geograficzne położenie i doświadczenia historyczne. Bez względu na to jednak trzeba przyznać, że Polska w tych programach nigdy nie była szczególnie obecna, jak więc ma nie powstać luka, o której mówi prof. Bingen? Kilka lat temu wśród światłych ludzi, którzy sprzyjają Polsce i kibicują naszym wzajemnym



zdrowym relacjom, pojawiła się idea budowy pomnika polskich ofiar wojennych, ale wzbogaconego o centrum edukacyjne, które pomagałoby z tą niewiedzą walczyć. Jest uchwała Bundestagu w tej sprawie, ale jej realizacja utknęła, co nas niepokoi i martwi. Tym bardziej że nie bardzo mamy możliwość nacisku, a nawet dyskusji z osobami za to odpowiedzialnymi. Jednym z moich głównych zadań jest powrót do tej debaty i przypomnienie, że Polakom takie miejsce w Berlinie się należy. 27 stycznia, w rocznicę wyzwolenia niemieckiego nazistowskiego obozu Auschwitz-Birkenau, na całym świecie, także w Polsce, obchodzi się Dzień Pamięci Ofiar Holokaustu. W Niemczech obchodzi się w tym czasie Dzień Ofiar Nazizmu. Tegoroczne uroczystości w Bundestagu były poświęcone prześladowaniu osób o odmienniej orientacji seksualnej. Ta grupa ma swój pomnik w Berlinie. Polacy nie mają.

Nie tylko Polacy. W badaniach Uniwersytetu w Bielefeld nad pamięcią widać, że Niemcy wiedzą o Holokauście, zagładzie Sinti i Romów, a nas wrzucają do kategorii „inne narody”.

Niemieckie myślenie jest takie, że jeśli zbudujemy pomnik Polakom, to trzeba będzie postawić także Ukrain-

com, Czechom czy innym nacjom. Nie jest naszą winą, że tak wiele narodów cierpiało pod niemiecką okupacją i na pewno nie jest dla nas argumentem stwierdzenie, że więcej miejsc pamięci już w Berlinie tworzyć się nie da. Tym bardziej że w tej kategorii „inne narody” jesteśmy umieszczani razem np. z Rosjanami, którzy w 1939 r. także na nas napadli, a później okupowali przez dziesięciolecia.

Jeszcze do niedawna panowało powszechne przekonanie, że Europa to w zasadzie Niemcy. To przywództwo, o czym mówiliśmy, jest może nieco zachwiane, ale wciąż mocno zakorzenione w europejskich instytucjach. Jaki jest wpływ Niemiec na nasze relacje np. z Komisją Europejską?

Rola Niemiec wciąż jest w Europie ogromna. To największa gospodarka na Starym Kontynencie i największy płatnik netto do unijnego budżetu. Z tym nie ma co polemizować. Nam zależy na jednym, by decyzje podejmowane na forum UE stawały wszystkich członków wspólnoty na równi, byśmy nie mieli do czynienia z państwami lepszymi i gorszymi. Trudno to odczuć w kwestii wypłaty Polsce środków z Krajowego Planu Odbudowy. Jest on potrzebny naszym

krajom po czasie pandemii, a w obliczu wojny na Ukrainie nasze gospodarki powinny być szczególnie silne. Nieprzejeżdżana postawa w tej kwestii rządu federalnego czy niemieckich urzędników w UE nie jest do końca zrozumiała dla niemieckiego przemysłu, który ma w Polsce swoje zakłady albo ściśle współpracuje z polskimi partnerami. Politycy tworzą więc paradoks, bo Niemcy, blokując KPO dla Polski, szkodzą sobie, a na pewno swoim przedsiębiorcom. W mojej ocenie, należałoby raczej o te relacje dbać, bo nasza współpraca handlowa od lat rozwija się i stale wzrasta, jej wolumen przekroczył w ub.r. 167 mld euro. To prawie 14 proc. więcej niż w 2021 r.

Po wielu latach starań polska ambasada w Berlinie będzie w końcu umiejscowiona przy Unter den Linden, najbardziej reprezentatywnej alei w stolicy Niemiec. To ważne dla prestiżu naszego kraju?

To bardzo ważne, żeby Polska jako kraj, który odgrywa tak ważną rolę w relacjach międzynarodowych, miała swoje godne miejsce w stolicy Republiki Federalnej. Jesteśmy w dobrym sąsiedztwie, blisko największych mocarstw: USA, Wielkiej Brytanii, Francji, po sąsiedzku z Węgrami. Naprzeciwko mamy ambasadę Rosji, kraju, który w przyszłości, mam nadzieję, też stanie się w końcu republiką demokratyczną, ale na ten moment dystans jest oczywisty.

Czy ta nowa ambasada będzie polską wizytówką w Berlinie?

Zachowujemy starą siedzibę w dzielnicy Grunewald, w centrum miasta będzie mniej miejsca na gabinety dyplomatów, a więcej przestrzeni, by pokazywać wszystko to, co w Polsce najlepsze: kulturę, przemysł, osiągnięcia, także sportowe. Chcemy, by było to miejsce, w którym można będzie się spotykać. Cieszę się, że ta inwestycja nie pozostaje już tylko na papierze. Duża w tym zasługa mojego poprzednika, pana ambasadora prof. Andrzeja Przylębskiego, który rozpoczął tę ambitną budowę. Miło będzie widzieć powiewającą dumnie biało-czerwoną flagę w takim miejscu.

Robaczywy plan, czyli kto chce nam wcisnąć insekty na talerz

*Trudno oprzeć się wrażeniu,
że owadzi biznes został sztucznie
wykreowany tylko po to,
by znaleźć nowe źródło zysku.
Bajki o tym, że jedzenie robactwa
ochroni klimat i przysłuży się
ludzkości, pozostawmy tym,
którzy w nie wierzą*



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Podobno 2 mld ludzi na całym świecie zajada się insektami. Tak przynajmniej twierdzą ci, którzy chcieliby wprowadzić owady do naszej diety. I przy okazji sporo na tym zarobić. Nie za bardzo można im wierzyć, bo chyba nigdzie insekty nie stanowią podstawy żywienia. Tam gdzie są jadane, wynika to raczej z ubóstwa i bywa smutną koniecznością.

W naszej kulturze jedzenie robactwa kojarzy się ogólnie z czymś obrzydliwym, z upadkiem. Nawet w okresach głodu nie sięgano po tego rodzaju menu. W Europie ludzie emigrowali w poszukiwaniu żywności, czasem umierali z wycieńczenia, ale owadów nie brali do ust. Nic więc dziwnego, że obecna próba przełamania tego tabu wywołuje sprzeciw i wzburzenie.

OSWAJANIE KONSUMENTA

Dwa lata temu Komisja Europejska pod naciskiem lobbystów i zacządzonych ideologicznie fanatyków zgodziła się na dopuszczenie do konsumpcji mięsa owadziego. Konsekwencją tej decyzji jest niedawne otwarcie rynku dla maki produkowanej ze zmieszanych świerszczy, która może być stosowana w produktach przeznaczonych dla ludzi. Jej producentem jest wietnamska spółka Cricket One. Już sam proces produkcji tej maki wygląda dość wstrętne. Owady przed ususzeniem i zmieleniem muszą być m.in. wygłodzone, by zdążyły wydalić odchody, które mogą być potencjalnie szkodliwe dla człowieka.

Wietnamski producent będzie na razie monopolistą na rynku unijnym, jednak Komisja Europejska może wydać podobne zgody innym firmom pod warunkiem, że nie będą one korzystały z metod opracowanych przez Wietnamczyków.

Decyzja Komisji nie oznacza automatycznie, że sklepy zostaną zalane wypiekami ze świerszcza. Promotorzy tego rodzaju diety doskonale zdają sobie sprawę z tego, że konsumenta trzeba stopniowo oswajać. Dlatego od pewnego czasu obserwujemy promocję diety z insektów jako rzekomo doskonałego zamiennika mięsa i soi.

Suszone robaki, które gdzieś trafiły już do sprzedaży, mają smakować jak chipsy. Polecane są także dania z owadów zarówno nieprzetworzonych, jak i przemielonych



– np. w postaci batonów z dużą zawartością białka. A hollywoodzka gwiazda Angelina Jolie szokuje widzów smażonymi pajakami i skorpionami, które – jak tłumaczy – uratowały już mieszkańców Kambodży przed głodem, więc nie ma powodu, byśmy sami nie sięgnęli po takie dania, zwłaszcza że – jej zdaniem – są bardzo smaczne.

Na razie to wszystko jest sprzedawane w formie ciekawostki wartej spróbowania. Na etykietach produktów musi być informacja, że w ich składzie znajdują się owady, a więc nic na siłę. Ale coraz częściej mówi się, że dieta z insektów jest koniecznością, dla której nie ma alternatywy. Bo tradycyjna hodowla zagraża klimatowi i trzeba będzie z niej wkrótce zrezygnować. A owadów jest przecież mnóstwo, nie mają wielkich wymagań, zajmują niewiele miejsca, a przy tym są niewyczerpanym źródłem wartościowego białka. Zatem lepiej już dziś zacząć się przyzwyczajać do ich smaku.

W naszej kulturze jedzenie robactwa kojarzy się ogólnie z czymś obrzydliwym, z upadkiem. Nawet w okresach głodu nie sięgano po tego rodzaju menu

PANACEUM NA PROBLEMY

Nie od dziś wiemy, że walka o klimat stała się wygodnym pretekstem do podejmowania nowych prób inżynierii społecznej. Przy czym nie chodzi tu tylko o dążenie do przebudowy człowieka zgodnie z wizjami, które uroiły się w głowach fanatycznych radykałów, lecz także o ogromne pieniądze. Za fasadą ideologii kryje się przecież wielki transfer finansowy, dzięki któremu garstka krezusów coraz głębiej drenuje kieszenie społeczeństwa. Taki drenaż odbywa się w niezauważony sposób, bo społeczeństwu (a więc większości z nas) wmówiono, że poświęca się w imię wyższego celu, którym jest dobro ludzkości.

Hodowla owadów to kolejny przykład takiego transferu. Jego ofiarami mogą się stać rolnicy, bo to oni – hodując bydło czy

produkując paszę dla zwierząt – oddadzą swoje dotychczasowe zyski międzynarodowym korporacjom finansującym liczne start-upy działające wokół produkcji wysokoprzetworzonej żywności, takiej jak np. laboratoryjne zamienniki mięsa lub pozyskiwanie białka z insektów.

Pomysły na to, by zarabiać na owadach,

pojawili się na większą skalę kilka lat temu. Schemat działania był taki sam jak w przypadku innych nowinek technologicznych. Różne fundusze inwestycyjne i korporacje regularnie przeczesują ośrodki badawcze w poszukiwaniu nowych źródeł zysku. Również naukowcy szukają komercyjnego zastosowania swoich projektów po to, by dobrze na nich zarobić. Sposobem połączenia interesów obu grup są granty. Jeśli jakieś badania dają nadzieję na przyszły zarobek, to naukowcy otrzymują od prywatnych firm zastrzyk gotówki.

Dzięki temu hodowle owadów pojawiły się w Korei Południowej, Australii, Stanach Zjednoczonych i Europie. Po latach badań laboratoryjnych okazało się, że z niektórych gatunków insektów można stosunkowo łatwo i relatywnie niewielkim kosztem pozyskiwać białko, którego można potem użyć przy produkcji pasz dla zwierząt, kosmetyków, lekarstw oraz żywności dla ludzi. Przy dużej produkcji potencjalne zyski mogą być więc ogromne.

Wtedy do działania ruszyli lobbysci. Owady zaczęto przedstawiać jako panaceum na wszystkie niemalże problemy świata. Pretekstem były nie tylko zmiany klimatyczne, lecz także koronawirus i wojna na Ukrainie. Produkty z insektów miały złagodzić wywołane pandemią kłopoty

z logistyką (owady można hodować w każdym miejscu) i zaradzić zaostrożonemu przez wojnę kryzysowi żywnościowemu. Przedstawiono apokaliptyczną wizję świata, w którym już wkrótce zostaną wyczerpane wszystkie zasoby – jedną z wielu, poczynając od Thomasa Malthusa, które się jak dotąd nie sprawdziły.

Ostatecznie lobbyści, zręcznie wykorzystując argumenty ekologicznych radykałów, dopięli swego. W 2021 r. Komisja Europejska dopuściła produkty z owadów na rynek i można było przystąpić do szacowania przyszłych zysków.

POLSKI WKŁAD

W tej chwili na rynku działa kilka liczących się firm zajmujących się hodowlą owadów. Większość z nich zajmuje się produkcją pasz z białka insektów, ale bardzo chętnie poszerzają swoją działalność, wchodząc na rynek żywności.

Polskim potentatem jest firma HiProMine spod Poznania. Została założona przez grupę naukowców z miejscowego Uniwersytetu Przyrodniczego, którzy opracowali metodę hodowli larw muchy afrykańskiej – gatunku niewystępującego w Polsce, ale podobno całkiem nieźle dającego sobie radę nawet w polarnych warunkach. Larwy są

przetwarzane na białko, z którego produkuje się paszę. Jak podaje zarząd HiProMine, w 2024 r. firma osiągnie produkcję rzędu 25 tys. ton

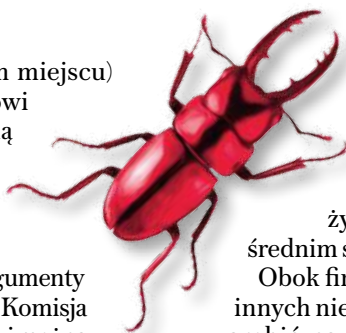
larw rocznie

(dla porównania francuski konkurent – przedsiębiorstwo Ÿnsect wytwarza 100 tys. ton owadów, głównie na paszę i nawozy). Polska firma

dostała grant w wysokości 14 mln zł od Ministerstwa

Rozwoju i Technologii na rozwój produkcji i przymierza się do realizacji projektów wykorzystania białka owadziego w kosmetyce i farmaceutyce oraz do przetwarzania owadzych odchodów na nawóz.

W tej chwili możliwości produkcyjne firmy nie są zbyt wielkie. Wytwarza ona kilkadziesiąt ton paszy miesięcznie. To niedużo, biorąc pod uwagę, że w Polsce co roku zużywa się ok. 20 mln ton tradycyjnych pasz. Dlatego firma stara się o dofinansowanie i zamierza uruchomić nowy zakład, który znacząco zwiększy jej moce pro-



dukcyjne. Z tym nie jest jednak łatwo. Nie tylko z powodów finansowych. Planowane uruchomienie zakładu w Częstochowie zostało w 2021 r. oprotestowane przez okolicznych mieszkańców, którzy nie życzyli sobie hodowli larw w swoim bezpośrednim sąsiedztwie.

Obok firmy HiProMine jest jeszcze w Polsce kilka innych niewielkich przedsiębiorstw, które chciałyby zarobić na insektach. Wśród nich m.in. FoodBugs – dystrybutor owadów zarówno jadalnych, sprzedawanych w paczkach niczym orzeszki (w ofercie np. robaki z solą morską lub suszone świerszcze o smaku śmietany z cebulą), jak i przeznaczonych na inne cele, np. dla wędkarzy. Niedawno FoodBugs pochwalił się, że jego produkty można już kupić w sklepach jednej z dużych sieci handlowych działających w Polsce.

Gdy produkcja mięsa zostanie obłożona wysoką opłatą klimatyczną, będzie ono dostępne wyłącznie dla bogatych konsumentów. Pozostali będą musieli zadowolić się żywnością z owadzim wkładem

PASZA DLA BIEDOTY

Według raportu indyjskiej pracowni Meticulous Research, zajmującej się badaniem rynków, wartość owadziego biznesu mocno wzrosła podczas pandemii i szacuje się, że do 2027 r. osiągnie 4,63 mld dol. Inne prognozy mówią o 8 mld do 2030 r. To na szczęście niewiele w porównaniu z tradycyjnym rynkiem mięsa, którego wartość sięga 900 mld dol. Można więc powiedzieć, że nic nie grozi naszej dotychczasowej diecie,

ale tak naprawdę niczego nie można być pewnym. Jeszcze niedawno nikomu przecież nie przyszłoby do głowy, że cała Europa będzie w przyspieszonym tempie przechodzić na alternatywne źródła energii, mocno do tego dopłacając. Tak samo może być z mięsem. Nie da się przecież wykluczyć, że zostanie ono obłożone wysoką opłatą klimatyczną, która sprawi, że jego masowa produkcja stanie się nieopłacalna, a ono samo będzie dostępne wyłącznie dla bogatych konsumentów. Pozostali będą musieli zadowolić się żywnością z owadzim wkładem.

Unijna agencja ds. bezpieczeństwa żywności EFSA, która w 2021 r. dopuściła produkty z insektów na rynek żywności, zaleca, by w komunikacji z konsumentem na temat takich produktów unikać wywoływania obrzydzenia. Jak więc widać, biurokraci unijni mają pełną świadomość tego, że biorą udział nie tylko w dietetycznej, lecz także w estetycznej czy wręcz kulturowej rewolucji.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że owadzi biznes został sztucznie wykreowany tylko po to, by znaleźć nowe źródło zysku. Bajki o tym, że jedzenie robactwa ochroni klimat i przysłuży się ludzkości, pozostawmy tym, którzy w nie wierzą.



DZIAŁAMY WSPÓLNIE NA RZECZ ZRÓWNOWAŻONEJ PRZYSZŁOŚCI



W 2021 wygenerowaliśmy 122 mld zł
wsparcia dla polskiej gospodarki.

www.bgk.pl

Herbatka i samoloty

Europejski tour Wołodymra Zełenskiego zmusza do postawienia pytania o granice zaangażowania wolnego świata w toczącą się wojnę na Wschodzie



Już po wielkiej mowie ukraińskiego prezydenta w Westminster Hall, która miała miejsce w ubiegłą środę, stało się jasne, że Zełenski ruszył do Europy, by zrobić wyłom we wspólnym zachodnim froncie odmowy wysyłki samolotów bojowych dla armii ukraińskiej. Najpierw hełm doborowego ukraińskiego pilota spektakularnie wręczony spikerowi Izby Gmin, na oczach zgromadzonej w Westminsterze całej elity brytyjskiego życia politycz-



JAN ROKITA

nego. Potem słowa o „skrzydłach wolności”, których potrzebuje Ukraina, o „pilotach, którzy na Ukrainie są dziś królami”, oraz polityczne wezwanie do budowy nowej proukraińskiej „koalicji samolotów”.

A w końcu niby to zrzeczny żart na finał owej mowy, a *de facto* jej mocna polityczna pointa – o świetnej angielskiej herbatce, za którą prezydent Ukrainy dziękował spikerowi Izby Gmin podczas wizyty w Londynie dwa lata temu, i o potężnych

Fot. Stefan Rousseau/POOL/AFP/Contrasto

angielskich samolotach, za które chciałby awansem podziękować tym razem. To przemyślana i świetnie skonstruowana mowa-lobbying, która łącząc odwołania do brytyjskiej tradycji i pochwały angielskiej odwagi z umiejętnościami i bohaterstwem ukraińskich lotników, w niewralgicznej kwestii dostaw bojowych samolotów miała postawić angielską elitę polityczną w sytuacji oczywistego moralnego szantażu. Zelenski próbował zmusić Anglię do zrobienia wyłomu w negatywnym samolotowym froncie całego wolnego świata (dodajmy przy okazji: froncie, do którego nieoczekiwanie zapisała się nawet wyjątkowo ostrożna tym razem Polska).

NA RAZIE SZKOLENIE PILOTÓW

Premier Rishi Sunak nie mógł choćby po części nie ulec temu szantażowi, choć jednak nie zrobił tego do końca. Brytyjskich bojowych „skrzydeł wolności” Zelenskiemu mimo wszystko nie obiecał, nie rozbijając w ten sposób wspólnego zachodniego frontu odmowy pod przywództwem prezydenta Bidena, który nieustannie potwierdza w tej materii twarde amerykańskie „no”. Ale Sunak obiecał jednak szybko zacząć szkolenie ukraińskich pilotów w obsłudze nowoczesnych myśliwców, a także wydał rozkaz armii przygotowania samolotów, które gdyby co, to byłyby gotowe do wysłania na wojnę na Wschodzie. To w sumie dobry przykład swoistej gry, którą kluczowe kraje wolnego świata prowadzą od dłuższego czasu z Zelenskim.

Rozpoczęcie szkoleń ukraińskich pilotów – to krok wytwarzający dalszą presję na pozytywną dla Kijowa decyzję całego Zachodu, gdyż w końcu po co tracić czas i pieniądze na takie szkolenia, skoro w efekcie nigdy do niczego nie miałyby się przydać ani owym wyszkolonym pilotom, ani armii ukraińskiej w jej starciu z rosyjskim agresorem? Z kolei poprzestawanie na przygotowaniach i analizach, których ma dokonać brytyjski resort obrony i dowództwo lotnictwa, podkreśla fakt, że zgody Zachodu na to kolejne militarne żądanie Zelenskiego nie ma i być może, jednak nigdy ona nie zapadnie. Czyli z jednej strony ciągle utrudnianie Ukraińcom obrony ich kraju, z drugiej – gesty i ustępstwa, które muszą wzmacniać ukraińską presję. To w sumie polityka kunktatorska, czyli taka, która zakłada, iż przy podejmowaniu najtrudniejszych decyzji politycznych warto robić zawsze jeden krok w przód, uzupełniając go zarazem co najmniej połową kroku w tył.

PRESJA I USTĘPSTWA

Dotychczasowe skutki takiej polityki wolnego świata nie są dla Ukrainy najgorsze. Umożliwiają bowiem nieustanne wzmacnianie presji, co – jak dotąd – zawsze kończyło się ustępstwami. Tak było najpierw z przełamaniem bariery dostaw jakiegokolwiek broni ciężkiej, potem z wozami bojowymi, ciężką artylerią, zestawami antyrakietowymi, no i w końcu z ciężkimi czołgami. Do wymuszenia na rządach zachodnich zostały już teraz tylko samoloty bojowe i rakiety średniego zasięgu, zdolne atakować Krym oraz okręty ro-

syjskie na Morzach Czarnym i Kaspijskim. Zarówno ukraińskie dowództwo wojskowe, jak i sam prezydent Zelenski twierdzą ostatnio otwarcie, że bez tych broni mogą nie być w stanie ocalić Ukrainy. Co więcej, rysują przy tym (tak jak to czyni np. gen. Żałużny) perspektywę rychłych, bliżej niesprecyzowanych, ale z pewnością bardzo silnych ataków rosyjskich, wobec których Ukraina może okazać się niemal bezbronna.

Trzeba być znawcą technik współczesnej wojny, by móc stawiać jakiegokolwiek hipotezy co do tego, czy z samolotami bojowymi i rakietami o większym zasięgu armia ukraińska istotnie będzie w stanie osiągnąć swoje cele. Ale jedno jest absolutnie pewne: po dostawach tych dwóch nowych rodzajów broni następnym krokiem, który wolny świat może wykonać w obronie Ukrainy, będzie już tylko wysłanie na wojnę NATO-wskich żołnierzy.

Na tym właśnie polega doniosły polityczny problem owych dostaw. Bo choć wszyscy jesteśmy nie od dziś pod wrażeniem zarówno przygotowania, jak i bohaterstwa ukraińskiej armii, to jednak również nie od dziś zdajemy sobie sprawę, że Ukraina znalazła się w wojennym impasie, z którego na razie nie widać wyjścia. Najbardziej otwarcie i brutalnie zwykł to przyznawać premier Węgier, który niedawno w wywiadzie dla wąskiej grupy dziennikarzy mówił, iż jego zdaniem: „Zachód nie rozumie, że czas na Ukrainie jest po stronie Rosji”.

REKLAMA

Rekolekcje radiowe
w życiu codziennym

26.02-26.03.2023

Odwagi!
Jam zwyciężył świat
(J 16, 33)

Radio 16.1 Warszawa
Wspólnota Życia
Chrześcijańskiego
w Polsce
www.wcz.org.pl/radiowe

YouTube

64.0123/F

Ale co ciekawe, bardzo realistyczny w swoich ocenach jest ostatnio także polski prezydent. Na forum w Davos uwagę wszystkich zwróciły takie oto, bardziej „analityczne” niż „polityczne” słowa Andrzeja Dudy: „To nie jest tak, że Ukraina dziś zwycięża – mówił prezydent. – Ukraina opiera się rosyjskiej agresji, ale Rosja swoim rozmiarem, w sensie liczbą żołnierzy, których rzuca na front, po prostu miażdży obronę ukraińską. To się nie dzieje szybko, to się dzieje powoli, przy wielkich rosyjskich stratach, ale się dzieje”.

O złej sytuacji wojennej Ukrainy odważają się w ogóle wspominać tylko ci politycy, którzy ogólnie nie życzą Kijowowi nazbyt dobrze (jak Orbán), albo ci, którzy od początku okazują walczącej Ukrainie tak mocne i konsekwentne wsparcie, że mogą sobie bez obaw pozwolić na chwilę szczerości (jak Duda). Liderzy zachodnich mocarstw oczywiście myślą tak samo jak Orbán i Duda, a prawdę mówiąc, myślą tak zapewne bardziej i dłużej. Ale boją się wspomnieć cokolwiek na temat militarnych szans Ukrainy, by nie zostać oskarżonymi o cynizm i ukryty zamiar zdrady. Dlatego zatem tak trudno im przychodzić kolejne decyzje o poprawie wyposażenia armii ukraińskiej, a tym samym o powiększeniu jej szans na wypchnięcie z kraju okupanta?

„NONSZALANCKIE” ZAŁOŻENIE

To oczywiście nonsens, że Biden, Sunak czy Duda, a nawet faktycznie liczący się z Rosją Macron czy Scholz, tak dalece obawiają się hipotetycznych dalekosiężnych skutków porażki Rosji, że chcieliby, by obecna wojna została zakończona jakimś rozejmem korzystnym dla Putina. Takie oskarżenia wobec liderów wolnego świata są miotane tu i ówdzie, np. w Polsce, przez najbardziej radykalnie antyrosyjskie środowiska, zarzucające Zachodowi nieustającą, choć skrywaną intencję zdrady. Ale sprawy na Ukrainie poszły już za daleko, okrucieństwo Moskali jest zbyt ostentacyjne, a pomoc Zachodu zbyt zaawansowana, by liderzy Zachodu nie życzyli sobie najszczerzej tego, by Ukraina odniosła zwycięstwo, a Rosja poniosła wojenną porażkę – czyli została zmuszona do wycofania się na swoje terytorium.

Istota rzeczy tkwi gdzie indziej. W zachodniej polityce istnieje silna i wcale nie irracjonalna obawa, iż Ukraina może sobie nie poradzić z przewlekłą, zdeterminowaną i długotrwałą nawałą rosyjską, nawet jeśli za jakiś czas (bo przecież nie z tygodnia na tydzień) dostałaby NATO-wskie samoloty bojowe i rakiety o dalszym niż dotąd zasięgu. A polityczni przywódcy wolnego świata doskonale rozumieją mechanizm

wciągania się w wojnę, nawet wbrew głębokiej i autentycznej własnej woli. W Ameryce opowiada o tym mechanizmie nawet popkultura, by przypomnieć nie tylko zabawny, lecz także pouczający komediodramat „Wojna Charliego Wilsona” (ostatni film świetnego Mike’a Nicholasa z Tomem Hanksem w głównej roli), pokazujący, jak USA stały się stroną wojny w Afganistanie. Im lepszą i bardziej ofensywną broń dajesz swojemu młodszemu partnerowi, tym bardziej nie będziesz mógł sobie pozwolić na jego porażkę. Jeśli zatem nie potrafisz zatrzymać się z coraz to lepszą i lepszą bronią, to liczyć się z tym, że w końcu tak bardzo nie będziesz mógł pozwolić sobie na porażkę, że pewnego dnia dla ratowania swojego młodszego partnera w opalach będziesz musiał posłać na wojnę swoich żołnierzy.

Prawdę mówiąc, to dość prosta i nieszczególnie wyrafinowana logika, która od zarania dziejów towarzyszy soюзom militarnym i wojnom. A przynajmniej takim soюзom jak ten obecny, między Ameryką i NATO a Ukrainą, w którym los młodszego partnera pozostaje całkowicie w rękach starszego i po stokroć silniejszego. W odniesieniu do tej wojny ową logikę trafnie zdefiniował twardo konserwatywny analityk – prof. John Mearsheimer z Chicago. Latem 2022 r. napisał on na łamach „Foreign Affairs” esej, dowodzący, iż amerykańska polityka wobec wojny na Wschodzie jest nazbyt nonszalancka. A to dlatego, że u jej podstaw leży wątpliwe i właśnie nonszalanckie założenie, iż Ukrainę da się z pewnością obronić, a Moskali odepchnąć bez wysyłania na wojnę NATO-wskich żołnierzy. Mearsheimer dowodził, że w każdym razie założenie takie nie może być uznane za pewne.

Co zrobisz bowiem (zwracał się nie wprost do prezydenta Bidena), jeśli mimo dostaw wszelkiej broni armia ukraińska jednak sobie z Moskalami nie poradzi? Czy na samym końcu porzucisz swojego młodszego partnera, w którego zainwestowałeś nie tylko swoją politykę i najlepszą broń, lecz także cały prestiż Ameryki? Aż się prosi, by teraz, gdy trwa właśnie przełamywanie bariery dostaw samolotów, postawić pointę nad starymi тезami Mearsheimera. Taką oto: a jeśli samoloty i rakiety o dalszym zasięgu też nie uratują wolnej Ukrainy, czy będziemy gotowi posłać na wojnę naszych żołnierzy? Czy też dopiero wówczas dojrzejemy mentalnie do tego, by dokonać wielkiej, gorszącej i brutalnej zdrady Ukrainy? Prawdę mówiąc, nie tylko nasi przywódcy polityczni, lecz także my – obywatele Europy i Ameryki, a przynajmniej ci z nas, którzy (tak jak autor tego tekstu) z pasją marzą o zwycięstwie Ukrainy – nie powinniśmy unikać stawiania samym sobie tego niezbyt przyjemnego pytania.

A jeśli samoloty i rakiety o dalszym zasięgu też nie uratują wolnej Ukrainy, czy będziemy gotowi posłać na wojnę naszych żołnierzy? Czy też dopiero wówczas dojrzejemy mentalnie do tego, by dokonać wielkiej, gorszącej i brutalnej zdrady Ukrainy?



**TOTALIZATOR
SPORTOWY**

18+ **OK**



GRALIŚCIE I **WY**GRALIŚCIE!

Jesteście Wielcy! Dzięki Wam 27 obiektów otrzyma dofinansowanie, które pozwoli na rozwój działalności sportowej i kulturalnej w Waszej okolicy.

Gratulujemy i dziękujemy!

#WYgrywamy Razem, bo **WYgrywamy zaczyna się od **WY****

gramywygrywamy.pl





Jak Rosja chce wygrać wojnę



MAREK BUDZISZ

Nawet jeśli Rosjanie nie osiągną spektakularnych zdobyczy terytorialnych, to prowadząc krwawą wojnę na wyniszczenie, mogą zmusić Kijów do tego, by ukraińscy reprezentanci usiedli do stołu rokowań

Anonimowy urzędnik administracji prezydenta Ukrainy powiedział dziennikarzom „The Guardian”, że Zelenski po to pojechał do Londynu, Paryża i na szczyt Unii Europejskiej w Brukseli, by przyspieszyć najważniejsze dla Kijowa procesy – negocjacje akcesyjne i dostawy broni. Szczególnie to ostatnie jest istotne, bo Zelenski jest przekonany, że najbliższe dwa miesiące będą decydujące.

Ukraińscy liderzy od kilkunastu dni alarmują o przygotowywanej przez Rosjan wielkiej ofensywie. Minister obrony Reznikow mówił w czasie jednej z ostatnich konferencji prasowych, że najprawdopodobniej zacznie się ona niedługo przed rocznicą wybuchu

wojny, po to by Putin, przemawiając na Zgromadzeniu Federalnym, miał się czym pochwalić. Andrij Czerniak, występujący w imieniu ukraińskiego wywiadu, powiedział dziennikarzom „Financial Times” na początku stycznia, że ofensywa rozpocznie się w perspektywie 10 dni, a Putin wydał swoim generałom rozkaz dojścia do administracyjnych granic obwodów donieckiego i ługańskiego. Eksperci amerykańskiego Institute for a Study of War są zdania, że atak już się rozpoczął, Rosjanie zaczęli operacje zaczepne, które dopiero nabierają tempa, ale już odzyskali inicjatywę strategiczną i mamy w gruncie rzeczy do czynienia z nową fazą wojny.

KOLEJNY ROK WOJNY

Wojny, która raczej nie skończy się szybko, a wiele wskazuje na to, że będzie trwała i w przyszłym roku. Zdaniem ekspertów estońskiego wywiadu, który właśnie opublikował swój roczny raport, Rosja wierzy, że czas działa na jej korzyść, i nie zamierza siadać do stołu rokowań na warunkach podyktowanych przez Zachód. Tego rodzaju postawa, której przejawem jest mobilizacja przemysłu rosyjskiego na potrzeby produkcji wojskowej, oznacza, że Rosja zamierza kontynuować działania zbrojne przeciwko Ukrainie w 2023 r. W tym celu Kreml planuje zmobilizować dodatkowe zasoby ludzkie i przemysłowe

do wsparcia działań zbrojnych, szukając możliwości pozyskiwania broni i amunicji z innych krajów, takich jak Iran, Białoruś i Korea Północna.

Podobne opinie formułują zarówno zachodni politycy, jak i eksperci. Jens Stoltenberg powiedział po spotkaniu z Antonym Blinkenem, że „niestety nie widzimy żadnych oznak gotowości ze strony Rosji do rozpoczęcia rozmów pokojowych, odwrotnie – szykuje się ona do kolejnej ofensywy”. Luke Coffey, ekspert waszyngtońskiego think tanku Hudson Institute, napisał, że jedno jest pewne – 2023 r. nie będzie rokiem pokoju, a Gustav Gressel z European Council of Foreign Relations jest przekonany, że wojna nie skończy się w 2023 r., a nawet mówienie o zamrożeniu konfliktu, spadku intensywności walk jest określeniem wprowadzającym w błąd, bo nie będzie żadnego zamrożenia. Przeciwnie, do końca roku możemy mieć do czynienia jeszcze z kilkoma scenariuszami rozwoju wydarzeń.

ZDOBYCIE ŁYMANA, ODBICIE IZIUMU

Z komunikatów ukraińskiego Sztabu Generalnego, analiz ekspertów i wypowiedzi byłych i obecnych wojskowych wyłaniają się zarysy rosyjskiego planu. Tego, jak gen. Walerij Gierasimow, który w styczniu został dowódcą „specjalnej operacji”, zamierza wygrać wojnę z Ukrainą.

Niemal wszyscy eksperci zgadzają się, że najbardziej prawdopodobnym miejscem, skąd wyjdzie rosyjskie uderzenie, jest linia Kreminna – Swatowo na Ługańszczyźnie, a celem całej operacji może być zdobycie Łymana i następnie odbicie Iziumu. Dziennik „Ukraińska Prawda” napisał, powołując się na dane wywiadu, że na tym kierunku Rosjanie zgromadzili znaczne siły, również duże ilości sprzętu i najlepsze jednostki, w tym powietrzno-desantowe. Rosjanie, w opinii Kyryła Budanowa, szefa ukraińskiego wywiadu wojskowego, mają obecnie do dyspozycji na froncie 360 tys. żołnierzy i oficerów, a dodatkowo szkolą jeszcze kolejne 120 tys. Zgromadzili też znaczące ilości sprzętu. Z analiz, na które powołują się specjaliści portalu Foreign

Policy, wynika, że mogą oni rzucić do natarcia 1,8 tys. czołgów, niemal 4 tys. transporterów opancerzonych, 2,7 tys. systemów artyleryjskich, 810 wyrzutni rakietowych, 400 myśliwców i 300 śmigłowców bojowych.

Nawet jeśli zgodzić się z opinią Pentagonu, że są to siły słabo wyszkolone i źle wyposażone, to mimo to mamy do czynienia z potencjałem, którego nie można lekceważyć. Dara Massicot, analityczka wojskowa think tanku RAND, w przeszłości kierująca w Departamencie Obrony USA komórką zajmującą się analizą rosyjskiego potencjału militarnego, napisała w konkluzji swojego artykułu opublikowanego w „Foreign Affairs”, że tak jak Zachód przeceniał możliwości Rosji przed inwazją, tak teraz może ich nie doceniać przede wszystkim dlatego, że uczą się oni na błędach, wyciągają wnioski i zmieniają swoją taktykę.

Zachodnie media piszą o tym, że Moskale atakują falami, uparczywie, zupełnie nie licząc się ze stratami, walczą tak jak w czasie II wojny światowej. Jednak nie do końca jest to prawdą, bo choć straty po rosyjskiej stronie są ogromne – „The New York Times”, powołując się na szacunki wojskowych, pisał ostatnio o wyeliminowaniu z walk 200 tys. żołnierzy i oficerów – to jednak Rosjanie zmienili też swoje metody. Oleg Fajduk, dowodzący ukraińską 45. Brygadą Artylerii, mówi, że walczą oni już zupełnie inaczej niż na początku wojny. Atakują mniejszymi grupami, w których skład zawsze wchodzi operator drona, oszczędzając ciężki sprzęt, ich ostrzał artyleryjski jest już znacznie bardziej precyzyjny, nie przypomina sowieckiej metody, według której trzeba było każdy „kwadrat” terenu ostrzelać odpowiednią liczbą pocisków.

GRA O DONBAS

Gdyby Rosjanom udało się zrealizować plany zdobycia Iziumu – a do tego jeszcze daleko – to postawiliby ukraińskie dowództwo w trudnym położeniu. Przede wszystkim z tego względu, że mogliby oni kontynuować natarcie w stronę Charkowa lub obrócić swoje siły, uderzając od północnego-wschodu na główne siły ukraińskie broniące ob-

wodu donieckiego. Z pewnością nie ustaną też rosyjskie ataki na Bachmut, który w opinii gen. Syrskiego, dowódcy ukraińskich sił lądowych, jest twierdzą nie do zdobycia. Prezydent Zelenski zapowiedział już publicznie, że Bachmut nie zostanie ewakuowany, mimo iż takie rady mieli formułować amerykańscy wojskowi. Syrski, w przeszłości dowodzący obroną Kijowa, powiedział w trakcie niedawnej wizyty w pierwszej linii frontu, zwracając się do żołnierzy, że „przypadł wam trudny los obrony Bachmutu, który jest teraz na szpicy wszystkich wysiłków wroga. Musimy pokazać, że mimo ich liczebności, mimo ich uzbrojenia walczą tam nie jakością, ale jedynie ilością”. Strona ukraińska chce bronić się na tych pozycjach nie dlatego, że miejscowość ma kluczowe znaczenie strategiczne, bo takiego nie ma, ale przede wszystkim z tego względu, że gdyby Rosjanie posunęli się dalej na północ, to w ich zasięgu znalazłyby się znacznie istotniejsze miasta – Słowiańsk i Kramatorsk, co otwierałoby drogę Moskalom do uzyskania rubieży administracyjnej granicy obwodów donieckiego i ługańskiego.

Wydaje się, że to jest pierwszy i zasadniczy etap rosyjskiego planu wojny w tym roku. Zresztą informacje na temat ostatnich sondażowych rozmów między Waszyngtonem, Moskwą i Kijowem w sprawie ewentualnego kształtu porozumienia pokojowego, o którym pisze Julia Łatynina, rosyjska dziennikarka opozycyjna mieszkająca w Kijowie i mająca niezłe kontakty w administracji Zelenskiego, wskazują, że Putin chciał doprowadzić do szczególnego rodzaju wymiany: oddać Ukrainie tereny na Zaporozżu i Chersońszczyźnie, które Rosjanie jeszcze kontrolują, w zamian za ewakuację sił ukraińskich z całego, w granicach administracyjnych, Donbasu. Na takie propozycje Kijów w żadnym razie nie mógł się zgodzić, bo ustępowałby z umocnionych, dobrze ufortyfikowanych linii obrony, uzyskując obszary, które są trudne do obrony. Ale to dałoby Moskwie możliwość rozpoczęcia drugiej fazy wojny w nieodległej przyszłości. Na taką ewentualność zwracał niedawno w rozmowie z portalem Fakty Ukraina Phil Karber, amerykański ekspert

wojskowy, szef Potomac Foundation. Jego zdaniem, gdyby Rosjanie wyszli na granice administracyjne Donbasu, to przed sobą, aż do Połtawy, mieliby płaskie i trudne do obrony tereny stepowe, a to by oznaczało, że gdyby rozwinęli uderzenie pancerne w tym kierunku, zrobiliby ważny krok do uzyskania kontroli nad całą prawobrzeżną Ukrainą. Do tego oczywiście bardzo daleko, ale jak się wydaje, rosyjscy strategowie i politycy, ciągle mówiący o tym, że cele wojny Moskwy nie uległy zmianie, myślą i o tym.

BIAŁORUŚ JEST JOKEREM?

Zdobycie Donbasu nie będzie możliwe bez otworzenia przez Rosjan nowego kierunku operacyjnego, jakim jest Zaporozże. Analitycy ukraińskiego wywiadu w materiale pt. „Pod znakiem sowy”, oceniającym sytuację na froncie, formułują tezę, że rosyjskie uderzenie na Zaporozżu może zacząć się w tym samym czasie co atak na północy i w obwodzie donieckim. Już wiadomo, że Rosjanie skoncentrowali znaczne siły w okolicach Melitopola, miasta, które ma kluczowe znaczenie strategiczne. Gierasimow może nie tylko obawiać się ukraińskiego kontruderzenia na tym kierunku, o czym mówi się od pewnego czasu, lecz także myśleć o ataku. Chodzi bowiem o zmuszenie ukraińskiej armii do rozciągnięcia linii frontu, co może w konsekwencji osłabić siły broniących się.

Gdyby Rosjanom udało się zrealizować pierwszą fazę planu wojny na ten rok, czyli zdobyć tereny leżące w administracyjnych granicach Donbasu, a strona ukraińska w obliczu porażki nie usiadłaby do rokowań pokojowych, to z pewnością Gierasimow uruchomiłby kolejną fazę wojny – zarówno na Zaporozżu, jak i w kierunku na Połtawę, czemu musiałby towarzyszyć powtórny atak na Charków.

Jest wreszcie możliwy trzeci etap wojny w tym roku, gdyby Rosjanom udało się realizować plany. Can Kasapoğlu, ekspert wojskowy Hudson Institute, w swojej ostatniej analizie sytuacji napisał, że „Białoruś jest jokerem”, którego użycie może wpłynąć na

to, kto wygra wojnę. Chodzi oczywiście o ewentualny atak Rosjan z północy, zarówno na Kijów, jak i na zachodnią część Ukrainy, po to by przerwać kanały zaopatrzeniowe. Dziś tego rodzaju scenariusz jest bardzo mało prawdopodobny, Rosjanie mają na Białorusi zbyt szczupłe siły i raczej traktują ten kraj w kategoriach bazy do uderzeń lotniczych i rakietowych, a także centrum szkolenia i odpoczynku dla ich wojsk,

Moskale nie tylko mają zamiar kontynuować walkę, lecz także zgromadzili większe zasoby i zmienili taktykę, co oznacza, że uczą się na własnych błędach

ale jak argumentują analitycy Institute for a Study of War, jesienią, kiedy rozpoczną się zapowiadane manewry Zapad 2023, sytuacja może się zmienić i zgrupowanie uderzeniowe może zostać do tego czasu zbudowane. Ale to na razie odległa przyszłość i mówienie o trzeciej fazie wojny, którą Rosjanie mają zamiar prowadzić w tym roku, jest jeszcze przedwczesne, choć o takiej ewentualności należy pamiętać.

ZMIANA TAKTYKI WALKI

Czy Kreml ma szansę na realizację takiego planu? Wydaje się to bardzo wątpliwe, choć ukraiński wywiad przestrzega, że przygotowania trwają. Moskwa rozpoczęła kolejną, tym razem skrytą, falę mobilizacji, bo nowe „mięso armatnie” będzie rosyjskim dowódcom potrzebne wczesnym latem, kiedy obecne zasoby „siły żywej” ulegną wyczerpaniu. Gustav Gressel napisał, że siły ukraińskie będą podlegały w pierwszym półroczu twardej presji Rosjan i jest rzeczą wątpliwą, czy zbudują potencjał umożliwiający kontruderzenie. Oznacza to, że Moskwa *de facto* już odzyskała inicjatywę operacyjną na froncie, narzucając swoją

formułę prowadzenia wojny. Ta walka na wyniszczenie potencjałów jest dla Ukrainy bardzo groźna, tym bardziej jeśli dostawy z państw sojuszniczych nie będą miały charakteru stabilnej, systematycznej i znacznie większej pomocy. Jak napisał Gressel, „części zamienne i amunicja do wielu systemów z epoki sowieckiej stają się rzadkością, a ich dostępność zależy od gotowości krajów niezachodnich do sprzedaży posiadanych zapasów. W miarę przeciągania się wojny źródła te wysychają i szczególnie trudno jest przewidzieć ich dostępność”. Oznacza to, że nawet jeśli Rosjanie nie osiągną spektakularnych zdobyczy terytorialnych, to prowadząc krwawą wojnę na wyniszczenie, mogą zmusić Kijów do tego, by ukraińscy reprezentanci usiedli do stołu rokowań. Ten scenariusz jest tym bardziej prawdopodobny, jeśli perspektywa znacząco większych, systematycznych dostaw z Zachodu będzie się oddalała. Czy to oznacza,

że Rosjanie zaczynają wygrywać?

To byłby zbyt daleko idący wniosek. Jednak trzeba dostrzec, że Moskale nie tylko mają zamiar kontynuować walkę, lecz także zgromadzili większe zasoby i zmienili taktykę, co oznacza, że uczą się na własnych błędach. Franz-Stefan Gady, ekspert z think tanku Institute for International Strategic Studies, przypomniał w związku z obecną sytuacją na Ukrainie doświadczenia wojny rosyjsko-fińskiej, którą w Polsce uważa się za wygraną przez Finów, mimo że w istocie oni ją przegrali. Również wówczas, w pierwszej fazie konfliktu, Stalin ponosił ciężkie porażki, tracąc w bitwie pod Tolvajäri, a potem w walkach o drogi Suomussalmi i Raate i w innych starciach nawet 20 tys. żołnierzy. Ale Rosjanie w 1940 r. zmienili sposób walki i ostatecznie zmusili Finów do zawarcia pokoju na swoich warunkach. Putin obecnie dąży w gruncie rzeczy do osiągnięcia, jak napisał jeden z amerykańskich ekspertów, krwawego zwycięstwa, a Zachodowi może nie starczyć determinacji i zdecydowania, by zwiększyć skalę pomocy wojskowej dla Kijowa. A od tego zależy to, czy Rosjanie zrealizują swoje tegoroczne plany wojenne.

Kopalnia KGHM na zielono

– Sierra Gorda zasilana energią elektryczną z OZE

Fot. Materiały prasowe

Górnictwo przyszłości w oparciu o słońce, wodę i wiatr – należąca do KGHM chilijska kopalnia Sierra Gorda działa wyłącznie na bazie energii elektrycznej pochodzącej z odnawialnych źródeł energii. Do kopalni jest dostarczana energia pochodząca z powstającej elektrowni fotowoltaicznej, zlokalizowanej w rejonie Antofagasta

Nie słowa, tylko czyny sprawiają, że KGHM jest światowym liderem w branży wydobywczej. Transformacja energetyczna to dla nas już nie tylko wielka szansa, ale i realne działania – powiedział Tomasz Zdzikot, prezes zarządu KGHM Polska Miedź SA. Od początku stycznia do kopalni Sierra Gorda jest dostarczana energia elektryczna pochodząca z portfolio firmy AES Andes składającego się z energii wiatrowej, słonecznej, wodnej i systemów gromadzenia energii.

Zrównoważony rozwój i dbałość o środowisko w Sierra Gorda stało się faktem. W ciągu dnia kopalnia jest zasilana energią elektryczną z OZE. Z kolei nocą – z największego w Ameryce Łacińskiej magazynu energii, który jest częścią zasobów AES Andes.

– Wykorzystanie zielonej energii w działalności Sierra Gorda do zakończenia trwającego dwa lata procesu, w którym kopalnia przechodziła od zużycia węgla do czystej energii. Od początku istnienia kopalnia wdrożyła wiele innowacji, jak choćby wykorzystywanie 100 proc. wody morskiej w procesach wydobywczych. Ambitne cele przełożyliśmy na rzeczywistość – mówił podczas uroczystości w Sierra Gorda Mirosław Kidoń, wiceprezes ds. aktywów zagranicznych KGHM Polska Miedź SA.

Zielone zasilanie to jeden z celów strategicznych Sierra Gorda. Ta zmiana oznacza zatrzymanie emisji 1 mln ton CO₂. Kopalnia Sierra Gorda podpisała długoterminową umowę na zakup energii elektrycznej z firmą zewnętrzną. Zużycie energii w 2023 r. jest szacowane na blisko 1310 GWh.

Kopalnia Sierra Gorda jest jednym z głównych aktywów zagranicznych w portfelu KGHM. W procesie wydobywczym kopalnia stosuje wiele innowacyjnych rozwiązań, np. wysokociśnieniowe kruszarki walcowe, które działaniem rozdrabniającym minimalizują wydatki na energię. Do tego jako pierwsza firma górnicza w Ameryce Łacińskiej używa autonomicznego

roboty, który zlicza stan sprzętów w magazynie. Dane są dostępne natychmiast w zintegrowanym systemie.

Podobnie jak w Polsce kopalnia Sierra Gorda wspiera pracowników i mieszkańców regionu. Strażacy ze społeczności Antofagasta, Sierra Gorda i Calama mogą liczyć na sprzęt, darowizny i szkolenia. W firmie funkcjonuje program szkoleniowy Sierra Gorda SCM Community Trainee, w ramach którego mieszkańcy miejscowości Sierra Gorda bez doświadczenia zdobywają przygotowanie do pracy w górnictwie i w wielu przypadkach zatrudnienie w lokalnej kopalni.

Dla odzwierciedlenia zmian zachodzących na rynku globalnym KGHM zaktualizował dotychczasowe, cztery strategiczne kierunki rozwoju (elastyczność, efektywność, ekologia i e-przemysł) o dodatkowy piąty element – energię. Miedziowa spółka konsekwentnie dywersyfikuje źródła energii elektrycznej, stawiając na energię ze słońca, wiatru, wodoru.

W KGHM od 2021 r. obowiązuje polityka klimatyczna, która określa cele spółki w sprawie emisji gazów cieplarnianych w 2030 i 2050 r. oraz kwestię i stopień zmian niezbędnych do ich realizacji. Osiągnięcie neutralności klimatycznej do 2050 r. jest celem nadrzędnym dokumentu KGHM. Celem pośrednim jest redukcja łącznych emisji do 2030 r. o 30 proc. względem roku bazowego 2020.

Do 2030 r. celem KGHM jest oparcie się w 50 proc. na własnej energii elektrycznej. Projektujemy i budujemy instalacje PV w lokalizacjach dogodnych pod kątem bezpośredniego przylądzenia się do oddziałów konsumujących energię. W Polsce prowadzimy obecnie 10 projektów fotowoltaicznych.

W ub.r. miedziowy gigant złożył pierwszy w Polsce wniosek o ocenę technologii małego modułowego reaktora (SMR) do Państwowej Agencji Atomistyki. Plany inwestycyjne miedziowego giganta obejmują również morską energetykę wiatrową.

Tekst powstał we współpracy z partnerem medialnym | 10/02/2023

Wojsko, oszuści i tajne gry, czyli piłkarskie transfery w PRL

Miliony kibiców śledziły niedawno transferowe perypetie Roberta Lewandowskiego. Nie mniej pasjonujące, ale znacznie słabiej znane były kulisy zmian barw klubowych w okresie PRL. Towarzyszyła im duża kasa, polityka, tajne służby, fałszerstwa, oskarżenia o korupcję i tajemnicze zgony



GRZEGORZ MAJCHRZAK

Najgłośniejszym transferem w polskim „amatorskim” futbolu było przejście Dariusza Dziekanowskiego z Gwardii Warszawa do Widzewa Łódź w 1983 r. Media rozpisywały się o oszałamiającej sumie (21 mln zł, na którą przeciętnie zarabiająca osoba musiałaby pracować ponad 120 lat) za tego utalentowanego 21-letniego piłkarza. Ta sprawa miała jednak drugie dno – jego przejście do łódzkiego klubu odbyło się z pogwałceniem obowiązujących w PRL przepisów dotyczących służby wojskowej. Dziekanowski, formalnie od października 1982 r., odrabiał zasadniczą służbę wojskową przy ul. Raclawickiej i nie powinien zostać z niej zwolniony. Było to bowiem możliwe po minimum roku służby (w jego przypadku w Nadwiślańskich Jednostkach Wojskowych MSW), a ponadto jedynie w przypadku podjęcia pracy jako pracownik cywilny w jednostce wojskowej, przedsiębiorstwie podległym MON lub MSW. W tym przypadku żaden z tych warunków nie został spełniony, choć piłkarz miał rzekomo zgłosić swojemu dowódcy

z NJW chęć podjęcia pracy w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Łodzi jako instruktor wychowania fizycznego. Mimo sprzeciwu (m.in. wiceministra spraw wewnętrznych Lucjana Czubińskiego, który nazwał transfer handlem żywym towarem) przenosiny doszły do skutku.

NIE CHCECIE GRAĆ W LEGII, TO PÓJDZIECIE W KAMASZE

Tak na marginesie w całej sprawie pojawia się również Legia Warszawa – do końca się ważyło, czy Dariusz Dziekanowski nie trafi na kilka miesięcy na Łazienkowską, by uregulować swój stosunek do służby wojskowej, zamiast do Łodzi. Tu

Dariusz Dziekanowski, piłkarz Legii Warszawa, 1986

dochodzimy do kwestii ściągania utalentowanych piłkarzy do klubów wojskowych (głównie, choć nie tylko, Legii) pod pozorem służby wojskowej. Kiedy w 1988 r. Dziekanowski miał odejść z Łazienkowskiej (po trzech latach gry) do Celticu Glasgow, działacze wojskowego klubu oświadczyli Markowi Leśniakowi z Pogoni Szczecin, że trafi on do Warszawy, by wypełnić zaszczytny obowiązek wobec ojczyzny. Tak się nie stało, gdyż piłkarz, którym był zainteresowany Bayer 04 Leverkusen, zdecydował się uciec z kraju przy okazji wyjazdowego meczu reprezentacji olimpijskiej w Danii.

Miał on zresztą zdecydowanie więcej szczęścia (ostatecznie po zwolnieniu go ze służby wojskowej wyjechał legalnie na Zachód) niż inni zawodnicy. I tak



bramkarz Łódzkiego Klubu Sportowego Ryszard Robakiewicz, który również nie chciał pod tym pozorem trafić do klubu wojskowego, został (w 1985 r.) skazany na karę roku więzienia w zawieszeniu na dwa lata za uchylanie się od obowiązku służby wojskowej. Ofiarami porachunków Legii z Widzewem Łódź stali się (w 1985 r.) Jerzy Wijas, któremu w ten sposób zniszczono dobrze zapowiadającą się karierę, oraz w mniejszym stopniu Mirosław Myśliński. Wijas, który nie chciał grać przy Łazienkowskiej, trafił najpierw do jednostki wojskowej, a potem grał w Czarnem, gdzie reprezentował barwy miejscowego LZS. Z kolei Myśliński, unikający pod różnymi pretekstami wojska, trafił w kamasze na podstawie rozkazu samego szefa MON Floriana Siwickiego.

UCIEC PRZED WSW

Warto w tym miejscu przypomnieć przypadek Kazimierza Deyny. Klub z Łazienkowskiej zainteresował się nim w 1966 r., kiedy grał w barwach ŁKS. Niespełna 19-letni piłkarz nie miał jednak zamiaru trafić do Warszawy. I przez pewien czas ukrywał się przed patrolami Milicji Obywatelskiej, a zwłaszcza Wojskowej Służby Wewnętrznej, które poszukiwały go w celu odbycia przez niego zasadniczej służby wojskowej. Ostatecznie jednak został zatrzymany i doprowadzony do jednostki wojskowej.

Skuteczniej od niego ukrywał się Andrzej Szarmach. W 1972 r. z tym blisko 22-letnim piłkarzem Arki Gdynia rozmowy podjął Górnik Zabrze. Kiedy dowiedziały się o tym władze klubu z Pomorza, sprawiły, że zainteresowało się nim Ludowe Wojsko Polskie – formalnie miał trafić na trzy lata do Marynarki Wojennej w Ustce, a faktycznie do Legii. Szarmach wyjechał na obóz przygotowawczy, a kiedy miał z niego wrócić, do jego mieszkania zastukali żołnierze WSW, by go zabrać do stolicy. Na jego szczęście przybyli nieco zbyt wcześnie. Kiedy go nie zastali w domu, postanowili poczekać. I zapewne by się doczekali, gdyby brat nie przechwycił go w tramwaju. Dzięki temu trafił do Żabrze.

RFN MÓWIMY „NIE”!

Marzeniem piłkarzy w tamtych czasach był transfer do zachodniego klubu. Długo było to możliwe, ale *de facto* dopiero na sportowej emeryturze... Poza tym niektóre kierunki, np. Republika Federalna Niemiec, były dla polskich piłkarzy ze względów politycznych zamknięte. W tym kontekście warto przypomnieć transferową epopeję zawodnika Legii Warszawa Roberta Gadochy. W 1972 r. zainteresował się nim włoski AC Milan, gotowy wyłożyć co najmniej 300 tys. dol. Tyle że Gadocha był zbyt młody – miał 26 lat, a wyjazd był możliwy dopiero po ukończeniu 30 lat. Sytuacja zmieniła się dwa lata później po mundialu w RFN, kiedy to Polska wywalczyła trzecie miejsce. Zgodę na jego zagraniczny wyjazd wyraził sam I sekretarz KC PZPR Edward Gierek. Do gry włączył się zachodniemiecki MSV Duisburg, który zaoferował 500 tys. marek. Choć Niemcy powoływali się na wstępną zgodę polskich działaczy piłki nożnej, to według WSW „ze względu na dobro sportu [polskiego], reprezentacji narodowej oraz przepisy PZPN do kontraktu nie doszło”. Podobnie było w przypadku Bayernu Monachium, który miał zaoferować astronomiczną sumę. Nie pomógł fakt, że w sprawę transferu do tego klubu było zaangażowanych wiele osób (a któraś z nich miała już nawet pobrać prowizję), ani to, iż po zakończeniu mistrzostw Robert Gadocha odmawiał dalszej gry w Legii. Skuteczny okazał się dopiero francuski FC Nantes.

WOJSKO WALCZYŁO DO KOŃCA

Klub ten zgłosił się z propozycją transferu w październiku 1974 r. Dwa miesiące później Gadocha miał nawet podpisać z nim kontrakt. Jednak jego droga do Francji była jeszcze daleka. Do boju ruszyło bowiem LWP. Wojskowi uzależnili jego wyjazd od zgody stołecznego klubu, który nie chciał jej udzielić. Tymczasem piłkarz uzyskał zgodę na zmianę barw klubowych z Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki, a PZPN pertraktował z FC Nantes jego transfer bez informowania o tym władz Legii. Nie uszło to jednak uwadze czujnej WSW. Wojskowym udało się przynajmniej czasowo powstrzymać transfer Roberta Gadochy. Zablokowano

mu też na kilka miesięcy wydanie paszportu. Z kolei Polska Federacja Sportu, kolejna instytucja, od której zależał jego wyjazd, zażądała od niego uzyskania średniego wykształcenia. Zawodnikowi, który wcześniej nie garnął się do nauki, udało się je zdobyć w trybie przyspieszonym, w podejrzanych (zdaniem WSW) okolicznościach...

Tymczasem zamieszanie wokół jego transferu zaczęło grozić skandalem – o problemach z jego przejściem do FC Nantes, mimo podpisanego kontraktu, pisała francuska prasa, informowało o nich też Radio Wolna Europa. Bezczylny nie pozostał też główny zainteresowany, który wykorzystując znajomości żony (byłej sekretarki Mieczysława Moczara – wiceministra, a potem ministra spraw wewnętrznych), miał spowodować ponowne rozpatrzenie jego podania o zezwolenie na wyjazd. Również działacze PZPN naciskali na Legię, twierdząc, że piłkarz nie może grać w tym klubie, „gdyż federacja wyraziła zgodę na wyjazd i nie może istnieć taka sytuacja, że klub robi co innego, a federacja narodowa co innego”. Stołeczny klub naciskał, kusił też sami Francuzi, m.in. proponując rozegranie meczu między oboma zespołami na warunkach finansowych zaproponowanych przez warszawiaków.

Ostatecznie władze polskiego sportu „wynegocjowali” za Roberta Gadochę zaledwie 50 tys. dol., z czego 40 tys. trafiło na konto dewizowe PZPN, a jedynie 10 tys. (i to ich równowartość w złotych, po kursie oficjalnym) stołeczny klub otrzymał na „zakup sprzętu sportowego wysokiej jakości, względnie potrzebnych urządzeń sportowych”.

W ocenie oficerów WSW skarb państwa miał na tej transakcji stracić 200 tys. dol. Nikt – mimo że pojawiły się poszlaki, iż ktoś z decydentów w polskich władzach sportowych w związku z transferem piłkarza wziął łapówkę – za to nie odpowiedział.

KTO SPRZEDAŁ ZENONA KASZTELANA?

Transferowa epopeja Gadochy to jednak nic w porównaniu z kulisami przejścia Zenona Kasztelana z Pogoni Szczecin do Admiry Wacker Wiedeń w lipcu 1978 r. Pozwolenie na jego grę

w tym klubie, które miał rzekomo wystawić PZPN, zostało sfałszowane. Co ciekawe, Austriaków poinformowano o tym (w sierpniu) telexem, którego nadawca podszył się pod związek... Władze Admiry zażądały od Pogoni zwrotu pieniędzy (250 tys. szylingów). Problem w tym, że polski klub ich nie dostał. Nie bez winy byli Austriacy, którzy mieli nie sprawdzić nawet tożsamości rzekomych wysłanników sportowców, ale ograniczyli się do potwierdzenia zgodności nazwisk w okazanych im paszportach z tymi w dokumentach.

Kiedy w listopadzie 1978 r. o całej sprawie napisali dziennikarze „Kleine Zeitung”, wybuchła afera. Kwestię tę badała – w ramach sprawy o mało wyszukany kryptonimie „Admira” – Służba Bezpieczeństwa. Jej funkcjonariusze ustalili tylko, że nie były to jedyne sfałszowane dokumenty w tej skomplikowanej sprawie. O dziwo, dużo więcej udało się ustalić dziennikarzowi „Piłki Nożnej” Zygmuntovi Lenkiewiczowi. Otóż – jak wynikało z zeznań Kasztelana – inicjatorem jego wyjazdu był sekretarz generalny PZPN Zygmunt Buhl, który zaproponował mu to podczas wizyty w Szczecinie na początku 1978 r. i obiecał wsparcie. Żurnaliście udało się nawet ustalić, kto wziął pieniądze za transfer piłkarza i co się z nimi dalej stało. Tą osobą był pracujący wówczas na Zachodzie trener Antoni Brzeżańczyk, który działał na polecenie Buhla. W oczekiwaniu na wytyczne tego ostatniego miał on zdeponować pieniądze w Banku Krajowym w Döbling. Te jednak nie napłynęły. Kiedy zaś (w maju 1979 r.) współpracujący z Brzeżańczykiem przy transferze Kasztelana menedżer Rudolfa Matuschka skontaktował się z PZPN w sprawie upoważnienia do odebrania jej z banku, został poinformowany, że związek „nie może przyjmować od was lub pana Brzeżańczyka żadnych pieniędzy za zawodnika Zenona Kasztelana, gdyż ww. nie uzyskał zgody związku na grę w zagranicznym klubie”.

PODEJRZANE TRANSFERY I ZGONY

Co się dalej stało z 250 tys. szylingów – nie wiadomo. Inicjator transferu, czyli Zygmunt Buhl, pod koniec września 1978 r. miał wpaść pod samochód, ale do



Robert Gadocha

dziś krąży plotki, że został celowo potrącony. Podgrzewa je fakt, że miesiąc po sekretarzu generalnym PZPN – również w wypadku samochodowym – zginął szef piłkarskiego związku Edward Sznajder. Mimo że w obu przypadkach oficjalnie uznano, że były to nieszczęśliwe wypadki, to pojawiają się sugestie, że ich śmierć mogła mieć związek z zakulisowymi rozliczeniami po mundialu w Argentynie.

Wątek brutalnych, wręcz zabójczych rozgrywek finansowych wydaje się mało prawdopodobny, ale nie można go wykluczyć. Tym bardziej że nazwisko Buhla – tak na marginesie od 1966 r. do śmierci formalnie również funkcjonariusza MO – pojawia się przy okazji innych afer transferowych, np. Stanisława Stója z Hutnika Kraków do Royal Football Club de Liège w 1977 r. Klub ten podpisał z piłkarzem kontrakt i zapłacił Lucjanowi Grzywnie jako przedstawicielowi Polskiego Komitetu Olimpijskiego we Francji 1 mln franków belgijskich. Problem w tym, że PKOl żadnych pieniędzy nie otrzymał.

W rzeczywistości menedżer ten działał na podstawie dokumentów sprzed kilku lat upoważniających go jedynie do gromadzenia pieniędzy na Polski Fundusz Olimpijski. Kiedy wybuchł skandal, Grzywna zadzwonił z pretensjami do kraju. Został poinformowany, że dopiero kiedy przekaże do PKOl pieniądze zapłacone przez belgijski klub, instytucja ta może ewentualnie wystąpić do PZPN o wyrażenie zgody na transfer piłkarza. W trakcie rozmowy telefonicznej zagroził, że „gdyby doszło do procesu sądowego, to poleci jedną główkę w Polsce”. Później – w piśmie do Konsulatu Generalnego PRL w Lille, który włączył się w tę sprawę – stwierdził, że przekazał żonie Jerzego Bętkowskiego (byłego koszykarza Wisły Kraków i znajomego sekretarza generalnego PZPN) pieniądze w celu przekupienia działacza związku piłkarskiego, w tym samego Zygmunta Buhla, by ci wyrazili zgodę na transfer. Buhl oczywiście zaprzeczał. //

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN



Fot. Od autora

Współcześni ułani

Który z tych koni pańskim zdaniem chodzi najlepiej? – pyta mnie rtm. Wyczarawski.

Wskazuję wyróżniające się moim zdaniem zwierzę. Zad podstarwiony, szyja zganaszowana (wygięta w kabłąk, ale bez przesady), ładny chód. – To Nimro po skoczku Rotmistrzu. Mój koń – z wyczuwalną dumą w głosie odpowiada dowódca Szwadronu Kawalerii Wojska Polskiego

Swięto Wojska Polskiego. Końcówka przygotowań do defilady. Stosunkowo stromy i śliski podjazd asfaltem ul. Belwederskiej w stronę Al. Ujazdowskich nie powinien być wyzwaniem dla koni i jeźdźców ze Szwadronu Kawalerii Wojska Polskiego (SKWP). Jednak po obu stronach jezdni stoją czołgi Leopard 2, które ryczą swoimi potężnymi silnikami. Zwierzaki ułanów zaczynają zachowywać się niepewnie. Choć jeszcze jadą równo

**ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI**

stępu, niektórzy jeźdźcy wyczuwają pod siodełkiem pierwsze oznaki nerwowości. Pododdział kawalerii wjeżdża coraz głębiej między szpaler stalowych lampartów.

Jeszcze chwila i szyk trójkowy rozsypie się niczym domek z kart. Ułani poprawiają dosiad. Tu nic więcej nie da się zrobić. Koń nie ma prawa wyczuć nerwowości jeźdźcy. Ponad połowa pododdziału defiluje już między czołgami. Najgorzej ma dowódca. On jedzie samotnie na czele, a jego koń nie znajdzie oparcia w zwierzętach towarzyszących mu z lewej i prawej. Szwadron już prawie cały wjechał między huczące silniki. – Szły jak pantery. I nagle stało się.

Na niskim pułapie nadleciały wojskowe odrzutowce – wspomina starszy ulan Damian Lisowski. Huk z góry, łomot z boków, a szyk trzeba utrzymać. Panika kilku koni mogłaby pogрузić szwadron tuż przed trybuną honorową. Kompromitacja dla formacji, kompromitacja dla dowódcy, kompromitacja dla ulanów. Nawet nie ma dłoni, żeby poklepać czworonoga po szyi i uspokoić go, bo w lewej wodze, a w prawej szabla. Pierwsze trójki z dowódcą już wjeżdżają w Al. Ujazdowskie. Na niebie cichnie. Samoloty przeleciały. Czółgi ryczą dalej. Rotmistrz z obawą spogląda w tył. Spodziewa się najgorszego. Tabunu szalejących między stalowymi bestiami zwierząt. Gardło ścisnięte... szyk na szczęście cały. – Konie zgłupiały, ale jakoś się ogarnęliśmy – uśmiecha się Damian Lisowski od 13 lat w SKWP.

Ośrodek treningowy – Stara Miłosna, ul. Szkolna. To tam w dawnych stajniach Legii sekcji wszechstronnego konkursu konia wierzchowego stacjonuje i ćwiczy oficjalny kontynuator 1000-letniej tradycji jazdy polskiej – Szwadron Kawalerii Wojska Polskiego. Najbliżej mu do przedwojennego Szwadronu Przybocznego Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza (1919–1922), następnie Szwadronu Przybocznego Prezydenta Rzeczypospolitej (1922–1939). Po przewrocie majowym szwadron przyboczny został wcielony do 1. pułku szwoleżerów jako 2. szwadron, który do lata 1939 r. pełnił funkcje reprezentacyjne. We wrześniu 1939 r. podjął on normalne działania bojowe. Współczesny pododdział reprezentacyjny został również zakwalifikowany jako oddział rozpoznawczy, jednak pełni jedynie funkcje reprezentacyjne. Od 2009 r. w jego skład wchodzi wyłącznie żołnierze zawodowi.

UMUNDUROWANIE

Reprezentacyjne wyposażenie i umundurowanie szwadronu jest również zgodne z tradycją. Opiera się na regulaminach oraz instrukcjach kawalerskich z końca lat 30. XX w. Szwadron występuje w umundurowaniu wzór (wz.) 1936 i szable wz. 1934, tzw. ludwikówki. Barwami szwadronu są kolory tzw. ogólnokawalerskie: otoki na czapkach ulanów, podoficerów i oficerów mają barwę amarantową, a proporczyki

na lancach i patkach kołnierzykowych są amarantowo-granatowe. Szeregowi ulani są umundurowani w przedwojenne kurtki, bryczesy, rogatywki z okutymi daszkami, buty z ostrogami, a także szelki kawalerskie wraz z ładownicami oraz repliki karabinków wz. 29 i wz. 98, szable wz. 34/2002 Wifama. Oficerom i chorążym przynależne są szable wz. 76/08 lub prywatne wz. 21/22. Zarówno oficerom, podoficerom, jak i starszym ulanom przysługują do munduru wieczorowego spodnie, tzw. szasery, dla starszych ulanów i podoficerów z jednym lampasem, dla oficerów z dwoma lampasami barwy amarantowej. Podstawowym rżędem kawalerskim szwadronu jest siodło wzór 36/2012 (projektu rtm. Roberta Woronowicza), które jest wzorowane na polskim przedwojennym siodle oficerskim, oraz

Większość koni szwadronu jest maści gniadej. Dalej idą skarogniade i tradycyjnie siwki. Zgodnie z tradycją polskiej jazdy na koniach maści siwej jeżdżą trębacze. Dla dowódcy preferuje się kare



ogłowie odzwierciedlające te z 1936 r. Re-prezentacyjnego charakteru pododdziału dodaje ozdobny czaprak wraz z mantelzakiem. Tu odniesiono się już do tradycji okresu Księstwa Warszawskiego.

LANCA

Z lancą – tradycyjną bronią polskich formacji jazdy – był pewien problem. W Europie broń ta pojawiła się masowo za panowania cesarza Napoleona I. Na początku perfekcyjnie władał nią jedynie pułk lansjerów Legii Nadwiślańskiej. Zanim w 1808 r. pułk trafił na front do Hiszpanii, od stycznia 1799 r. walczył we Włoszech jako pułk jazdy legionowej. Ich koronną bronią stanowiła właśnie lancia. Lecz prawdziwą sławę zyskali dopiero w Hiszpanii. Dowiedli tego w bitwie pod Albuera (1811 r.), kiedy wpadli w szarżę na prawą flankę angielskiej brygady gen. Johna Colborne'a. W mgnieniu oka wykłuto (głównie lancami) słynny 3. pułk piechoty The Buffs, a na pozostałe dwa pułki wystarczyło ulanom, zwanym z francuska lansjerami, kilkanaście minut. Z blisko 2 tys. Anglików do niewoli trafiło ponad 800, a reszta poległa na placu boju. Nieco wcześniej, bo w lipcu 1809 r., pod okiem samego cesarza w dalekiej Austrii rozgrywała się krwawa bitwa pod Wagram. Tam polscy żołnierze 1. Pułku Lekkokonnego Gwardii Cesarskiej szarżowali z szablami na regiment ulanów austriackich Schwarzenberga uzbrojony w lance. W wyniku starcia lance siłą zmieniły właściciela, a wraza formacja została pokonana. Napoleon, widząc to i mając informacje o wyniku starcia pod Albuera, nakazał kilku pułkom jazdy francuskiej przebrojenie w lance. W ślad za nimi poszły armie nieprzyjaciel-



skie. I tak brytyjski 17th Lancers (Duke of Cambridge's Own) niecałe pół wieku później zasłynął udziałem w szarży lekkiej brygady na Półwyspie Krymskim uzbrojony w lance. Do dziś ten jeżdżący teraz czołgami pułk nosi na paradach stroje zbliżone krojem do polskich mundurów ułańskich, trzymając w dłoniach lance. Jednak polskie lance z XVIII w. i początków XIX w. były lekkie (1,5–1,75 kg), poręczne i wykonane z drewna. Ich długość wynosiła 265 cm. Z kolei te, których używała polska jazda w okresie międzywojennym, zostały zrobione na wzór francuski z 1913 r. Niezbyt wygodne, trochę przy ciężkawce stalowe rurki długości 298 cm i wadze 2,25 kg (robione w Polsce kopie były jeszcze cięższe – ponad 2,5 kg) zakończone trójkątnym grotem.

W pierwszych 10 latach służby Szwadron Kawalerii Wojska Polskiego występował uzbrojony w lance (wz. 1913), jakie ówczesnie miała na wyposażeniu kawaleria liniowa II RP, czyli w tę broń była wyposażona pierwsza trójka każdej sekcji. W ciągu dekady wiele z nich uległo zużyciu. A towarzyszący prezydentowi RP szwadron w składzie: dowódca, poczet proporcowy, trębacz oraz cztery sekcje liniowe, potrzebował 24 lance plus dwie zapasowe, czyli razem 26 lanc. Mówi rtm. Robert Woronowicz, pierwszy szkoleniowiec SKWP i projektant nowej lancy wz. 2013 używanej obecnie przez SKWP: – Na nradzie panów pułkowników Dowództwa Garnizonu Warszawy (DGW) zdecydowano zapytać sojuszników Francuzów o lance wz. 1913. Problem rozwiązano po linii najmniejszego oporu, zwracając się z pytaniem do Gwardii Republikańskiej, będącej największą w Europie formacją konną mundurową. Ci oświadczyli, że z tą akurat bronią nie mają nic wspólnego. Gdy spotkany na korytarzu jeden z oficerów



DGW zapytał mnie z pretensją w głosie, czy już wybrano typ lancy, postanowiłem rozwiązać problem samodzielnie. Tak powstała współczesna polska lanca. Pierwsza rodzima produkcja tej broni od 1831 r.

Polska lanca jest zgrabna i poręczna. Całkowita długość z grotem i tylcem wynosi 290 cm, a ciężar bez elementów skórzanych – 2,1 kg. Żerdź – drewniana, jesionowa, olejowana na czarno, a następnie pokryta lakierem uretanowym, półmatowa. Idealny miks lancy napoleońskiej, francuskiej z 1913 r., a także niemieckiej z XIX w.

KONIE I SZABLA

Najpierw koń, potem ułan – mawiają starzy kawalerzyści. Jak minie się wartownię ośrodka w Starej Miłosnej po prawej stronie alejki, widać stajnie. Mieści się w nich ok. 50 koni. – Dobieramy je jak różę do bukietu – mówi dowódca Szwadronu Kawalerii Wojska Polskiego rtm. Tomasz Wyczawski. Raczej wysokiego wzrostu, szczupły nawet nieco kościsty. Typowy kawalerzysta. Na ogłoszonych przetargach skupują konie rasy głównie wielkopolskiej, małopolskiej i półkrewki zwane od niedawna polskim koniem sportowym w wieku od trzech do ośmiu lat. Większość koni SKWP jest maści gniadej. Dalej idą skarogniade i tradycyjnie siwki. Zgodnie z tradycją polskiej

jazdy na koniach maści siwej jeżdżą trębacze. Dla dowódcy preferuje się kare. Stoimy z rtm. Wyczawskim na krytej ujeżdżalni i obserwujemy trening. 20 koni ćwiczy musztrę. Najpierw idą w kolumnie „po jednemu”, by przejść do dwójek i w końcu trójkami. Potem rozwinięcie w linię plutonów trójkami, by zakończyć szykiem rozwiniętym. Teraz czas na elementy kadryla. Jest „serduszek-skrzyżowanie” w stępie, kłusie, a nawet w galopie. Wszystko według „Regulaminu musztry” i „Regulaminu wyszkolenia kawalerzysty”, bazujących na wydaniach przedwojennych, a uwspółcześionych przez rtm. Woronowicza.

– Który z tych koni pańskim zdaniem chodzi najlepiej? – pyta mnie rtm. Wyczawski. Wskazuję wyróżniające się moim zdaniem zwierzę. Zad podstawiony, szyja zganaszowana (wygięta w kablak, ale bez przesady), ładny chód. – To Nimro po skoczku Rotmistrz – ojcu i dziadku Ramirado. Mój koń – z wyczuwalną dumą w głosie odpowiada dowódca. Nimro jest co prawda skarogniady, a nie kary, ale przy takim ujeżdżeniu wstydu na paradzie nie przyniesie. Teraz ulani ustawiają pozorniki. Będą chwytły lancą i cięcie szablą. Pięć łóz sterczy na prawych pozornikach, a pięć białych kółek, w które trzeba trafić grotem lancy – w lewym rzędzie. Pierwszy tnie szablą loży „prawa dół!”. Chodzi o to,

żeby złamać łożę ostrzem głowni w polowie szerokości szyi galopującego równolegle rumaka. Zaliczone. Teraz lanca. „W prawo w przód kluj!” – pada komenda podoficera. Pięć pierścieni zebrane w galopie. Rusza następny z szablą uniesioną ku górze. Widać, że przy ostatniej łożie może być kłopot. Koń za bardzo wyszedł jeźdźcowi do przodu. Ratuje się „abisyńskim” (cięciem od dołu). Zaliczone. Teraz młyniec lancą z boku i nad głową do kamery. Trafienie w galopie w pierścien leżący na ziemi kończy zabawę.



DOWÓDCA I UŁANI

Po 1989 r. powstała myśl o odtworzeniu pododdziału konnego, który wraz z kawalerią pancerną i powietrzną pokazywałby wielowiekową polską tradycję kawalerską. Owocem podjętych działań było utworzenie 1 czerwca 2000 r. Szwadronu Kawalerii Wojska Polskiego. 10 listopada 2000 r. szwadron został uroczystie włączony w poczet pododdziałów reprezentacyjnych Wojska Polskiego. Z tej okazji ułani szwadronu otrzymali żrąk weteranów kawalerii polskiej proporzec oraz ostrogę jako symbol przekazanej tradycji. 1 stycznia 2009 r. jako pododdział wszedł w skład Batalionu Reprezentacyjnego Wojska Polskiego. Rocznie mają 21 stałych uroczystości plus 10 innych pokazów. Obecnie stanowi jeden z pododdziałów Pułku Reprezentacyjnego Wojska Polskiego. Dowodzi nim kpt. (rtm.) Tomasz Wyczawski.

Rotmistrz wychował się w wsi w gospodarstwie rolnym jak większość przedwojennych ułanów. Swoją przygodę z końmi rozpoczął, jeżdżąc na koniu ojca bez siodła. Na oklep. Kawalerii i jazdy konnej nauczył się już w wojsku. Nie spodziewał się, że trafi w końcu do szwadronu reprezentacyjnego, choć powinien. Wiekowa babcia jego żony tuż przed śmiercią wypowiedziała córce prorocze słowa, że mąż będzie jak Piłsudski „jeździł na Kasztance”. Nimrod co prawda



jest maści skarniadej, ale kto wie, jaki będzie następny koń? Większość ułanów nauczyła się jazdy konnej przed służbą w pododdziale. Plutonowy Łukasz Osiecki, dowódca sekcji, przed wojskiem pracował w zakładzie treningowym ogierów w Boninie. Jazdy uczył się prywatnie u koniuszego ze stadniny w Łobzie. Spodobało mu się i za radą kolegi postanowił zgłosić się na

Lendzion zwany również Krakenem. Obaj z East Riders Stunt Team, obecnie Stunt Bros.pl ze Słupna. To znana konna grupa kaskaderów Andrzeja Kostrzewy i synów, która m.in. kręciła szarżę pod Rokitną w filmie „Legiony”, a teraz występuje w serialu „Korona królów”. Dla wielu jeźdźców szwadron stał się docelowym miejscem i w nim pozostaną aż do emerytury, bo konie to ich życie i pasja.

MARZENIA

Nikt nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego w Wojsku Polskim do tej pory nie przywrócono przedwojennych stopni kawalerskich. Według regulaminu mamy kapitana zamiast rotmistrza, sierżanta (wachmistrza) i szeregowca specjalistę – ułana. Jest tajemnicą poliszynela, że w szwadronie żołnierze, podoficerowie i oficerowie zwracają się do siebie per „panie rotmistrzu” (kapitanie), „wachmistrzu” (sierżancie) itd. Należałoby wreszcie skończyć z tym udawaniem i wprowadzić w SKWP ustawą przedwojenne stopnie kawalerskie.

– Jakie są pańskie marzenia związane z końmi? – pytam kpt. (rtm.) Wyczawskiego. Siedzimy po treningu w jego gabinecie przy kawie. – Chciałbym, żebyśmy doczekali czasów, gdy w szeregach Szwadronu Kawalerii Wojska Polskiego powstanie sekcja husarii, która uświetniłaby nasz pododdział podczas takich świąt jak Święta Wojska Polskiego czy też Święta Kawalerii Polskiej. To nasz żołnierski obowiązek, żebyśmy nie zapominali o tak chlubnej formacji, jaką była husaria polska – pada odpowiedź. To byłoby coś. Najpiękniejsza i najlepsza kawaleria wreszcie doczekałaby się swojej oficjalnej reprezentacji.

Współczesna polska lanca jest zgrabna i poręczna. Całkowita długość z grotem i tylcem wynosi 290 cm, a ciężar bez elementów skórzanych – 2,1 kg. Żerdź – drewniana, jesionowa, olejowana na czarno, a następnie pokryta lakierem uretanowym, półmatowa. Idealny miks lancy napoleońskiej, francuskiej z 1913 r., a także niemieckiej z XIX w.

nadterminowego do szwadronu. Służy już 16 lat. – Robię to, co lubię, i jeszcze mi płacą – podsumowuje.

W pododdziale jest też dwóch kaskaderów filmowych. Ułan Arkadiusz „Orzech” Bujalski i starszy ułan Wojciech „Gekon”

K

ULTIMATY

Sympatyczny przystojniak z filmu „Mumia” wraca na ekran drastycznie zmieniony. Rola w filmie „Wieloryb” może przynieść Brendanowi Fraserowi Oscara

Powrót w wielkim stylu

Fot. Joe Seer/Shutterstock



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Gdyby nie oczy, trudno byłoby dostrzec w monstrualnie otyłym nauczycielu literatury dawnego Brendana Frasera. Tego, który w latach 90. ub.w. był gwiazdą filmów komediowych i kina akcji.

Gdy jako 28-latek zagrał tytułowego „George’a prosto z drzewa”, zachwycano się jego urodą i wysportowanym ciałem. Przełomowa w karierze „Mumia” (1999) oraz kontynuacje tej kasowej produkcji: „Mumia powraca” (2001) i „Mumia: Grobowiec Cesarza Smoka” (2008), w których stworzył postać nieustraszonego poszukiwacza przygód Ricka O’Donella, przysporzyły mu rzesze fanek i fanów. To z tą rolą w pierwszej kolejności był do tej pory kojarzony. Teraz to się zmienia. Za sprawą Darrena Aronofsky’ego.

BLOKADY I KILOGRAMY

Charlie z filmu „Wieloryb” jest o dwie dekady starszy i blisko 200 kg cięższy od Ricka. Uwięziony w niewielkim mieszkaniu, w fotelu, z którego niemal nie wstaje, komunikuje się ze swoimi uczniami online. Unieruchomiła go chorobliwa otyłość, którą jeszcze powiększa, reagując kompulsywnym jedzeniem na życiowe doświadczenia.

Fraser – nie tylko z racji mikroprestrzeni, którą dosłownie rozsada fizycz-



Kadr z filmu „Wieloryb”



„Mumia” z 1999 r.

ność jego bohatera – wypełnia aktorsko prawie całą ekranową historię. Poruszając wygrywa relacje z przedstawicielami zewnętrznego świata, od którego Charlie ucieka – z byłą żoną, chłopakiem, który pewnego dnia puka do jego drzwi, sąsiadką, ale przede wszystkim z porzuconą przed laty córką Ellie. To właśnie szczerą do bólu nastolatka wreszcie nim potrząśnie, ruszy z fotela 270 kg wewnętrznego rozdarcia i blokad, poharatania i niezgody na los.

PRYWATNY KOSTIUM

Darrena Aronofsky’ego („Requiem dla snu”, „Czarny łabędź”) zainspirowała obejrzana na Broadwayu sztuka Samuela D. Huntera pt. „Wieloryb”. Adaptacja powstała szybko, ale brakowało kandydata do roli głównej. Wtedy reżyser zobaczył ponoć mało znany film „Podróż do końca nocy” z 2006 r., w którym sympatyczny Brendan Fraser pokazał się jako czarny charakter.

Aronofsky zdecydował się zatrudnić aktora, mimo że ten kilka lat wcześniej zniknął z ekranów. „Od dawna nie miał dobrych propozycji, ale przez ten czas dojrzał jako człowiek, dzięki czemu stał się dużo lepszym aktorem. Potrzebował okazji, by to pokazać” – komentował swoją decyzję reżyser.

Na potrzeby roli Fraser sporo przybrał na wadze, ale i tak musiał nosić specjalny kostium oraz protezy na twarz. Charakteryzacja trwała codziennie od czterech do sześciu godzin. Budując rolę, sięgnął również do prywatnych doświadczeń.

W wywiadzie dla „Interview” wyznał: „Mój najstarszy syn Griffin [...] jest autystyczny. Właśnie skończył 20 lat. Jest dużym dzieckiem. Mierzy ponad 190 cm wzrostu. Ma duże ręce i stopy, duże ciało. Doskonale rozumiem, jak to jest być blisko osoby, która żyje z otyłością”.

To właśnie Griffin miał go nauczyć, jak zniekształcona postać bohatera może się nie tylko poruszać, lecz także komunikować z innymi.

WYJŚĆ DO ŚWIATA

Fraser uznał rolę Charliego za jedną z najtrudniejszych w swojej karierze. To, co pokazał na ekranie, było zarazem niezwykle intymne i pełne emocji. Odbierając nagrodę Critics’ Choice Awards dla najlepszego aktora, mówił, że „Wieloryb” to film o miłości, odkupieniu i znalezieniu światła w ciemności. Na koniec zwrócił się nie tylko do ludzi otyłych, lecz także każdego, kto czuje się zagubiony, kto stracił nadzieję: „Chcę, żebyś wiedział, że ty też masz siłę, by wstać i wyjść do świata”.

Sam jest najlepszym dowodem, że to możliwe: właśnie w spektakularny sposób podniósł się po załamaniu kariery i serii osobistych dramatów.

Na początku wszystko zapowiadało się znakomicie. Zawodowo i prywatnie. W 1998 r. ożenił się z modelką i aktorką Afton Smith. Doczekali się trzech synów: Griffina (2002), Holdena (2004) i Lelanda (2006). Jednak w 2007 r. doszło do głośnego rozwodu. Sprawy sądowe ciągnęły się kilka lat. Fraser miał już wtedy problemy z angażami. Wykluczanie go z zawodu zaczęło się – jak podkreśla – od nagłośnienia sprawy molestowania, którego miał się na nim dopuścić w 2003 r. prezes Hollywoodzkiego Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej, Philip Berk.

Do problemów zawodowych i rodzinnych (związanych także ze śmiercią matki) dołączyły kłopoty zdrowotne. W ciągu siedmiu lat aktor przeszedł kilka operacji, m.in. rekonstrukcji kolana, laminiektomii (usunięcia fragmentu kości lub krążka międzykręgowego uciskającego na korzenie nerwowe), strun głosowych. Skumulowanie ciężkich prywatnych doświadczeń oraz zastój w pracy wywołały depresję. Fraser na kilka lat wycofał się z branży. Teraz dzięki roli w „Wielorybie” wrócił na ekran. I to w wielkim stylu. Ma ogromną szansę na pierwszego Oscara.



Efektywność energetyczna w firmie?
Zrób audyt z TAURONEM i oszczędzaj!

biznes.tauron.pl/audyty



Wybitna „Panna opętana”

Historia, którą opowiada Maciej Pawlicki, jest tak ciekawa, a jej przesłanie tak aktualne, że warto pociągnąć ją dalej. A może zainwestować w produkcję pełnometrażową?

Piszę „Pawlicki”, ale tym razem by być precyzyjnym, trzeba mówić o Pawlickich. Bo Maciej stworzył scenariusz, reżyseruje, główną rolę przekonująco i pięknie zagrała Monika Pawlicka, a producentką filmu jest żona reżysera Magdalena Pawlicka. To coś normalnego dla niskobudżetowego (niestety!) przedsięwzięcia, gdzie każdy doкладаł swoje umiejętności, czas, talent. Na ekranie zobaczymy także wspaniałych aktorów, genialną Halinę Łabonarską i świetnych Piotra Cyrwusa, Kamila Przysała, Przemysława Kowalskiego.

Tytułowa „Panna opętana” to bohaterka powstania styczniowego Anna Henryka Pustowojtówna, która w męskim stroju walczyła w oddziałach gen. Mariana Langiewicza.

Nasza bohaterka urodziła się w rosyjsko-polskiej rodzinie jako córka polskiej szlachcianki Marianny z Kossakowskich i rosyjskiego oficera Trofima Pawłowicza Pustowojtowa. Anna uważała się za Polkę, ale jej brat, kapitan w armii rosyjskiej, służył z prześladowania Polaków.



MICHAŁ KARNOWSKI

Ta historia mocno pobudzała kiedyś narodową wyobraźnię, ostatnio jakby o niej zapomniano. Pawlicki więc przypomniał, sprytnie zresztą podlewając to dodatkowo sosem feministycznym, choćby przez poprzedzającą pierwszy pokaz ciekawą debatę o roli kobiet w zrywie 1863. Ten feminizm to stary polski wynalazek, to patriotyzm, energia, sprawczość polskich kobiet, w powstaniu styczniowym jaśniejący wyjątkowym blaskiem.

Polskie kobiety były wtedy wychowawcami powstańców, strażnikami narodowego obyczaju, łączniczkami, organizowały logistykę, opatrywały rannych, ratowały zagrożone majątki, jechały za mężami na zesłanie. I walczyły – właśnie jak Pustowojtówna. Skala tego zaangażowania była tak duża, że władze carskie zaczęły używać w stosunku do uczestników zrywu określeń „przestępcy płci obojga”.

Oś fabuły ciekawie opisała Katolicka Agencja Informacyjna, podaje więc za nią:



„Tworzy ją konflikt między Anną Henryką (w tej roli córka reżysera Monika Pawlicka) a jej bratem Nikolajem (Kamil Przyszał), dziećmi z matki Polki i ojca Rosjanina. Ona coraz bardziej dojrzewa w swojej polskości, on wybrał bycie Rosjaninem. »Dołącz do obozu zwycięzców, polskość jest słaba, dała ci tylko poczucie klęski« – mówi brat Pustowojtówny, nazywając ją »panną opętaną«, opętaną jego zdaniem zgubną polskością.

»Ty jesteś w obozie zdrajców« – odpowiada dziewczyna. Jej rozdarcie egzystencjalno-duchowe kończy się przystąpieniem do spiskowców i udziałem w narodowej manifestacji, za co ma ponieść karę więzienia, choć ostatecznie z niego ucieka i rozpoczyna życie powstanki. To także cezura oddzielająca beztroskę młodości od powagi postawy patriotycznej”.

Autorzy stawiają ważne pytania. Po co nam Polska? Co to znaczy wybór polskości? Czy obca siła, obce imperia mają moc przerażenia Polaków? Ilu z nas uwiedzie kariera na obcych dworach kosztem stania się Polakiem tylko z nazwiska, a z serca zaprzańcem?

Czy musimy dołączyć do obozu zwycięzców? Kto jest zdrajcą sprawy polskiej, a kto opętany szaleńcem?

Niektóre dialogi, choć w historycznych kostiumach, przypominają te toczące się w polskich domach, na uczelniach, w studiach telewizyjnych, gdzie polski patriotyzm – rzekomo znowu nierozsądny – ściera się z poczuciem, że TAM jest siła, przyszłość i musimy, po prostu nie mamy innego wyjścia, zrezygnować z naszej polskości. Pozbyć się tego opętania Polską.

Pawlicki nie podlizuje się odbiorcom. Nie sięga po tanie sztuczki. Rozmawia z nimi poważnie. I co ciekawe, ten język, jakże inny od dominujących trendów, przykuwa uwagę młodych, zmusza do skupienia, prowokuje do rozmowy, o czym przekonałem się osobiście.

„To skromny, kameralny film o Annie Henryce Pustowojtównie – jednej z tych zapomnianych moim zdaniem postaci, dzięki którym zawdzięczamy to, że mówimy po polsku i jesteśmy wolni” – podkreślał przed seansem Maciej Pawlicki.

Ten twórca dawno udowodnił, że doskonale umie opowiadać historię nam współczesnym. Drapieżnie, odważnie zdrapując puder samozadowolenia, pytając, czy w porównaniu z dziełem przodków na pewno nie stać nas na więcej.

Teraz też nie zawodzi. W swojej kategorii „Panna opętana” to dzieło wybitne. Ale może warto pociągnąć tę historię dalej? Pokusić się choćby o rys powstańczych dziejów Michała Smoka – bo pod takim pseudonimem walczyła bohaterka? Zresztą i późniejszy los Pustowojtówny jest ciekawy – emi-

gracja, dalsze próby walki, skupienie uwagi mediów światowych, sesje zdjęciowe w strojach powstańczych. Wszystko promujące sprawę polską.

Jest tu temat na dzieło wielkie, ambitne. Jest reżyser. Więc może jeszcze odważniej? Może kolejnym etapem powinna być pełnometrażowa produkcja?

Film „Panna opętana” sfinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego i dofinansowano ze środków budżetu państwa w ramach obchodów 160. rocznicy powstania styczniowego. Co zresztą pokazuje, że gdy są ciekawe propolskie projekty, znajdują się i pieniądze.

Produkcja przeznaczona jest dla telewizji, zapewne pokaże ją TVP. Gdy będzie znany termin, oczywiście Państwa poinformujemy.

Kupuj **SIECI** na swojej Poczcie!



Sprawdź, czy jesteśmy na Twojej Poczcie:

www.poczta.pl/Sieci

Autopromocja

Satanizm w mainstreamie

Wnocy z 5 na 6 lutego na 65. gali Grammy wystąpił nagrodzony właśnie duet Sam Smith & Kim Petras, a widzowie otrzymali kolejny dowód, że satanizm coraz pewniej czuje się w mainstreamie. „Sam Smith stało* się pierwszą niebierną osobą, a Kim Petras pierwszą transpłciową”, które zdobyły muzycznego Oscara. „Jak zareagowało* na ten fakt Smith”? – pytają misjonarze LGBTQ z Ringier Axel Springer Polska. „Szczególnie oniemiałam*, jestem tym przygniewiona* i niesamowicie szczęśliwa*”.

Show z quasi-satanistyczną symboliką, ale czytelną dla milionów, jest wart odnotowania tylko dlatego, że siermiężna apoteoza czystego zła została dokonana przez osoby LGBTQ i miała miejsce na najważniejszej globalnej gali muzycznej.

„Szatan jest bogiem silnych, potężnych i przywódców świata” – to już cytata z rozmowy telewizyjnego pastora Boba Larsona z najwyższą kapłanką Church of Satan, Zeeną LaVey, córką założyciela pierwszego Kościoła satanistycznego czasów współczesnych oraz z jej mężem Nikolasem Schreckiem.

„Nie zależy nam na masach. Satanizm jest religią przywódców, liderów, elit. To religia dla kompetentnych, wykształconych ludzi. To nie religia dla każdego, kto chciałby zostać satanistą” – mówił w 1989 r. Nikolas Schreck.

W czerwcu 2016 r., w obecności kanclerz Angeli Merkel, prezydenta François Hollande’a, premiera Włoch Matteo Renzi, premiera Lichtensteinu Adriana Haslera i kanclerza Austrii Christiana Kerna, otwarto w Szwajcarii Gotthard Base Tunnel, 57-km, najdłuższy tunel na świecie. Uroczystości towarzyszył zadziwiający rytuał będący formą satanistycznej dramy. Przed politykami występowali ubrani na białe „niewinni”, „maluczy” i zautomatyzowani „robotnicy-zombie”.

Łopatologicznie pokazano proces seksualizowania i otepiania nieświadomej masy, a potem zacieranie granic między płciami oraz między dorosłymi a dziećmi. Symbolizowała to m.in. „latająca postać o brzydkiej, anormalnie dużej głowie wykrzywionego w grymasie dziecka. Nie sposób odgadnąć płci stworzenia ze względu na kobiece piersi”. Postać o koziej, rogatej głowie, kobiecych piersiach, siedząca na ujarzmionym świecie. Symbol kultu szatana. Pod koniec przedstawienia niewinni-nieświadomi zostali spętani welonem, świat zaślubił zło.

*Satanizm zbudowano
na zaprzeczeniu,
odwróceniu hierarchii
wartości, na której
jest ufundowana
cywilizacja zachodnia,
na radykalnym
odrzućeniu dobra*

W samych Stanach Zjednoczonych działa jawnie przynajmniej kilkanaście Kościołów satanistycznych. Dla historii ostatniego półwiecza najważniejsze były te, nawiązujące właśnie do tradycji Antona Szandora LaVeya, z założonym przez niego w 1967 r. Church of Satan i kolejno zakładanymi świątyniami kultu zła: Temple of Set, Order of the Black Ram, Werewolf Order, Worldwide Church of Satanic Liberation, Church of War, Church of Satanic Brotherhood, Brotherhood of the Ram, Our Lady of Endor Coven, Thee Satanic Orthodox Church of Nethilum Rite, The Satanic Church. Ostatnio przebiła się do global-



ROBERT TEKIELI

nej infosfery informacja o tym, iż przedstawiciele tych legalnych organizacji kulturowych walczą metodami prawnymi z obecnością krzyża w przestrzeni publicznej. Z różnym powodzeniem.

Wróćmy jeszcze do imprezy wieńczącej tunelowy biznes za 16 mld euro. Tak relacjonowano jej zakończenie: „Na zewnątrz stał ogromny ekran, z którego patrzyło wielkie wszytkowidzące oko. Wokół niego unosiły się duchy, a może dusze tych, których złożono w ofierze krwiożerczemu bogu. Ludzie z procesji padli na twarz przed kozłem w wyrazie uległości i oddania. Jedna z kobiet zarzuciła na kozła biały welon, mówiąc: »Teraz jesteście panem świata!«”.

Satanizm zbudowano na zaprzeczeniu, odwróceniu hierarchii wartości, na której jest ufundowana cywilizacja zachodnia, na radykalnym odrzućeniu dobra. Satanistyczna inicjacja polega na stopniowej eskalacji nienawiści satanisty do samego siebie przez coraz potworniejsze akty agresji i bluźnierstwa.

Tak było w historii Katarzyny, która mieszkała w wynajętym przez parafię mieszkaniu w jednym z dużych miast na południu Polski. Rozmawiałem z nią kilka godzin. Opowiedziała mi, jak opiekę nad osieroconą 9-letnią dziewczynką roztoczył jej 13-letni brat. W bezradności, by chronić ją i siebie przed agresją i wykorzystaniem w bidulu, zawarł pakt z szatanem. Po kilku latach trafili do sekty. Tam plugawiony był każdy przejaw dobra w jej życiu, niszczone pamięć o każdej sytuacji,

w której zaznała miłości, bezinteresowności. By doszła do wniosku, że dla niej nie ma już nadziei, musiała zbeczcścić Najświętszy Sakrament. A na koniec Kochający, opiekujący się nią przez 10 lat brat zaprzeczył i braterskiej miłości. Oddał ją satanistycznemu kapłanowi, starszemu mężczyźnie. Zaraz po 18. urodzinach została zgwałcona na ołtarzu.

Gdy rozmawiałem z Kasią, miałem przed sobą osobę wydrążoną, pozbawioną wyrazistych cech charakteru, niezdolną do prostych sądów. Woli to czy tamto? Lubi coś albo czegoś nie lubi? Zabito jakąś część jej osoby.

Opętanie i trans (trance and possession) są umieszczone przez WHO w międzynarodowej klasyfikacji chorób ICD-10. Osoby poddane egzorcyzmom mówią w językach, których nie znają. W literaturze przedmiotu jest opisany przypadek analfabety władającego klasyczną greką.

Inna satanistka, również z południa Polski, Anna, wiedziała o mnie rzeczy, których nie mogła wiedzieć. W tym taką, o której wiedzą tylko dwie osoby.

Świat duchowy, również demoniczny, to realna rzeczywistość. Nie da się w nią bawić. Nie był też dziecinadą, jak starano się go przedstawić w mediach, brutalny i bezsensowny po ludzku rytualny mord na dwojgu nastolatkach w 1999 r. w Rudzie Śląskiej.

Anton Szandor LaVey, autor „The Satanic Bible”, „The Satanic Witch” i „The Satanic Rituals”, był hoochszaplerem, plagiatorem, notorycznym kłamcą. Jednak niepowaga aktu oddania się osobowemu złu nie czyni aktu nieskutecznym. Rytuały La Veya zawierają obrzędy, w których zwracał się on do szatana jako do istoty osobowej. Osobowemu złu oddają się w niewolę wszyscy, którzy te formuły za nim powtarzają. Niezależnie od tego, czy wierzą w obiektywne istnienie szatana.

Arystokraci satanizmu, Zeena LaVey i Nikolas Schreck, w cytowanej już rozmowie z Bobem Larsonem przedstawili z grubsza LaVeyowski światopogląd: świat duchowy nie istnieje. Bóg, szatan to archetypy, Jezus Chrystus jest tak samo realny jak zając wielkanocny, Herkules, Zeus i wróżka zębuzka. Podział na dobro i zło to kulturowa konwencja, którą zmieniają kolejne kulturowe fale i mody. Napoleon był uznawany 200 lat temu za wcielenie diabła. Dziś już nie jest.



Moralność zmienia się wraz z pogodą. Zwycięzcy piszą historię.

LaVeyowski satanizm jest jednym z ateistycznych wierzeń, dość prymitywnym kultem egoizmu, siły, woli mocy, którego nadzieją jest przekonanie, że nieśmiertelność nie istnieje, śmierć kończy wszystko, więc czyniący zło człowiek nie poniesie konsekwencji swoich czynów. Według LaVeya istnienie zasad jest skandalem. Nikt nie może decydować, co jest dobre i złe.

„Tylko my patrzymy na ludzkie zachowania z realistycznej perspektywy”. „Żaden czyn człowieka czy zwierzęcia nie może być osądzony jako dobry czy zły. Gdyby Hitler wygrał, bez wątpienia wasze podręczniki szkolne by mówiły: Hitler jest dobry, wszystko inne jest złe”.

„Wierzę, że zwierzęta powinny być chronione przez ludzi – mówił Schreck. – To nasz obowiązek jako dziedziców Ziemi. Satanistyczna ekologia jest priorytetem w naszym programie. Musimy chronić Ziemię, na której żyjemy, nasze naturalne środowisko. Jednak może największym złem jest podtrzymywanie przy życiu milionów ludzi, którzy nigdy nie będą produktywni, którzy będą drenować wszystkie nasze zasoby i stworzą świat stagnacji. Chrześcijaństwo przebrzmiało. W latach 90. wielu ludzi kultury, sztuki, architektury wyjdzie z cienia, ujawni się ze swoim bezkompromisowym satanizmem. Właśnie tym się zajmujemy. Nadchodzi nasz czas. Satanistyczny świat”. Tyle arcykapłan kultu szatana Nikolas Schreck.

Michael Swift w swoim artykule z 1987 r. pt. „Gay Revolutionary” napisał: „Będziemy sodomizować waszych synów, emblematy waszej kruchej męskości, waszych płytkich marzeń i wulgarnych kłamstw. Będziemy ich uwodzić

w waszych szkołach, w waszych internatach, w waszych siłowniach, w waszych szatniach, w waszych halach sportowych, w waszych seminariach...”

W wydanej w 1989 r. książce Marshalla Kirka i Huntera Madsena zatytułowanej „After the Ball. How America Will Conquer Its Fear and Hatred of Gays in the 90's” (Po balu. Jak Ameryka w latach 90. pokona swój strach i nienawiść do gejów) czytamy: „O homoseksualistach i homoseksualizmie należy mówić możliwie jak najgłośniej. Opinia publiczna musi zostać znieczulona na homoseksualizm. Trzeba atakować Kościoły, zwłaszcza Kościół katolicki, przez wytykanie im archaicznych praktyk, zacofania i niejasności w interpretacji Biblii. Należy stworzyć i rozpowszechnić hasło »tolerancja« jako obowiązek wszystkich względem homoseksualistów. Wszystkich, którzy będą myśleć inaczej, przedstawiać jako homofobów i ogarniętych nienawiścią prymitywów. Osoby LGBT należy przedstawiać zawsze jako ofiary opresyjnej większości”.

W tym samym 1989 r. satanista powiedział: musimy eliminować niedoświadczonych i niepełnosprawnych, którzy drenują nasze zasoby.

Tak samo toksyczne jest odwrócenie wartości jak zatarcie granic. Między płciami, dorosłymi a dziećmi, między ludźmi i zwierzętami.

Mają plan, co mogą? Ile już zrobili? Ile z powyższych idei sprzed 30 lat stało się rzeczywistością?

Co oznacza obecność satanizmu w centrum kultury? Jaki będzie skutek odwrócenia, przenicowania wartości, na których ją zbudowano? Ktoś odpowie? Przywódcy, liderzy, elita, panowie świata, monarchowie?



Wyjątkowa pocztówka z wakacji 🍷 🍷 🍷 🍷 🍷 🍷

Raz na jakiś czas pojawia się filmowy debiut, który można nazwać doskonałym. Nakręcenie takiego debiutu bywa jednak ogromnym obciążeniem dla jego twórcy. Wielki Orson Welles przez całą karierę zmagał się z cieniem „Obywatela Kane’a”, mimo że potem dawał nam takie genialne obrazy, jak „Dotyk zła”. Tobe Hooper mimo wieloletniej pracy w Hollywood pozostał w historii reżyserem tylko jednego slashera – „Teksańskiej masakry piłą mechaniczną”, a John Singleton nie wzbіл się do końca życia na poziom „Chłopaków z sąsiedztwa” – takie przykłady można mnożyć. Mam nadzieję, że debiutująca w pełnometrażowej fabule szkocka reżyserka Charlotte Wells nie zostanie przygnieciona wielkością swojego skromnego filmu i zrobi wielką karierę w światowym kinie.

„Aftersun” jest niezwykle subtelnym, delikatnym, impresyjnym, utkanym z ukrytych znaczeń, poetyckim obrazem dzieciństwa, dojrzewania do ojcostwa, depresji i miłości. To zdumiewające, jak wiele warstw mieści się w tym formalnie prostym filmie, który nie ma nawet klasycznej fabuły, a pełnego znaczenia nabiera w ostatnich kilku minutach. Wstrząsających i wybitnie rozegranych. Historia jest prosta. Jesteśmy w drugiej połowie lat 90. XX w. Calum (Paul Mescal) spędza wakacje w Turcji ze swoją 11-letnią córką Sophie (Frankie Corio). Z pozoru nie oglądamy nic niezwykłego. Pływanie, opalanie, wieczorne karaoke, lody – dzień jak co dzień w wakacyjnym kurorcie. Wszystko, co najważniejsze w tej historii, rozgrywa się między wierszami.

31-letni Calum jest na tyle młodym ojcem, że osoby postronne myślą go z bratem Sophie. Czy to przez niedojrzałość rozstał się z jej matką, która mieszka teraz z córką w Edynburgu, i na wakacjach próbuje udowodnić swoją odpowiedzialność? Nie jest za-

możnym człowiekiem, czego dowiadujemy się w scenie, gdy jego córka patrzy smutno na opaskę all inclusive na ręku poznanej młodej Angielki. Mimo to pragnie kupić drogi turecki dywan, by córka miała nie tylko ulotne wspomnienia z nim związane, lecz także artefakt z konkretnych wakacji. Wells powoli buduje obraz dwójki bohaterów w takich drobnych ujęciach. Ważne są gesty, grymasy i urwane słowa. Ważne są obrazy rejestrowane przez Caluma i Sophie na kamerze, którą zabrali na wakacje. To one powoli obnażają psychikę Caluma i budują postać Sophie. W pewnym momencie dostajemy skąpane w stroboskopowym świetle przebitki tańczącego Caluma w rytm „Under Pressure” duetu Freddie Mercury i David Bowie. Specyficzny rave’owy taniec jest kluczowy w finałowej scenie, w której słyszymy z ust Bowiego i Mercurego: „To nasz ostatni taniec / To nasz ostatni taniec / To my pod presją / Pod presją, presją”.

Calum czuje presję rodzicielstwa, do którego może nie dorósł. Jest pod ciągłą presją oczekiwań społecznych, które mogą iść w poprzek jego pragnieniom. Kocha córkę, ale może jest zbyt młodym ojcem? A może jego stan ducha wynika z głębszego problemu? Czy to depresja? Sophie dostaje obraz ojcostwa, który (co widzimy w ostatnim akcie) przekłada się na jej tożsamość w wieku właśnie 31 lat. Oglądając nagranie z tureckich wakacji z tatą, Sophie odkrywa coś, czego nie widziała jako dziecko. Co? Nie będę zdradzać takich szczegółów, by nie psuć przyjemności z seansu. Nie jestem zaskoczony, że Mescal

Kino



za tę rolę dostał w tym roku nominację do Oscara. Znany ze świetnych „Normalnych ludzi” 27-letni irlandzki aktor tworzy przejmujący i do tego subtelny obraz pogruchotanego mężczyzny, rozerwanego między ojcostwem a chęcią eksploracji życia młodego człowieka. Nie przez przypadek trenuje on tai-chi, co wprawia w zawstydzenie jego córkę. W wieku 11 lat nie rozumie, że jest to sposób taty na znalezienie spokoju ducha.

Wspominam o finale, bo te kilka emocjonalnie intensywnych minut dowodzi, jak przemyślanym filmem jest „Aftersun”. Nie tylko w warstwie wizualnej, lecz także w konstrukcji scenariusza i precyzyjnej reżyserii. Wells nie ukrywa znaczeń tej do pewnego stopnia autobiograficznej opowieści (reżyserka nie ukrywa inspiracji własnym zdjęciem z wakacji z tatą)

przez wyrachowanie. Jej debiut nie jest nakręcony pod nagrody na festiwalach, choć jest to kino przeznaczone dla dojrzałego kinomana, który wie, jak odbierać filmy w skupieniu.

Wells pokazuje, jak bardzo perspektywa oceny działania naszych rodziców zmienia się wraz z osiąganiem przez nas dojrzałości. Czy mamy prawo do surowej oceny ich wyborów, rozpatrując je wyłącznie przez percepcję nastolatka? Czy możemy uniknąć ich błędów, jeżeli damy sobie szansę na dostrzeżenie w nich nie tylko rodzica, lecz także człowieka ze swoimi odrębnymi pragnieniami i lękami? Tak fundamentalne pytanie zadaje nam zaledwie 35-letnia reżyserka. Oby udźwignęła ciężar tak dojrzałego debiutu.

„AFTERSUN” W KINACH

Hitchcock po koreańsku



Park Chan-wook jest zakochany w kinie Alfreda Hitchcocka, co widać w każdym kadrze „Podejrzanej”. Otwarcie przyznaje, że gdy obejrzał na filozoficznych studiach „Zawrót głowy”, to zdał sobie sprawę, że brytyjski maestro na zawsze zawrócił w jego w głowie. Koreański reżyser korzysta tutaj z całej palety amerykańskiego kina noir. Jest mroczny policjant (Park Hae-il) i niebezpieczna femme fatale (Tang Wei). Jest zagadka kryminalna i beznaoczna miłość. Jest dym papierosowy i popiół symbolizujący dusze bohaterów. To ciekawe, że reżyser, który lubuje się w kinie o zemście czy horrorach nieunikających przemocy w stylu gore, zrobił tak rasowy kryminał w starym stylu.

Quentin Tarantino powiedział, że „Oldboy” (2003) Park Chan-wooka jest bardziej tarantinowskie niż wszystko, co on do tamtej pory zrobił. Ciekawe, czy to samo powiedziałby Hitchcock o tym filmie. Koreańczyk potrafi żonglować elementami różnych gatunków i stylów z oldskulowego kina hollywoodzkiego i łączyć je z koreańską wrażliwością. Opowieść o policjancie zakochującym się w żonie mężczyzny, którego tajemniczą śmierć bada, ma sznyt zachodniego kina, ale jego duch pozostaje azjatycki.



Kino

Momentami „Podejrzana” jest melodramatem w szatach kryminału, podobnym do neonowych przypowieści o miłości ze świata Wong Kar-Waia.

Park Chan-wook lubi przypatrywać się mrocznej i destrukcyjnej stronie swoich bohaterów, co widać było choćby w „Służącej”. Związek cierpiącego na bezsenność policjanta i tajemniczej kobiety, która na przemian go uwodzi i odtrąca, wpisuje się w ulubione tematy Park Chan-wooka. Pułapka iluzji, zdrada, zemsta i balansowanie na linie dzielącej życie od śmierci i pytanie o istotę relacji kobiety i mężczyzny. Również tej małżeńskiej. Ciągła gra pozorów i igranie z percepcją widza – to potrafią najlepsi mistrzowie gatunku, do których Park Chan-wook się zalicza. Nie przez przy-

padek ten film przyniósł mu nagrodę za reżyserię na ostatnim festiwalu w Cannes. Wszystko jest tutaj również przemyślane wizualnie. Od sukienek femme fatale, przez odbicia w lustrach, tapety na ścianach, po końcową scenerię pokazuje, jak świadomym i konsekwentnym reżyserem jest twórca „Pani Zemsty”, który nie unika też ironicznego humoru użytkowego, by rozbroić poważny ton.

No i ten finał! Jeżeli pamiętacie scenę spożywania przez bohatera „Oldboya” żywej ośmiornicy, to ostatni akt „Podejrzanej” wywoła u was podobne zdumienie. Kino w różnoraki sposób pokazywało to, czego dokonuje jedno z bohaterów. Nigdy jednak nie widziałem tego w tak oryginalnej formie.

„PODEJRZANA” W KINACH

Ministerstwo Klimatu i Środowiska

Zakusy, jakie UE czyni wobec lasów, pokazują albo brak wyobraźni urzędników z Brukseli, albo co gorsza – działania z premedytacją. Ich efektem może być upadek polskiego leśnictwa, prywatyzacja i zakaz wstępu do lasów. Nie godzimy się na to, mówi wiceminister Edward Siarka, pełnomocnik Rządu ds. Leśnictwa i Łowiectwa



Walczymy o polskie lasy

Jesteśmy światowym liderem na rynku drzewnym. Czy nasza pozycja jest zagrożona?

Edward Siarka: Gałąź polskiej gospodarki związanej z leśnictwem stale się rozwija. Przemysł tartaczny, meblarski i papierniczy liczy ponad 400 tys. miejsc pracy. Nasze zasoby leśne i surowcowe są jednymi z większych w Europie, co czyni Polskę liderem na rynku światowym. Przynosi nam to wpływy budżetowe na poziomie przekraczającym 30 mld zł rocznie. Leśnicy odnawiają drzewostany i zalesiają dotychczasowe nieużytki. Rocznie sadzimy 500 mln nowych drzew.

Panie ministrze, w świetle zmian traktatów unijnych – czy utrzymamy naszą pozycję na rynku leśno-drzewnym?

Z całą pewnością można przewidzieć, że nowe unijne regulacje doprowadziłyby do krachu polskiej gospodarki drzewnej. Oznaczałoby to zubożenie dużej części polskiego społeczeństwa z uwagi na likwidację miejsc pracy. Ograniczenie podaży drewna, zwiększenie kosztów jego pozyskania przyniesie znaczne ograniczenie dostępu do surowca drzewnego i szybowanie jego cen w górę. Z czym to się wiąże? Z tym, że bylibyśmy zmuszeni do importu drewna z innych krajów,



Puszcza Białowieża. Tak wyglądają efekty ochrony lasów przez UE

nawet takich, gdzie prowadzi się rabunkową gospodarkę leśną. W sytuacji braku drewna na rynku niewykluczone, że musielibyśmy poszukać innych zamienników surowca. To oznacza powrót do plastiku, szkła czy betonu. Klóci się to z ideą promowania ekologicznych rozwiązań w gospodarce.

To w jakim kierunku podąża Unia Europejska?

Polityka Timmermansa, związana z wprowadzeniem Europejskiego Zielonego Ładu, cały czas posuwa się do przodu. Mimo trwającej wojny na Ukrainie nie widać zmian w ideowym myśleniu komisarzy, wręcz przeciwnie, obserwujemy przyspieszenie działań. Wszystko jest podporządkowane celom klimatycznym. Tworzy się z tego wręcz religię. Pomija się ważne kwestie, tj. wykorzystanie surowca drzewnego w ciepłownictwie. W sytuacji gdy KE chce ograniczyć zużycie gazu, jedynym stabilnym źródłem energii pozostaje m.in. biomasa.

Czy Unia chce doprowadzić do centralnego sterowania lasami wprost z Brukseli?

Obecnie walczymy o polskie lasy, by pozostały w zarządzie krajów członkowskich. Uwarunkowania lokalne wymagają odrębnych przepisów dostosowanych do specyfiki leśnej kraju. Inaczej wygląda struktura drzewostanów w Polsce, a inaczej w państwach na południu Europy. Mocno artykułujemy swoje stanowisko na forum europejskim. Nie zgadzamy się na zmiany unijnych traktatów, które odbierają nam suwerenność w zarządzaniu lasami. Społeczeństwo polskie popiera nasze działania. Niestety, Parlament Europejski nie ustaje w swoich zabiegach, dążąc do stworzenia państwa federalnego.

Jakie mogą być konsekwencje scentralizowanego sterowania przez UE?

Przedstawione dyrektywy i rozporządzenia to próba prywatyzacji. Próba odebrania lasów ludziom, którzy się na tym znają, mają doświadczenie w prowadzeniu gospodarki leśnej. Jeśli decydowanie o lasach spadnie na brukselskich urzędników, to w efekcie otrzymamy katastrofalny obraz polskiej gospodarki leśnej. Unijne propozycje ujęte już w pakiecie Fit for 55 dążą do wyłączenia 30 proc. gruntów leśnych z produkcji. Do tego nałożony zwiększony cel pochłaniania spowoduje, że

na kolejnych obszarach będziemy mieli ograniczone pozyskiwanie drewna. Wszystko to dąży do upadku instytucji Lasów Państwowych i utraty miejsc pracy. Leśnicy dbają o przebudowę drzewostanów na bardziej odporne na zmiany klimatyczne. Unia Europejska chce zaprzestać tych prac, by przyroda sama sobie z tym poradziła. Niestety, to chybiona teza.

A co z samą przyrodą naszych lasów?

W tej kwestii też widzę spore ryzyko. Las pozostawiony sam sobie, bez fachowej pomocy leśnika, może nie przetrwać. Widzimy, co stało się np. w Puszczy Białowieżskiej, opanowanej przez kornika. Żał patrzeć na stopy martwego drewna, a do tego właśnie doprowadziła unijna blokada działań podpartych faktami i nauką. Niestety, oddanie polskich lasów w ręce urzędników z Brukseli, niemających większego pojęcia o realiach prowadzenia gospodarki leśnej na terenie naszego kraju, może doprowadzić do tego, że będziemy mieli do czynienia z masowym zamieraniem lasów. To także niesie wielkie niebezpieczeństwo i niedogodności dla odwiedzających je ludzi, co ma związek z ryzykiem wprowadzenia zakazów zbierania runa leśnego czy dużym prawdopodobieństwem wybuchu pożaru.

Jak widać, głos nauki ma wielkie kłopoty w dotarciu do urzędników unijnych, w przeciwnieństwie do haseł głoszonych przez pseudoekologów.

W rzeczy samej. Unia pozostaje ślepa na uzasadnioną naukowo czynną ochronę lasu, nasz sprawdzony model zrównoważonej gospodarki leśnej, który z powodzeniem funkcjonuje od niemal 100 lat w Polsce. Przyniósł doskonały efekt dla naszej rodzimej przyrody, zwiększając obszar terenów leśnych do 1/3 powierzchni naszego kraju. Proszę sobie wyobrazić – to jak powierzchnia Belgii pomnożona trzy razy. Zagraniczni turyści odwiedzający polskie lasy są pod wielkim wrażeniem ich piękna i bogactwa. Mimo to z przykrością zauważamy, że to właśnie krzykliwe protesty garstki pseudoekologów z prędkością światła docierają do brukselskich urzędników. Skoro szumne, manipulacyjne hasła z transparentów aktywistów ekologicznych przebijają się w UE bardziej niż ekspertyzy naukowców, to nie wróżymy niczego dobrego, jeśli zarządzanie lasami miałoby odbywać się zza biurka unijnych urzędników.



Lasy Państwowe



Co się stanie, jeśli nie zadbamy o żurawie?

Żuraw (Grus grus), jeden z najpiękniejszych, najbardziej romantycznych i majestatycznych przedstawicieli naszej fauny, jest gatunkiem, który w ostatnich latach zwiększa swoją liczebność. Dlaczego tak się dzieje i czy żurawiom nic nie zagraża?



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Klangor żurawi niosący się wieczorem z zamglonych, pokrytych oparem bagnisk gdzieś pod lasem albo widok żurawich kluczy wysoko na niebie to jedno z najbardziej poruszających zjawisk przyrody.

Piękne, szlachetnie siwe upierzenie; okazałe, długie i zwisające lotki zakrywające ogon i tworzące rodzaj trenu; czarno-białe pióra głowy urozmaicone czerwoną czapeczką i czerwonym, bitym okiem; czujność, do której Sienkiewicz porównywał stepową czujność pana Podbiپیty; coroczne dalekie wędrówki; przywiązanie do lęgówisk, na które żurawie powracają latami, i wzajemne przywiązanie ptaków z pary, które pozostają sobie zawsze wierne, nie rozstają się nawet podczas migracji i na zimowiskach – to wszystko czyni z żurawia wyjątkowego ptaka.

GRUS GRUS POLONENSIS

Choć nazwa *Grus grus polonensis* nie figuruje w systematyce ornitologicznej i została wymyślona tylko na użytek tego tekstu, jej użycie ma swoje uzasadnienie. Żuraw, gatunek w Polsce bardzo rzadki jeszcze w latach 80. XX w., od pewnego czasu szybko zwiększa swoją liczebność. Przez nasz kraj podczas migracji przelatuje ok. 170 tys. żurawi, co stanowi jedną czwartą światowej populacji. Co roku dziesiątki tysięcy żurawi zatrzymują się w Parku Narodowym Ujście Warty: jesienią – przed odlotem na zimowiska, i wiosną – przed podążeniem na północne obszary lęgowe. Bardzo liczne zgrupowania odpoczywają także w dolinie dolnej Odry, dolinie Baryczy, w Słowińskim Parku Narodowym, na Nietlickim Bagnie i w dolinie środkowej Noteci. W tych miejscach pozostają nieraz do późnej jesieni, wczesną wiosną wracając z powrotem.

Mamy też ponad 20 tys. par lęgowych tych ptaków – więcej gnieździ się tylko w Rosji i na Półwyspie Skandynawskim. Miejsc lęgowych położonych w podmokłych, ustronnych lasach wciąż przybywa – sam obserwowałem parę prawdopodobnie lęgowych żurawi w ziemi chrzanowskiej, w Małopolsce, w której jeszcze pod koniec ub.r. żurawie były skrajną rzadkością.

Jesteśmy więc ważnym dla żurawi krajem i spoczywa na nas zaszczytna odpowiedzialność przyczynienia się do ich ochrony i utrzymania korzystnego trendu wzrostu ich liczebności.

ZAGROŻENIA

Niestety, przyszłość żurawi nie jest wcale taka pewna. Tereny podmokłe kurczą się i są osuszane, ich ulubione



doliny rzeczne są ograniczane wałami, przekształcane i regulowane. Po lasach grasują motocykle i quady, płosząc ostrożne ptaki i zniechęcając je do lęgów. Czy obserwowany obecnie przyrost liczebny żurawi nie zmieni się w załamanie gatunku? I czy te ptaki nie są czasem indykatorem pokazującym, co dotknie nas, jeżeli nie zadamy o żurawie? A raczej jeżeli nie doprowadzimy środowiska do stanu, w którym zapewniając ochronę siedlisk żurawi, ochronimy jednocześnie te elementy ekosystemu, które są niezbędne również dla nas samych.

I REMEDIUM

Poszukując rozwiązania, które pomoże ochronić żurawie, trzeba wrócić do ich wymagań. Doliny rzeczne i bagna, na których zatrzymują się podczas przelotów – niezbędne, by nabrały siły i się pożywiły – muszą pozostać naturalne. Znacznie lepszym rozwiązaniem nie tylko dla przyrody jest niewznoszenie wałów i niekępowanie rzeki, która i tak prędzej czy później pokona obwałowania, ale pozostawienie możliwości szerokiego rozlewania się i budowania poza obszarem najwyższej wody. Dlaczego na Biebrzy, rzece regularnie i szeroko wylewającej, nie ma powodzi? Bo nikt nie buduje na terenach zalewowych. Tam, dokąd sięga woda, są jedynie łęgi, mszary, trzęsawiska, łąki i pastwiska, którym okresowe zalewanie służy i czyni je atrakcyjniejszymi dla krów i dzikiej przyrody. Oczywiście nie przywrócimy całkowicie pierwotnej naturalności dolin rzecznych. Coś jednak możemy zrobić.

Korzystnym rozwiązaniem dla żurawi, jednocześnie chroniącym zasoby wodne, a także miasta przed powo-

dziami byłoby zakładanie zbiorników gromadzących wodę.

Jakie powinny być to zbiorniki? Nie zaporowe, przegradzające rzeki, lecz zbiorniki położone obok koryta, połączone z nim i napieniające się samoczynnie podczas wyższej wody.

I obsadzone lasem lęgowym.

Taki zbiornik, możliwie roz-

szerokie, rozległe, zdolne do pomieszczenia dowolnej ilości wody, porośnięte lasami lęgowymi, które wymagają okresowego, regularnego zalewania. Lasy lęgowe zostały wycięte, do dziś przetrwały śladowe ich powierzchnie. Doliny zostały zacieśnione i zabudowane.

Oczywiście nie wyburzymy miast leżących nad rzekami. Możemy jednak

w prosty sposób odzyskać przynajmniej część pożytków płynących z naturalnych dolin rzecznych czy po prostu z tego, że pozwolimy rzekom choć w części płynąć zgodnie ze swoją naturą.

Każda miejscowość, każde miasto położone nad rzeką powinno mieć powyżej, nieco w górze jej biegu, możliwie rozległy polder zalewowy obsadzony

lasem lęgowym, napieniający się wodą przy każdym wezbraniu, odgrywający rolę przeciwpowodziową,

wodochronną i przyrodniczą. Szybko zobaczymy,

że to inwestycja o wysokiej stopie zwrotu nie tylko ze względu na żurawie. ▀

Rozwiązaniem korzystnym dla żurawi, jednocześnie chroniącym zasoby wodne, a także miasta przed powodziami byłoby zakładanie zbiorników gromadzących wodę

legły, przejmowałby część fali powodziowej, jednocześnie magazynując wodę i później powoli ją oddając – a pamiętajmy, że woda staje się coraz bardziej deficytowym towarem.

Jednocześnie zalesiony polder tworzyłby cenne siedlisko przyrodnicze, idealne jako miejsce lęgowe dla żurawi i wielu innych stworzeń – nadrzeczne lasy lęgowe to najbogatsze pod względem liczby zamieszkujących je gatunków siedliska w naszej strefie klimatycznej.

Dokładnie tak funkcjonowały doliny rzeczne, zanim ludzie zaczęły je zmieniać. Były



ADRIAN ZAREMBA

AKTOR

Uwarzone, zakręcone pasje

W zawodzie, który uprawiam, czasem dzieje się wszystko naraz, a za chwilę nic. Dlatego tak ważne jest zachowanie równowagi w życiu prywatnym. By nie wpadać w depresyjne stany, gdy z bardzo intensywnego trybu, w którym codziennie jedzie się na plan, pracuje po kilkanaście godzin, a w domu przygotowuje się do kolejnego dnia zdjęciowego, wpada się nagle w próżnię np. dwóch miesięcy bez żadnych zawodowych zadań. Odpowiedzią na takie zawieszenie, przymusowy urlop są moje pasje.

Częściej i dłużej jeżdżę na rowerze i... warzę piwo. Do tego drugiego – w dużym uproszczeniu – wystarczy garnek i fermentor, czyli pojemnik, w którym przeprowadza się fermentację (to takie plastikowe wiadro z rurką fermentacyjną). Domowym sposobem uzyskuje niepasteryzowane piwo, w którym wciąż są żywe drożdże, a więc tak bardzo potrzebny kompleks witaminy B. Dlatego jako serialowy lekarz z Leśnej Góry zalecam Polakom domowe piwowarstwo [uśmiech].

Swoje piwo warzę w Warszawie, do której przeniosłem się od czasu studiów. Rodzinna Gdynia wciąż pozostaje dla mnie miastem, w którym – gdy do niego wracam – czuję, że jest mi lżej na sercu, że głębiej oddycham. Czasem pojawia się nostalgia, ale wiem, że wyjazd do Warszawy był dobrym posunięciem.

Kiedy mieszkałem w Gdyni, byłem wiernym widzem Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych. Pojawiałem się na wszystkich możliwych projekcjach. Miałem plan rozrysowany niczym taktyka na mecz pana Gmocha. Mama dawała mi tygodniowe zwolnienie ze szkoły, żebym mógł zobaczyć wszystkie wyczekiwane produkcje. Z kolei teraz zobowiązania zawodowe często uniemożliwiają mi uczestnictwo w festiwalu, więc nadrabiam zaległości, gdy filmy trafią do kin.

Kiedy intensywnie pracuję, rower – o którym wcześniej wspomniałem – wykorzystuję do krótkich przejażdżek, a jak tylko czas pozwala, szykuję z przyjaciółmi kilkudniowe wyprawy.

Z Warszawy lubię jeździć np. do Nieporętu. Świetna trasa prowadzi wzdłuż Kanału Żerańskiego, a u celu jest Zalew Zegrzyński. Chętnie też wyruszam do Kampinosu, zwłaszcza na wyjątkowo małą, cichą część rowerowego szlaku przy południowej ścianie puszczy. Lubię też ścieżki rowerowe wzdłuż Wisły.

W minionym roku udało mi się przejechać z przyjacielem Kaszuby. Znam te rejony, więc bardziej przypominałem sobie, jak są piękne,

niż je od początku odkrywałem. Wyprawa była czterodniowa z jednym dniem przerwy. Na bazę wypadową wybraliśmy miejscowość pośrodku niczego, czyli w lesie. Zaraz obok mieliśmy Sulęcyno ze sklepem spożywczym, a w planach dotarcie m.in. do Kościerzyny i Bytowa.

W poprzednich latach, nocując za każdym razem w innym miejscu, pokonaliśmy szlaki: Warszawa–Gdynia i Szczecin–Gdynia. Przy tej drugiej trasie pierwotnie chcieliśmy wyruszyć ze Świnoujścia albo wręcz z Niemiec, ale logistycznie korzystniejszy okazał się start ze Szczecina.

Jeśli chodzi o przyszłe rowerowe plany, to przed nami wciąż jest m.in. wyspa Wolin. Podobnie jak najdłuższy w Polsce Wschodni Szlak Rowerowy „Green Velo”, mający blisko 2 tys. km.

Może wyprawę wzdłuż



Nieporęt



Bytów

wschodniej granicy uda się zorganizować jeszcze w tym roku, a potem ruszamy do północnych Włoch, m.in. nad jezioro Garda. Super byłoby dojechać tam, startując spod domu, tylko do tego konieczny byłby dłuższy urlop, a w moim zawodzie – wolnym jedynie z nazwy – trzeba być w stałej gotowości i dyspozycji.

Na szczęście są krótsze trasy. Ponieważ jeżdżę rowerem szutrowym, tzw. gravelem, mam możliwość poruszania się po różnej jakości nawierzchni, a więc też znacznie większy wybór szlaków. To świetne rozwiązanie.

Notowała **Jolanta Gajda-Zadworna**



SŁODKO-SŁONY

Paczka od przyjaciela

ANNA MONICKA

Z rozrzewnieniem wspominam czasy paczek z jedzeniem, które dostawało się od rodziny przed różnymi świętami. Bochny chleba, jakiego nie ma nigdzie indziej, ręcznie robiony makaron, kielbasa, dla której można stracić głowę... Nadawałam ją kiedyś z wakacji do koleżanek z pracy, ale narobiła takiego zapachu na małej pocztce, że musiałam bronić przesyłki, a potem monitorować, czy dotarła w całości, bo bałam się, że zostanie pożarta po drodze.

Ostatnio w mojej rodzinie paczki znowu krążą. Uwielbiam je, to dowód, że wciąż jeszcze potrafimy cieszyć się życiem i dzielić z ludźmi, o których dobrze myślimy, tym, co uważamy za ważne, smaczne, zdrowe, jedyne w swoim rodzaju. Bez okazji, tak po prostu, bo się lubimy i chcemy sobie sprawiać drobne przyjemności. Można je przecież robić, nie wydając fortuny.

Prawdziwe wiejskie smakołyki przysyła kolega, który zaszył się wiele lat temu na Dolnym Śląsku. Żyje tam zdrowo, dużo spaceruje, zwłaszcza na Śnieżkę, która przyciąga go jak magnes. Zaprzyjaźnił się ze starym pszczelarzem, który zdecydowanie woli towarzystwo owadów niż ludzi, ale z kolegą jakoś znajduje wspólny język. Dostaje od niego wspaniałe miody.

Szwendając się po polach i lasach, zbiera zioła „na czystych łąkach w Karkonoszach”. Właśnie dostałam pudło z woreczkami na podratowanie zdrowia na przednówku. Z ręcznie wymalowanymi etykietami i zamaszystymi opisami. Butelka z nalewką mniszkową czule opatulona w folię bąbelkową. Na karteczce adnotacja, że to lekarstwo, a nie alkohol, więc mam ją traktować z szacunkiem i pić naparsteczkami, gdy poczuje, że atakują mnie wirusy lub bakterie. Ponoć doskonała także na wątrobę. Domowy ocet jabłkowy również profesjonalnie owinięty, żeby nie uронić ani kropli cennego eliksiru. Mam go popijać rano na poprawę przemiany materii i wzmocnienie. A na odrzucenie po zimie – worek suszonych pokrzyw. Oczyszczają mnie i poprawiają morfologię. Wiosną uprawiam w ogródku swoje, ale jeszcze muszę trochę poczekać, żeby wyszły z ziemi. Wreszcie deserek – mielone owoce dzikiej róży. Do zaparzania jako herbatka. Prawdziwa bomba witaminy C. Dziękuję przyjacielu, chyba pojedę na wakacje zbierać zioła w górach. 

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Raniuszek

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zmienność tegorocznej zimy, naprzemienne okresy ociepleń niemal wiosennych, potężnych śnieżyc, mrozów, przeplatanych roztopami zdają się nasuwać na myśl słowa Sienkiewicza o dziwnym 1647 r., w którym zimą „w południowych województwach lody nie popętały wcale wód, które podsycane topniejącym każdego ranka śniegiem wystąpiły z łożysk i pozalewały brzegi. [...] słońce zaś w południe dogrzewało tak mocno, że – dziw nad dziwy! – w województwie bractawskim i na Dzikich Polach zielona ruń pokryła stępy i rozłogi już w połowie grudnia. Roje po pasiekach poczęły się burzyć i huczeć, bydło ryczało po zagrodach” (swoją drogą, cóż za język!).

Na razie jednak świat nie zmienił się na tyle, żeby do karmnika nie przylatywały ptaki. Trzeba też przyznać, że tegoroczna różnorodność gatunkowa stworzeń chętnych na łuskany słonecznik (i wodę, codziennie zmienianą – woda jest ważna) jest rzeczywiście interesująca. Być może jest to także konsekwencja warunków, które spowodowały, że przyleciały do nas gatunki północne i wschodnie, a część naszych ptaków wędrownych zdecydowała się zimować.

Oprócz stałych i dominujących sikor bogatek, których szeregi uzupełniają mniejsze modraszki oraz wróble mazurki z miejscowej populacji, są zawsze walczące z sobą wzajemnie synogarlice, kosy przebiegające po ziemi i wybierające ziarna, które spadły między trawę, a także coraz liczniejsze i coraz śmielsze sójki – kiedyś ostrożne, spotykane wcale nieczęsto i tylko w lesie, teraz podlatujące pod samo okno.

Co jakiś czas pojawia się samotna zięba, samiec w spoczynkowym ubarwieniu, a także nieco przyszarzały zimą dzwonek, odróżniający się żółtym lusterkiem, czyli polem na skrzydle utworzonym przez barwne lotki. Są też czyżyki, najmniejsze spośród wymienionych gatunków, przylatujące co kilka dni i zawsze chętne do podjęcia walki z większymi konkurentami.

Osobliwością tego roku są raniuszki. Raniuszki to ptaszki o niewielkim ciałku i upierzeniu brązowo-czarno-białym, którego rzucająca się w oczy biel ma tendencję do niebieskawych połysków. Kulistość miłkrego tułowia, do którego ktoś jakby do-czepił kilkukrotnie dłuższy od ciała ogon, a także ruchliwość upodobią ją do upierzonych piłeczek pingpongowych. 



WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Wewnątrz wróg

Najgorsze w tym jest to, że Polskę rozrywają na różne sposoby niektórzy jej obywatele



www.wojciechreszczyński.pl

Przyspiesza przemiana Unii Europejskiej w scentralizowane państwo zarządzane przez Niemcy, posługujące się niewybieranymi demokratycznie unijnymi urzędnikami. Proces ten nie byłby możliwy, gdyby nie wsparcie i zaangażowanie partii politycznych w niszczenie suwerenności swoich państw, na których terenie działają. Polska opozycja dostarcza tu szczególnie jaskrawych przykładów. I tak projekt Komisji Europejskiej wprowadzenia zmian w traktatach, by wyłączyć leśnictwo z krajowej jurysdykcji na rzecz wspólnej, unijnej, został ochoczo poparty przez europosłów Platformy Obywatelskiej. Jedna trzecia powierzchni Polski ma być zarządzana przez Brukselę. I nie o lasy tu chodzi, ale o bogactwa pod nimi.

Ta sama Platforma przeciwstawiła się ustawie, według której tereny inwestycyjne w okolicach Jaworzna i Stalowej Woli, należące do Lasów Państwowych, można by było zamienić na inne nieruchomości należące do skarbu państwa. Senatorowie z PO argumentowali, że kryje się za tym ryzyko prywatyzacji. Żeby więc być na „nie” wobec planów rządowych, można się nawet powoływać na szczytne cudze hasła i ideały. Dlatego warto przypomnieć, że plany prywatyzacji Lasów Państwowych zapoczątkowane przez Platformę w 2010 r. zostały zaniechane dzięki 2 mln podpisów sprzeciwu. To była piękna inicjatywa śp. prof. Jana Szyszko.

Wisi też nam, wspierana przez Unię Europejską, koszmarna perspektywa centralnego zarządzania polityką ochrony zdrowia przez WHO (Światową Organizację Zdrowia). Reformy WHO, tzw. nowy projekt traktatu pandemicznego, odbierają suweren-

nym państwom prawo do decydowania o lockdownie w przypadku pandemii.

Do WHO mają należeć decyzje w sprawie zamykania szkół, zakładów pracy, kościołów i sposobów organizacji służby zdrowia.

Wsparcie WHO ze strony Unii Europejskiej dotyczy też tzw. standardów edukacji seksualnej. Są one zbieżne z polityką UE w kwestii tzw. praw seksualnych i reprodukcyjnych, w tym prawa do aborcji, które Unia uczyniła prawem człowieka. I to są rzeczywiste zagrożenia dla naszej konstytucji i suwerenności państwa.

Także realnym zagrożeniem dla unitarności państwa polskiego jest nasilający się bunt „nadzwyczajnej kasty”. Tuż po tym, jak dotarła do nas spóźniona informacja o skazaniu na prawie pięć lat więzienia za pedofilię Krzysztofa F., jednego z liderów środowiska LGBT+ w Szczecinie, jednocześnie polityka Koalicji Obywatelskiej, inny sąd w Szczecinie skazuje na 30 tys. zł kary Jana Bieniasa, kierowcę furgonetki Fundacji Pro – Prawo do Życia. Na furgonetce znalazły się napisy – wytyczne zawarte w standardach edukacji seksualnej WHO i niemieckiej instytucji rządowej. „Czego lobby LGBT chce uczyć dzieci? Czerlatki masturbacji, sześciolatki wyrażania zgody na seks, dziewięćlatki pierwszych doświadczeń seksualnych i orgazmu”. Sąd uznał, że tekst ten sugerował związki aktywistów LGBT+ z pedofilią, co nie tylko nie jest prawdą, ale jest też zniesławieniem, stąd wysoka kara pieniężna.

„Z wyroku dowiedziałem się, że zestawienie na jednym plakacie wyrażen: »Czego lobby LGBT chce uczyć dzieci?« oraz nazwy naszej akcji »Stop pedofilii« stanowi przestępstwo zniesławienia aktywisty, którego nie znam

i którego nigdy wcześniej nie widziałem na oczy” – mówił Jan Bienias. Ale sąd doskonale wiedział, za co został skazany Krzysztof F., prominentny polityk Platformy. Szermujący fałszywymi oskarżeniami pod pretekstem walki z dyskryminacją, antysemityzmem, rasizmem, homofobią, ksenofobią, czyli tzw. mową nienawiści, mogą niestety liczyć na zrozumienie i ochronę w naszych i europejskich sądach.

Ostatnio Rafał Gawel, założyciel Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, skazany przestępca finansowy, ukrywający się w Norwegii, oskarżony w procesie karnym Beatę Kempę, Patryka Jakiego, Beatę Mazurek i Tomasza Porębę o popełnienie przestępstw rasistowskich. Sędzia Sądu Rejonowego dla Warszawy–Mokotowa Edyta Snastin-Jurkun skierowała do Parlamentu Europejskiego wnioski, który staje się podstawą do głosowania w sprawie uchylenia polskim europosłom immunitetu. Akt oskarżenia zawiera także wnioski o odebranie immunitetu przez polski parlament Piotrowi Glińskiemu, Mariuszowi Błaszczakowi i Krystynie Pawłowicz także za rzekome rasistowskie treści. Wspomniany Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych na swojej stronie internetowej pisze o ukoronowaniu swojej kilkuletniej batalii prawnej.

Jak widać, zagrożenia dla naszej suwerenności mają różne oblicza. Utrata lasów, deprawacja dzieci i młodzieży, destrukcyjna rola sądów na służbie bieżącej polityki. Najgorsze w tym jest to, że Polskę rozrywają na różne sposoby niektórzy jej obywatele. A najtrudniej walczy się z wewnętrznym wrogiem.

Czas dzielności

Minister Przemysław Czarnek stał się wymarzoną celem ataków środowisk opozycyjnych i okołopozycyjnych. Stało się tak za sprawą jego wyrazistości i jednoznaczności wynikających z odrzucenia przez niego wszelkiej politycznej poprawności. Czarnek nie kryje się za krąglymi zdaniem, za frazami pozbawionymi znaczeń (w przeciwieństwie np. do narcystycznego Grodzkiego) czy umizgami do wszystkich. Jest sobą. Ale bycie sobą oznacza bycie pancernym na wszechogarniający hejt.

Powstałemu z jego inicjatywy „pakietowi wolności akademickich” jeszcze na etapie prac przygotowawczych sprzeciwiały się najbardziej szacowne gremia akademickie występujące przeciwko własnej wolności: Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Konferencja Rektorów Uniwersytetów Polskich, Akademia Młodych Uczonych, a nawet rzecznik praw obywatelskich. Twierdzono, że istniejące przepisy wystarczająco chronią pracowników, chociaż przekonanie to stało w jawnej sprzeczności z licznymi faktami, czego dowodem mogą być przygody dyscyplinarne autora tego artykułu czy prof. Ewy Budzyńskiej. Warto dodać, że Konferencja

Rektorów Akademickich Szkół Polskich już kilka lat temu wydała oświadczenie, w którym od ówczesnego ministra nauki domagała się surowego karania za poglądy niezgodne z polityczną poprawnością. Takie zapędy Czarnek ukrócił stosowną nowelą do ustawy o nauce i szkolnictwie wyższym i tym samym zamknął kwestię.

Wcześniej Przemysław Czarnek rozprawił się ze swawolą rozmaitych organizacji, stowarzyszeń czy pracowni nieskrępowanie i bezkarnie grasujących ze „szkoleniami” i „treningami” po szkołach. Szczególną aktywność wykazywały tu organizacje promujące „równość”, „różnorodność” czy „tolerancję”. Teraz na każdą taką obecność i pracę z dziećmi zgodę musi wyrazić kurator po zapoznaniu się ze szczegółowym programem zajęć, na które zgodę również muszą wyrazić rodzice, a program zajęć musi być widoczny na stronie internetowej szkoły.

Kropkę nad i minister postawił, rozdzielając dotacje rozmaitym fundacjom i organizacjom pozarządowym. Wyraził to wprost, czym doprowadził adwersarzy do białej gorączki.



**Aleksander
Nalaskowski**

*Polska w obecnej sytuacji
potrzebuje jak nigdy
polityków i szefów
wyrazistych, odważnych,
gotowych na działania
niekiedy radykalne*

„Żadnej seksualizacji dzieci, żadnych fundacji genderowych promujących ideologię LGBT+ oraz robiących wodę z mózgu dzieciom, żadnych organizacji neomarksistowskich i promujących komunizm”.

Wśród wielu zarzutów wysuwanych wobec Czarnka przez przeciwników politycznych czy ideologicznych nie ma jednego – naruszenia prawa. Bo minister korzysta ze swoich konstytucyjnych uprawnień, robi to *lege artis* i całkiem otwarcie. W końcu sam jest prawnikiem.

Gdybyśmy tak otwartych i odważnych ministrów mieli więcej, to nasza polityka, przynajmniej ta wewnętrzna, wyglądałaby zupełnie inaczej. Nadal nie pojmuję i już

chyba nie pojmę, jak można było się pozbyć ministra Jana Krzysztofa Ardanowskiego, człowieka do bólu kompetentnego i odważnie oddanego sprawom polskiej wsi. Ludowca w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Uważam, że słabość niektórych resortów stoi słabością ich szefów. Nie wszyscy potrafią tak bez reszty wejść w swoją rolę jak Błaszczak, Ziobro, Czarnek czy Ardanowski właśnie. Można śmiało wyliczyć ministrów, o których prawie nie słyszymy, a których działania są na tyle

niewidoczne, że mamy prawo wątpić, czy naprawdę istnieją.

Takich Tefaleny ani Czerskie nie zaczepią w kuluarach sejmowych, nie wezmą na czołówki, bo wydają się doskonale nijacy.

Polska w obecnej sytuacji potrzebuje jak nigdy polityków i szefów wyrazistych, odważnych, gotowych na działania niefotogeniczne, niepopularne, ale konieczne, na działania rozplątujące zadawnione problemy i zaniedbania, działania niekiedy radykalne.

Chwaląc tutaj ministra Czarnka, mam nadzieję, że stawi czoła unijnej presji na wprowadzanie tzw. edukacji włączającej czy inne naciski dotyczące polskiego kształtu systemu oświaty. Podobnie jest z sądownictwem, rolnictwem, obronnością. Wszędzie trzeba nam radykalnych wizjonerów. Józef Mackiewicz pisał onegdaj, że Polska to taki kraj, gdzie z upodobaniem na dyrektorów, prezesów i przewodników wybiera się miernoty, ludzi przeciętnych, pozbawionych chociażby cienia charyzmy. I właśnie jest czas, by z tym wreszcie skończyć.



JAN POSPESZALSKI

Samorząd lekarski, który miał dbać o dobro pacjentów, stać na straży przestrzegania najwyższych standardów etycznych i być gwarantem niezależności branży, dziś jest przykładem skrajnego sprzeniewierzenia się tej misji. Kastowość, reprodukcja klik, obrotowa kadencyjność, permanentny konflikt interesów i inne wynaturzenia obserwowane w środowisku sędziowskim i KRS w izbach lekarskich ujawniły się z jeszcze większą mocą.

Władze izb, zamiast dbać o przestrzeganie przez lekarzy przysięgi Hipokratesa, same są przykładem zapaści etycznej. Zamiast gwarantować niezależność – stały się narzędziem w rękach polityków i globalnych koncernów farmaceutycznych. Beczynność izb wobec szkód spowodowanych rozporządzeniami pandemicznymi udowadnia, że nie o dobro pacjentów tu chodzi. Z kolei postępowania dyscyplinarne są prowadzone wobec 114 lekarzy, sygnatariuszy apelu do władz Rzeczypospolitej. Apel był sprzeciwem wobec przyjętej przez rząd polityki wobec COVID-19.

Co ciekawe, dopóki lekarze krytykowali wiarygodność testów PCR, nakładanie na zdrowych ludzi izolacji, kwarantanny, teleporady i postępowanie wraz z tym paraliż służby zdrowia, jeszcze uchodziło to na sucho. Gdy poddali krytyce szczepienia (warunkowo dopuszczonymi preparatami mRNA),

Mrok w izbach... lekarskich

Nie słyszałem, żeby nawet za czasów największego terroru komunistycznego w jednym postępowaniu sądzono 114 obwinionych, i to za przekonania

natychmiast ruszyły dyscyplinarki. To pierwszy przypadek zbiorowego procesu wytoczonego tylko za poglądy. Lekarzy oskarża się o szerzenie postaw antyzdrowotnych i poglądów rzekomo niezgodnych z aktualną wiedzą medyczną. Nie słyszałem, żeby nawet za czasów największego terroru komunistycznego w jednym postępowaniu sądzono 114 obwinionych, i to za przekonania. Nie tylko skala postępowań, lecz także sposób prowadzenia spraw jest bezprecedensowy. Skoro oskarża się lekarzy o szkody zdrowotne, dlaczego nie przedstawiono obwinionym ani jednego przypadku konkretnego pacjenta, który ucierpiał z ich powodu?

Lista naruszeń, uchybień i skandalicznych błędów proceduralnych popełnionych w trakcie postępowań przygotowawczych i procesów zasługuje na osobny artykuł. Pominięcie dwustopniowości procedowania, utrudnianie pełnomocnikom dostępu do materiałów procesowych, ignorowanie i odrzucanie materiałów dowodowych obrony, utajnianie procesów, powoływanie biegłych bez specjalizacji, powoływanie do składów sędziowskich lekarzy będących w rażącym konflikcie interesów – to tylko kilka przykładów. Ekspertyza medyczna, będąca podstawą wszczęcia postępowania, została napisana przez specjalistę od ochrony środowiska i lekarza, któremu w trakcie habilitacji udo- wodniono plagiat. A ekspertyza prawna została zamówiona u specjalistów wy- ciągniętych z głębokiego PRL: Lecha Gardockiego, działacza PZPR, Stanisława Hoca, oficera MO wykształconego pod okiem KGB w Sowietach, i Huberta Izdebskiego, który jest zięciem stalinow-

skiego prokuratora Graffa, obciążonego licznymi zbrodniami sądowymi.

Korzystanie z usług takich ekspertów ukazuje środowisko naturalne władz izb lekarskich i dowodzi intencji do niedawna prezesa Naczelnej Rady Lekarskiej Andrzeja Matyi. Były prezes i jego koledzy rządzący izbami czują się tak pewnie, że nie tylko nie maskują swoich powiązań z koncernami farmaceutycznymi, lecz także uzurpują sobie prawo zarządzania innymi dziedzinami życia. To wskutek nacisków okręgowa izba lekarska w Poznaniu odwołała targi i konferencję dotyczące medycyny naturalnej, narażając organizatora, a także Międzynarodowe Targi Poznańskie na spore straty. Skandalem jest list napisany przez Andrzeja Matyję ponad głowami rodziców i wychowawców do uczniów namawiający ich do szczepień. Okręgowa Izba Lekarska w Krakowie dziś poucza i instruuje w kwestiach prawnych wiceministra Marcina Warchoła. Szef Naczelnego Sądu Lekarskiego Jacek Miarka wysłał instrukcje do sądów okręgowych, jak należy orzekać w sprawach lekarzy sceptyków. O jakie orzeczenia chodzi, pokazała rozprawa przeciw dr. Zbigniewowi Martyce, któremu na rok odebrano uprawnienia.

Nawet gdyby nie popełniono tych wszystkich skandalicznych uchybień, postępowania wobec lekarzy przypominają praktyki totalitarne. Bowiem obowiązek przynależności lekarzy do izb lekarskich przy jednoczesnym przyznaniu sobie przez władze samorządu lekarskiego uprawnień i monopolu do wyłącznego kreowanie poglądów swoich członków jest sprzeczny z konstytucyjną gwarancją wolności słowa. 

Prawo Szejnfelda

Polska socjologia wzbogaciła się – trzeba przyznać, dla wielu niespodziewanie – o badacza, któremu specjaliści wróżą wielką karierę w dziedzinie humanistyki. Nawet na miarę Nobla. Wkrótce jego nazwisko, stosunkowo mało znane w świecie nauki – dr Adam Szejnfeld – wykroczy daleko poza polskie opłotki. To raczej pewne. Jego praca doktorska, „Wstydlivy elektorat obecnej władzy przeszkodą Polski do Europy”, zaprezentowana tydzień temu na dorocznym Europejskim Forum Socjologii w Walencji, została uznana za jedno z nowatorskich osiągnięć ostatnich dekad. Świeżo upieczony doktor, jeszcze do niedawna doświadczony i zaawansowany wiekiem polityk, w ciągu kilku dni stał się rozmówcą rozrywany przez media całej Europy.

Jak się bowiem okazało, Adam Szejnfeld nosił w sobie ogromne zdolności wizjonerskie, które po latach zajmowania się ze zmiennym szczęściem polityką w sprzyjających warunkach znalazły dla siebie godną trybunę do prezentacji, jaką jest nauka. Myśliciel ten – nie waham się użyć takiego określenia dla oddania krzepy i ekspresywności intelektu Adama



**Jerzy
Jachowicz**

Szejnfelda – po przeprowadzeniu wnikliwej analizy, pogłębionej empirii, stworzył kanon przyczyn stanowiących barierę uniemożliwiającą Polsce pełną, wielowymiarową integrację ze wspólnotą europejską. Listę polskich wad, wcześniej niedostrzeganych przez badaczy. Wady – to delikatnie powiedziane.

W bezkompromisowej, nagiej – w znaczeniu odcedzonej z fałszywego lukru – aparaturze pojęciowej dr Adam Szejnfeld te przeszkody zbliżenia do Europy nazwał plagami narodowymi, które zagnieździły się w wielkiej części polskiego społeczeństwa. W tej właśnie grupie są najróżniejszych rodzaju prymitywne, godne napiętnowania typy.

To oni są rezerwuarem wyborczym rządzącej obecnie partii, która zamyka Polskę w skorupie nacjonalizmu i wstecznicstwa, będącymi plotem z drutu kolczastego dzielącego Polskę od nowoczesnej Europy. „Ten ich elektorat – pisze dr Adam Szejnfeld – złożony z nierobów, meneli i drobnych żuli za 500 zł sprzedałby Polskę Putinowi jakby dał im 700 zł i na flaszkę”.

Odkrycie to, już podczas konferencji w Walencji, nazwano „prawem Szejnfelda”.

Codziennie się nastrajam

Z Lanberry, *Małgorzatą Uściłowską*, piosenkarką, autorką tekstów, kompozytorką, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Mówi pani, że muzyka jest całym pani życiem. Co to znaczy?

Małgorzata Uściłowska: Kiedy wstaję, zaczynam od niej, nastrajam się. Mam ogromny przywilej zajmować się tym, co tak bardzo kocham. Każdy kolejny dzień jest nieustannym poszukiwaniem inspiracji.

Program „The Voice of Poland” też był inspiracją?

Oczywiście. Zwłaszcza że ta przygoda, również dzięki mojemu finałowi Łukaszowi Drapale, nie skończyła się wraz z odebraniem przez niego statuetki. Fascynujące doświadczenie – także dla słuchaczy.

A co porabia autorka i wokalistka?

Jestem obecna. To nie tylko tytuł mojej najnowszej płyty. Czuję ogromną wdzięczność i satysfakcję, że mogę dzielić się swo-

imi piosenkami. Ludzie śpiewają je ze mną. I jeszcze te spotkania po koncertach... Dzięki „The Voice of Poland” pojawili się nowi słuchacze, za to też jestem wdzięczna. I niech to trwa.

Jakie ma pani plany na kolejne miesiące?

Pokazać nowe wcielenie Lanberry. Chcę sięgać po nowe narzędzia i formy wyrazu, pokazać nową barwę w wokalu.

Muzyka to pani życie. Czy jest w nim jeszcze na coś miejsce?

Na pewno na naturę. Bardzo sobie ten kontakt cenię. Oczywiście dźwięki miasta są inspirujące, ale raz na jakiś czas potrzebuję resetu. Jadę do lasu, by się wyciszyć, pospacerować, posłuchać częstotliwości, którą daje nam przyroda. Nauczyłam się doceniać wszystkie pory roku, jednak najbardziej kocham późną wiosnę. Śpiew ptaków to dla mnie najpiękniejsza muzyka.



Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Problem trzeźwości

Krzysztof Skiba skrytykował celebrytów obsługujących intratne firmowe eventy

Na FB zamieścił felietonem: „Jakie jest potem jego zdziwienie, gdy wynajęty za kilkanaście tysięcy lub więcej gwiazdor zwiewa z imprezy kilka sekund po odwaleniu swojego kontraktowego show. Następuje konsternacja, zdziwienie, a czasem nawet irytacja i oburzenie”. Na liście aroganckich chałturników są: Maciej Stuhr, Marcin Prokop, Piotr Bałtroczyk, Andrzej Grabowski, Cezary Pazura. Wywód podgrzewa zestaw smaczków: „Młody Stuhr i Prokop są mistrzami ucieczek... Bałtroczyk uwielbia whisky, ale nie ma szans, by chlać z nim na imprezie firmowej. Grabowski pije czystą wódkę... Zwiewa z imprez, by samemu wypić w pokoju hotelowym”.



Ryszard Makowski

Wyróżnieni zabrali głos. Andrzej Grabowski: „Co on może wiedzieć o tym, co robię w swoim pokoju hotelowym? Opinie Skiby są wymyslane i do tego głupie”. Marcin Prokop: „Są tacy konferansjerzy, w tym niżej podpisany, którzy... o zgrozo, idą do domu, zamiast w ramach honorarium ruszyć w tango na parkiecie życia, pijąc z zaproszonymi gośćmi wódkę”. Maciej Stuhr: „Właściwie Skiby nie znam i że choć nie chleję z gośćmi wódki, to jednak czasem z nimi zostaję, ale jaka jest wymowa tego wpisu, to dość trudno mi pojąć...”.

To prawda, trudno pojąć. Bo gdyby autor dał do zrozumienia: „Weźcie mnie zamiast ich, a ja się z wami nawalę”, ale to też nie. Skiba o sobie: „Ostatnio dbam o zdrowie i piję już tylko herbatkę, więc zwiewam po występie jak Stuhr i Prokop”. Konkludując, Krzysztof Skiba skosił branżę za to, że postępują tak jak on. Nie wszystkim trzeźwość służy. 

Michał Korsun prezentuje:
Polscy ratownicy w Turcji



Wycinki z przeszłości

Ten piękny portret wilamowiczanki w stroju ludowym zamieścił magazyn „Sztuka i Film” z 1937 r. Jak czytamy w opisie, „Wilamowice jest to wieś w powiecie bialskim, w województwie Krakowskim. Wieśniaczki tamtejsze noszą malownicze stroje ludowe, zbliżone do śląskich”.

A może ktoś z czytelników rozpoznaje osobę zamieszczoną na zdjęciu? Jeśli tak, prosimy o kontakt.

(mk)



Wiersz jak narodowe spoivo



Juliusz Słowacki
(1810–1849)

Leszek Długosz

„Hymn o zachodzie słońca na morzu”

*Smutno mi, Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą...*

*Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!*

*Jak puste kłosa z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu...
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.*

*Ale przed Tobą głębi serca otworzę:
Smutno mi, Boże!*

[...]

*Dzisiaj na wielkim morzu oblakany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Widziałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.*

*Żem je znalazł kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!*

[...]

*Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nieoddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom.*

*Więc, że nieznane gotujesz mi tożę,
Smutno mi, Boże!*

*Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie co dzień; a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.*

*Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!*

*Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący – marli.*

*Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

Upiorne cyberdoznania

Gdy tylko pojawiły się komputery osobiste, podszedłem do nich ze sporą podejrzliwością. Choć nie potrafiłem wtedy tego bliżej określić, czułem, że coś tu nie gra.

Pierwszy komputer kupiłem w 1991 r. podczas pobytu na Cambridge University. Przewaga elektronicznego edytora tekstów nad pisaniem maszynowym polegała na łatwości poprawiania tekstu. Wcześniej ręcznie robiłem notatki, tekst spisywałem na maszynie, z licznymi błędami, a potem w ruch szły nożyczki i klej, gdy poprawiałem strukturę wyводу. Na końcu szedłem do maszynistki, której płaciłem za przepisanie tekstu na czysto, by wysłać go pocztą do wydawnictwa.

Komputer to wszystko uprościł. I może nie byłoby tak paskudnie jak dzisiaj, gdyby nie internet i presja na ciągłe zmiany. Ale jeszcze zanim internet uruchomił całe to szaleństwo przeciążenia ludzkości przez nadmiar bodźców oraz dezinformacji, technologie cyfrowe już pokazały swoje paskudne oblicze. Opowiem to od końca, czyli od tego, co wydarzyło się całkiem niedawno.

Otóż kupiłem kolejny laptop. Dlaczego znów zmieniłem to moje podstawowe narzędzie pracy? Bo się przedwcześnie zestarzało. Komputery mają taką niechlubną, całkiem antyekologiczną przypadłość: raz, dwa zaczynają chodzić coraz wolniej, coraz częściej meldują, że mają za mało pamięci. Tak było z moim poprzednim laptopem. Ale nowy kupiłem także dlatego, gdyż sam jestem stary, wzrok się coraz szybciej męczy. Pomyślałem, że ulżę nieco oczom, kupując model o większym ekranie – 17-calowym.

No i wtedy zaczęła się cała kaskada problemów, z których częścią do dziś się nie uporałem.

Po pierwsze – od pewnego czasu sama procedura uruchomienia i podłączenia do internetu nowego sprzętu stała się tak złożona, że gdyby nie pomoc kolegi z pracy, to wszystko trwałoby nie



*Nowe wersje
oprogramowania
zachowują się jak
rozkapryszone,
domagające się stałej
uwagi dzieciaki*

trzy godziny, ale ze dwa dni. W dodatku już od pierwszych chwil sprzęt domagał się rozmaitych danych osobowych, za pomocą których będzie można mnie śledzić.

Po drugie – uwaga: teraz na scenie pojawia się Microsoft – nowy laptop ma zainstalowany system operacyjny Windows 11. A jak to zwykle u upiornego Microsoftu bywa, oferując liczne nowe funkcje, dla wielu użytkowników zupełnie nieprzydatne, pewne stare i wygodne usunął. Od czasu gdy ekrany stały się szersze, niż jest to po-

trzebne osobom piszącym teksty, pasek z przyciskami umieszczałem po prawej stronie. W ten sposób na dole mogły się zmieścić ze dwie linijki tekstu więcej. Niestety, cholerni „innovatorzy” od monopolisty Microsoftu w nowym Windowsie wykluczyli tę możliwość.

Po trzecie – miałem już tak wcześniej – większy monitor tylko w niektórych aplikacjach daje większe litery. W innych – wprost przeciwnie, ma to związek z rozdzielczością ekranu. Niekiedy te zbyt małe litery dało się powiększyć, ale np. liczne menu edytora Word mają teraz czcionki tak małe, że z trudem je czytam.

Po czwarte – technologie cyfrowe, mimo że „rozwijane” są od wielu dekad, w przypadku każdej nowej generacji wymagają od użytkownika nie tylko opanowania nowych umiejętności, np. znajdowania nowej funkcji w nowym, wielopiętrowym menu, lecz także oduczenia się wcześniej opanowanych i stosowanych już przez kilka lat nawyków. To wszystko pożera nie tylko czas.

Tu przechodzę do sedna cyfrowej upiorności. Nowe rozwiązania cyfrowe nie pozwalają nam w pełni opanować dostępnych technologii, tak by były one skutecznymi narzędziami, za pomocą których np. zapisujemy swoje pomysły i koncepcje. Nowe wersje oprogramowania zachowują się jak rozkapryszone, domagające się stałej uwagi dzieciaki. Nowe mutacje „postępu” technologicznego, zamiast nam służyć, chcą, byśmy się o nie troszczyli. Angażują naszą uwagę, czas, emocje, podkreślają frustrację, by...

...by... Tu odsłania się kolejna warstwa perfidności. Gdy po pewnym okresie jakoś oswoimy nowy sprzęt lub aplikację, nabieramy złudnego poczucia, iż oto zyskaliśmy wcale nie służyć, ale prawdziwie wiernego *przyjaciela*.

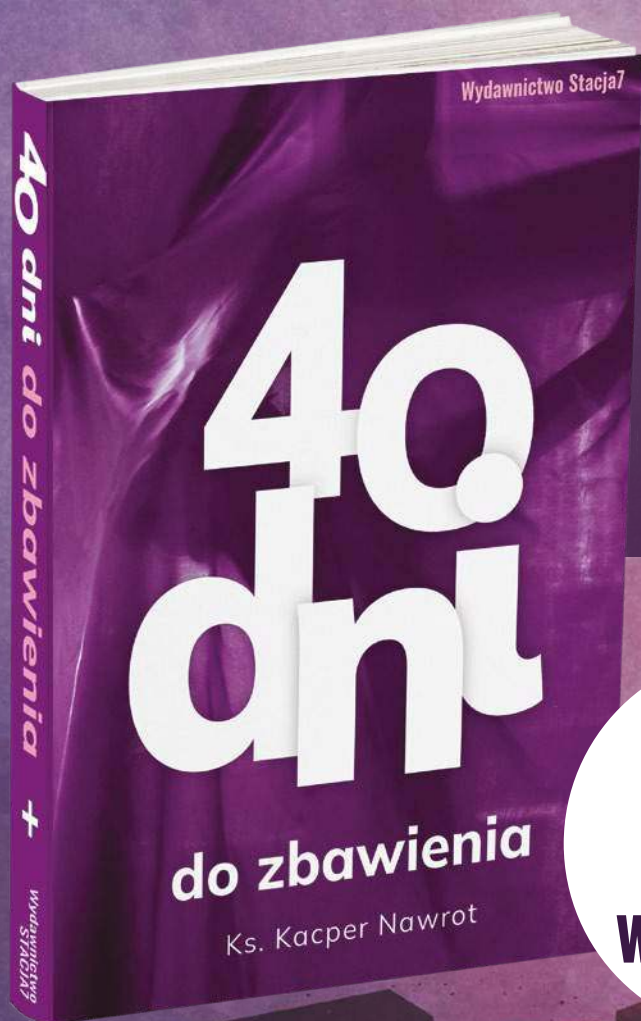
Wkurzenie na technikę. A potem uzależnienie od niej. Taka jest prawda o postępie technicznym – a na pewno w tej wersji, którą oferuje firma Microsoft. 

Andrzej Zybertowicz

**TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ**

SIECI

**w SIECI
HISTORII**



**40 dni do zbawienia – idealna lektura na
Wielki Post zaczynający się już 22 lutego**

- Rozważania, które zbliżą nas do zbawienia
- Refleksje nad Słowem Bożym
- Krótkie modlitwy
- Zadania do wykonania na każdy dzień

DLA TYCH, KTÓRZY CHCĄ OŻYWIĆ SWOJĄ RELACJĘ
Z PANEM | 216 STR. | PORĘCZNY FORMAT | IMPRIMATUR

**100
książek
w prezencie**

Książkę „40 dni do zbawienia” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.



Zamów już dziś na:

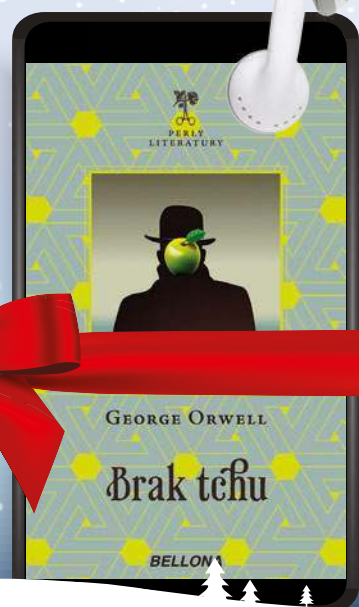
www.sieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

E-prenumerata **SIECI** **50% taniej**

**2 audiobooki
i historyczny e-book
w prezencie**



**E-BOOK – PREZENT DO KAŻDEJ
E-PRENUMERATY:**

160. rocznica Powstania Styczniowego

Aż 130 stron pasjonujących opowieści o legendarnych i mniej znanych dowódcach Powstania Styczniowego. Jak heroicznie i brawurowo walczyli z caratem? Jak stali się postrachem Rosjan?

**2 AUDIOBOOKI GRATIS DO E-PRENUMERATY
NA 12 MIESIĘCY:**

„Maluchem do raju”

O transporcie w czasach komunizmu, np. maluchach, które z przeciętnego Kowalskiego zrobiły króla szos.

Czas słuchania: 8 godz. 53 min.

„Brak tchu” Georga Orwella

Książka przez krytyków stawiana na równi z „Folwarkiem zwierzęcym” i „Rokiem 1984” – niepokojąco aktualna i dziś.

Czas słuchania: 11 godz. 6 min.

Zamów już dziś na

www.siecprzyjaciol.pl

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

